Krzysztof
Muszkowski

SPOD ANGIELSKIEGO PARASOLA

ARCHIWUM EMIGRACJI

SPOD ANGIELSKIEGO PARASOLA

INNE PRACE AUTORA

Inter alia, Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy, 1990
Intra muros, Kraków: Fundacja Monumentis Partiae, 1993
Czas wielkich zmian, Paryż: Éditions du Dialogue, 1996
Notatki londyńskie, Toruń: Uniwersytet Mikołaja Kopernika, 1997
Parasol angielski, Lublin: Norbertinum, 2002

KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

SPOD ANGIELSKIEGO PARASOLA

ARCHIWUM EMIGRACJI
TORUŃ
2006

ISBN 83-231-1909-0

© Copyright by
Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 2006
Archiwum Emigracji, Toruń 2006
Krzysztof Muszkowski, Londyn 2006

Skład: Joanna Krasnodębska
Nakład: 300 egz.
Druk i oprawa: Zakład Usług Poligraficznych DRUK-TOR,
ul. Nieszawska 33, Toruń

PARASOL

Krzysztof Muszkowski, przemierzający ulice Londynu ze swym literackim parasolem, chroni i opisuje londyńskie, wileńskie, warszawskie legendy, przypowieści, anegdoty — zarówno o tych sławnych, wielkich, jak i o tych mniej znanych, wydawałoby się niewidocznych. Twórca — wędrownik, obecny w dziś legendarnej krainie przedwojennej Warszawy czy Wilna. Opisujący spotkania z Miłoszem, powojenny Londyn, kontakty literackie, rozmowy, wizyty. Lekkość, z jaką pióro autora spotyka się z materią białej kartki, świadczy o głębokiej więzi z tym, co w nas niewidoczne, mgliste, odległe. Otwiera z rozmachem, odwagą i dowcipem przestrzenie pamięci oraz uczuć. Dystansuje się od jarmarcznych wrzaw, nie jest jednak milczącym, biernym odbiorcą. Zbiór obecny, tak jak poprzednie, ma często formę bajek czy fragmentów z życia, które często kończą się dosadną pointą. Opisywany świat stara się nazwać afirmującym życie językiem. Przy pomocy ostrego szpica swego londyńskiego parasola — wciąż z konsekwencją i wyczuciem zarazem — dotyka najbardziej bolesnych spraw związanych z życiem na emigracji. Krytycznie, z rozwagą ocenia swych współziomków, nie roztkliwia się ani nad sobą, ani nad nimi. W twórczości autora wyraźnie przebija się credo mówiące, iż posiadamy szereg wad i zalet. Spoczywa jednak na nas odpowiedzialność bycia razem, wspólnego tworzenia i szacunku dla osiągnięć poprzednich pokoleń i troska, by z ich doświadczeń korzystali młodzi następcy. Godna uwagi jest lekkość, z jaką autor posługuje się wypowiedzią literacką, ale ta — nazwijmy ją — przedwojenna polszczyzna to kolejny atut. Jest czysta, bez naleciałości.

Krzysztof Muszkowski należy do pokolenia, które zmuszone było stawiać czoła zagrożeniom związanym z dramatycznymi wyzwaniami drugiej wojny światowej. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku, był więźniem sowieckim, a potem nawigatorem w polskim dywizjonie bombowym w Anglii. Jego obecny zbiór to skarbnica doświadczeń i przeżyć ożywających na kartkach w londyńskim zaciszu.

Anna Maria Mickiewicz
Londyn, 2005

OD AUTORA

Większość tekstów zawartych w tym zbiorze wyszła w druku w „Dzienniku Polskim" i w „Tygodniu Polskim" w Londynie. Mają więc charakter archiwalny. Z natury rzeczy są one pewnie nieznane w Polsce. Uważam je więc za dokumentację emigracyjną z dziejów bardzo licznej i ciągle rosnącej społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii. Społeczność ta dziś — kiedy piszę te słowa — składa się już co najmniej z trzech pokoleń.

POLSKA W UNII EUROPEJSKIEJ

BOCIANIE GNIAZDO

Siedząc kiedyś w bibliotece Chatham House (The Royal Institute of International Affairs) na St. James's Square w Londynie i szperając w masie wycinków prasowych z końca drugiej wojny światowej, nie mogłem się nadziwić bogactwu zawartych w nim informacji. Informacji z całego świata. Przyszło mi wtedy do głowy, może niedorzecznie, że ten Instytut to „gniazdo bocianie" patrzące bystrym okiem wokoło wszystkich horyzontów. Jakby ze szczytu wysokiego masztu okrętowego. Bogactwo informacji w nim zawarte dostępne jest członkom dzięki roli akumulatora, jaką spełnia Chatham House, umiejętnie tym bogactwem administrując. Umiejętność ta polega między innymi na tym, że zachowuje ona wszystkie kryteria wolnej wymiany myśli bez zastrzeżeń skąd ani komu. Jednym z założeń Instytutu jest to, że informacją się nie manipuluje. Informacją trzeba się dzielić bez uprzedzeń i bez cenzury. Nie takie to łatwe. Każda informacja ma dwa końce: jeden ostry, drugi tępy. Ostry — wymagający natychmiastowej i właściwej interpretacji, a tępy, kiedy potrzebna jest głębsza analiza wymagająca więcej czasu. Każdy podatny na potknięcia komentatorów. To jest najwyższy test zaufania. Instytut jest całkowicie niezależny od rządu i parlamentu, choć zarówno rząd i parlament, jak i różne departamenty stanu z niego korzystają. Finansowany jest przez instytucje naukowe, oświatowe, uniwersytety, a także większe i mniejsze koncerny przemysłowe i handlowe — krajowe i zagraniczne, jak też prywatne fundacje. Codziennym jego celem jest wymiana informacji. Służy temu archiwum i biblioteka oraz niemal codzienne debaty prelekcje, odczyty wygłaszane przez krajowych i zagranicznych mężów stanu, naukowców, publicystów, pisarzy i dziennikarzy. Instytut jest wydawcą kwartalnika, który zawiera wiele prelekcji i innych artykułów oraz miesięcznika „The World Today", zawierającego bardziej aktualny materiał. Z grona polskich prelegentów w Chatham House w ostatnich latach należy wymienić przede wszystkim profesora Bronisława Geremka — ówczesnego ministra spraw zagranicznych Polski. Prelekcja ta miała specjalną wagę w przededniu członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Jeden z brytyjskich słuchaczy siedzący obok mnie zapytał, czy istnieje w Polsce podobna do Chatham House organizacja. Gdyby poczekał parę krótkich lat, mógłbym mu odpowiedzieć pozytywnie. Bo oto niedawno dostałem z Polski świetnie wydaną po angielsku kolorową broszurkę o powstaniu Polskiego Instytutu Spraw

Międzynarodowych. Jego dyrektorem jest dr Ryszard Stemplowski, były ambasador RP w Wielkiej Brytanii, który bywał gościem w Chatham House i któremu dobrze są znane zasady działania tej instytucji. W broszurce pokazane są okładki sześciu wydawnictw Instytutu. Dwie pozycje zwróciły moją specjalną uwagę. Pierwsza — kwartalnik po rosyjsku — ma tytuł „Europa". W niej oryginalne artykuły i recenzje książek. Druga to monografia Marka Kornata pt. *Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop–Mołotow*, oparta na nowych materiałach archiwalnych. A więc kontakt informacyjny, jakże dziś ważny, z naszymi najbliższymi sąsiadami na wschód i na zachód. Dobrze jest, że w stanie politycznego napięcia w dążeniu do Unii Europejskiej Instytut nie zapomina o istotnych interesach Polski w realiach „domowych". Trzeba życzyć wszelkich sukcesów polskiemu Chatham House na ulicy Wareckiej w Warszawie. Może to właśnie polskie „gniazdo bocianie"? Aż ciśnie się na papier nieproszona uwaga, że siłą tego rodzaju instytucji musi być niezależność od rządu, parlamentu i każdej frakcji partyjnej. Nikt nie ma wątpliwości, że tak idealna demokracja jest utopią, choć o nią walczymy. Wolna i niczym nie skrępowana wymiana myśli i wiedzy jest do niej jedyną właściwą drogą.

16.05.2002

RAZ NA LEWO, RAZ NA PRAWO

Za dawniejszych, choć nie bardzo dawnych czasów, powiedzmy jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu, mówiono o ideologii. Dzielono polityczność na lewicę, umiarkowany środek, czyli liberalizm, i prawicę. Wszystkie trzy — nazwijmy je mechanizmami polityki — miały pretensje do jednego wspólnego mianownika: demokracji. Ideologia, o której mówiły, mieściła się w górnolotnych słowach i obietnicach. Sam termin „ideologia" służył do wmawiania naiwnym głosującym, że za każdym parlamentarnym krzesłem i ministerialnym fotelem, za każdym programem partyjnym świeci gwiazda lepszej przyszłości. I że za każdym przemówieniem partyjnego polityka czy członka rządu kryje się szansa na poprawę tego, co nie działa tak, jak powinno. Dziś ideologię zastępuje sceptycyzm. Powód tego wydaje się prosty. Mało różnią się pomiędzy sobą partyjne programy polityczne. I jeszcze mniejszy wpływ mają na praktyczne życie codzienne górnolotne słowa i obietnice. Pokrótce nikt w nie nie wierzy. W sumie wielkie debaty parlamentarne niemal wszędzie w Europie sprowadzają się w końcu do

coraz drobniejszych szczegółów administracyjnych. Nad wszystkim góruje nuda. Nuda tak powszechna, że wybory w wielu krajach europejskich są niemal ignorowane, specjalnie przez młodsze pokolenia. Jak powiedziano wyżej, wspólnym mianownikiem tej nowej nudy jest niedościgniony cel tego, co przyzwyczailiśmy się nazywać demokracją. Wszystkie partie polityczne, jak świat długi i szeroki, posługują się tym enigmatycznym terminem jako legitymacją swej szlachetnej ideologii. Termin jako taki ładnie brzmi. Treść jego jest tak głęboka, że aż niedostępna. Po to, żeby była dostępna, nie ideologii potrzeba, ale oświecenia.

Chyba właśnie nuda i stagnacja jakiejkolwiek aktywnej ideologii odkryła niespodziewaną atrakcję w niedawnych radykalnych zwrotach na prawo. Partie prawicowe były wszędzie od dawna. Słychać je było od czasu do czasu. Podnosiły głos, czasem nawet dość buńczuczny, ale mało kto w ostatnich latach zwracał na to uwagę. Nie były wtedy atrakcyjne, bo nuda nie była jeszcze bardzo widoczna. W Europie Zachodniej to Austria otworzyła sezon, kiedy Austriacka Partia Wolności (FPÖ) i jej przywódca Jörg Haider odrzuciła niesprecyzowane i słabe plany umiarkowanej lewicy i konserwatystów. Jej sukces podniecił inne prawicowe grupy europejskie do pokazania wyborcom swoich atrakcji. Młoda Europa znalazła odgłos swojej niecierpliwości ze starymi systemami. W szeregach ideologicznie podzielonych europejskich partii lewicowych, a specjalnie socjalistycznych i konserwatywnych, zaczęły dzwonić dzwonki alarmowe. Alarmów nikt nie brał na serio aż do zabójstwa Pima Fortuyna, holenderskiego przywódcy prawicy, którego hasłem było zatrzymanie pozaeuropejskiej imigracji. Jednocześnie, kiedy we Francji poważne poparcie w wyborach prezydenckich (w pierwszej rundzie) dostał Jean-Marie Le Pen, kandydat radykalnej prawicy, zachwiała się waga pomiędzy tym, do czego Europa Zachodnia jest przyzwyczajona i tym, co ją może czekać. Głosy prawicy odezwały się też w Niemczech, we Włoszech i nawet w cichej i spokojnej Szwajcarii. Co do tej ostatniej, należy to uważać raczej za lekką wiosenną grypkę niż coś poważniejszego. Choć nie należy nigdy zapominać o wspaniałej tradycji banków szwajcarskich finansowania opłacalnych w przyszłości ruchów politycznych. Ważne są inne kraje, gdzie nuda spowodowała tyle ideologicznych zmian. A może to nie tylko nuda, sceptycyzm, brak wiary w istniejący system? Może to zwiastuny zmian o wiele głębszych?

Europa — dziś dostatnia, ekonomicznie zdrowa, energiczna i przygotowana na wielką eskapadę — budując swoją przyszłość w Unii, jest już i będzie katalizatorem zmian, jakie następują i będą następować

w krajach członkowskich. Dziś członkowie Unii są na ogół rządzeni przez rządy umiarkowane, czyli — jak byśmy to mogli słusznie określić — demokratyczne. Unia nie ma prawa wtrącać się do spraw ściśle wewnętrznych swoich członków nie tylko dlatego, że nie jest federacją, ale dlatego, że taka jest jej konstytucja. Niemniej jeśli przyjmiemy, że wszelkie wybory parlamentarne w każdym kraju członkowskim są sprawą tego kraju, idea równości wszystkich członków wobec prawa w sprawie na przykład przyjmowania obywateli różnych ras i religii — tak jak przyjmowania politycznie zagrożonych szukających azylu politycznego, co jest wyraźnie zastrzeżone w konstytucji Unii — może poważnie nadwerężyć tę konstytucję. Tu żadna „nuda" prawdziwa czy wyimaginowana nie ma miejsca. Tu potrzebna jest dyscyplina obywatelska i dyscyplina moralna. Bo chodzi właśnie o taką demokrację, która jest umiarkowana, taką, która ma respekt dla każdej opinii, ale jest bezwzględnie anty-radykalna. Czy mówimy o mrzonkach i niedoścignionych ideałach?

Pytanie, jakie dziś sobie wszyscy zadają, to czy ten zwrot na prawo ma szansę długowieczności? Czy się utrzyma? Jeśli poparcie dla prawicy jest jedynie protestem przeciwko nieudolności obecnych rządów, należy sądzić, że to poparcie osłabnie po pierwszej euforii sukcesu dość szybko. Doświadczenia dawniejsze wskazują na to, że im ostrzejszy atak na początku, tym trudniej utrzymać tempo. Z drugiej strony, ci, co w pierwszych rundach wyborów nie okazali zainteresowania, widząc niespodziewane rezultaty, będą pewnie głosować w następnych. Europa od wieków żyje wśród ruchów politycznych, które od czasu do czasu starają się wywołać efemerydalne trzęsienie ziemi, tam gdzie energia polityczna słabnie. Energia, jak to dobrze wiemy, jest konieczna dla zdrowia narodu i dla zdrowia Unii. Wspólna kontrola tej energii to jedno z podstawowych zadań Unii.

25.06.2002

PROMOCJA

Nie o promowaniu kultury dzisiaj będzie. A jeżeli, to tylko marginesowo. Promocja kultury ma źródło wśród nas samych. Promocja, o której będzie mowa, ma źródło wśród innych. Jej źródłem są nasi sojusznicy, nasi przyszli partnerzy w Unii Europejskiej i ci, na których poparcie liczymy w całym ogromie rozwiązań europejskich prowadzących do tego, żeby Unia była naprawdę Unią. Oto Polska została pro-

mowana na kraj, w którym demokratyczny ustrój prawny, polityczny i społeczny stawia go na równi z krajami już zjednoczonymi w Unii Europejskiej. Innymi słowy, Polska — tak jak te inne kraje — respektuje w całości wszystkie podstawowe prawa człowieka i obywatela. Każdy Polak może żyć i pracować spokojnie. Nic mu nie grozi, chyba tylko on sam, jeśli się temu prawu sprzeciwi. Praktycznym wyrazem tej promocji jest fakt, że gdziekolwiek się znajdzie poza granicami swojego kraju, nie może już być przedmiotem politycznego azylu. Umowa międzynarodowa mówi, że w Polsce już nie czyha na obywatela żadne niedemokratyczne niebezpieczeństwo. Nawet jego najbardziej drastyczne poglądy znajdą miejsce w skali wolności słowa. W tej samej skali wolności profesjonalnej wykonywanie każdego zawodu znajdzie poparcie w wolnej ekonomii. Jego wykształcenie, poza przyjętym przez kraj minimum, będzie w skali od tego minimum do „nieskończoności" — bez żadnego nacisku ani przymusu. Polska jest krajem wolnym. My o tym wiemy. Czy teraz, po promocji, będą o tym wiedzieć inni?

Przyznana nam międzynarodowa promocja to trochę jak doktorat, jak uhonorowanie stanu rzeczy, którego domagają się ci, co nas popierają. Pamiętam z dawnych dziejów naszej brytyjskiej emigracji, kiedy emigracją jeszcze nie była, jak Zygmunt Nowakowski (1891–1963), jeden z najświetniejszych felietonistów polskich XX wieku (przed wojną w Krakowie, w czasie wojny pierw w Paryżu, potem przez długie lata w Londynie) wodził rej w promocji polskiej racji stanu, nawołując do pielęgnowania dobrego imienia Polski „przede wszystkim wśród Polaków!" (w swoich regularnych felietonach w londyńskich „Wiadomościach"). Mawiał, że sami sobie często szkodzimy, uważając samych siebie za lepszych od innych. Ucieszyłby się pewnie Nowakowski z tej nowej promocji Polski. Ale wiedząc, jakim był sceptykiem, można nawet powiedzieć „niewiernym Tomaszem", myślę, że zauważyłby coś brakującego w tej promocji. Ceniłem wielce, dużo celnych uwag i komentarzy Nowakowskiego na równi z moimi rówieśnikami wojennymi i powojennymi w Wielkiej Brytanii. Muszę mu więc zawtórować — jeśli jego duch pozwoli — bo myślę, że rzeczywiście czegoś tej promocji brakuje. Ale NIE! Nic promocji nie brakuje, bo nie wyszła od nas. Wyszła od naszych partnerów unijnych. A więc w czym rzecz? Otóż w tym, że całkiem prywatnie — dla naszego tylko polskiego ucha i serca — powstaje pytanie, czy Polska zasługuje na tę promocję? Musimy przyjąć, że tak i cieszyć się z uznania sfer, które wiedzą, co robią i mówią. Ale jeśli przyjmiemy ją jako promocję na wyższy stopień wtajemniczenia, do jakiego stopnia nieskazitelne bę-

dzie nasze polskie sumienie? Mówimy o protekcji prawa, mówimy o równouprawnieniu, mówimy o spełnionych w całej sumie prawach człowieka i obywatela, a tymczasem w tej właśnie naszej Polsce nie uznano dotąd prawa własności ziemskiej... Czyż ta promocja, którą Polska uzyskała od swoich wiernych i dobrych przyjaciół, jest promocją na wyrost...? Czy jest jeszcze przewidywany inny egzamin? Nie mała matura, nie duża matura, nie magisterium, ale właśnie ten ostateczny doktorat? Tak jak szlify generalskie, tak jak kropka nad „i".

21.10.2002

DEMOGRAFIA

Listopad to okres, w którym święcimy niepodległość Polski. Też okres, w którym święcimy pamięć tych, co ją odzyskali w roku 1918 i tych, którzy jej bronili w roku 1939, i tych, którzy o nią znowu walczyli w latach 1939–1945, i tych, którzy myślą, słowem i uczynkiem przyczynili się do tego, że odzyskała samoistność od obcych wpływów w roku 1989. O tych wszystkich ciągle mowa, wiele się o nich pisze i często się ich wspomina. Zarówno w kraju, jak i na obczyźnie. Nie będzie pewnie w tym nic dziwnego, że z niepokojem czytamy w prasie polskiej — w kraju i w Londynie („Dziennik Polski" dwa tygodnie temu) — o ujemnym przyroście naturalnym w Polsce. Sprawa ludzka i nie tylko ludzka. Rzecz prosta, w wolnym kraju nie ma przymusu ani w jedną, ani w drugą stronę. Każdy wolny obywatel i każda wolna obywatelka mają prawo wyboru. Mają prawo powiedzieć „nie". I nikt im tego prawa odebrać nie może, ani się nawet nie powinien o to starać. Wolna wola i wybór jest podstawą wolności człowieka w wolnym kraju. Ale wolność i wybór muszą istnieć we własnej, swoistej dyscyplinie. Nie moralnej, nie religijnej, chociaż to bardzo może pomóc, nie politycznej, ale społecznej, czyli — co tu dużo gadać — niepodległościowej. Nie ma to nic wspólnego ze statystykami demograficznymi ani z brakiem mieszkań czy bezrobociem, ale z ciągłością pokoleń. Pokolenia tych, których święcimy w listopadzie każdego roku, odchodzą. Kto zajmie ich miejsce? Kto będzie niepodległości pilnował? Kto w corocznym listopadzie usiądzie w półmroku kościelnym i pomyśli o nich? Kto wreszcie napisze o Polsce żywej, dzisiejszej jako aktywny i istotny strażnik jej niepodległości? Zamiast odgrzewanych tekstów z wypisów historycznych...? Kto, jeśli strażników nie będzie, bo się nie urodzili?

Podejrzewam, że spadek demograficzny w Polsce współczesnej łączy się ściśle z pasją młodych pokoleń wyjazdu „na Zachód". „Zachód" — ta wielka wizja samego dobrobytu, nowych wrażeń, panaceów na szczęście doczesne po paru miesiącach czy krótkich nawet latach pozostanie wizją. A jeśli na tym właśnie „Zachodzie" polski przyrost demograficzny stanie się dodatni, to nie będzie to już przyrost strażników niepodległości Polski, ale „Zachodu". Nie mówiąc już o tym, że „Zachód" nie bardzo przyczynia się demograficznie do obrony już zjednoczonej Europy, bo deklaruje się coraz bardziej w kierunku wygodnego życia. Ale „na Zachodzie" inna jest dyscyplina niż ta, której wymagać powinna Polska od swoich obywateli. Jej geografia niewiele się zmieniła od lat trzydziestych. Nie mówiąc już o tym, że w Zjednoczonej Europie strażnicy polskiej niepodległości mogą łatwo znaleźć się w sytuacji obrońców granic tej właśnie Zjednoczonej Europy... Tak czy inaczej, ujemny stan demograficzny w Polsce może mieć daleko idące konsekwencje. Interesują nas oczywiście specjalnie konsekwencje dla Polski. Jedna z nich — jeśli nie aktywna obrona granic — to imigracja ze wschodu. Nie Polaków wracających do domu, ale innych. Zjednoczona Europa (ta rzekoma „idealna" wizja mlekiem i miodem płynąca o nazwie „Zachód") ma już dziś poważne kłopoty z nawałem przybyszów z wielu zamorskich i nawet bliższych krajów świata. Jest to nie tyle kłopot, co poważny problem zarówno moralny, prawny, jak i czysto techniczny. Młodzi zjednoczeni Europejczycy przygotowują się do spełnienia warunków traktatów europejskich, usiłując jednocześnie przekonać obecnych i przyszłych przybyszów „bez wiz", aby nie podróżowali w nieznane. Starają się działać pragmatycznie, ułatwiając im życie w ich własnych krajach. Wymaga to dużego wkładu dobrej woli, pracy i kapitału. Ale nade wszystko poczucia odpowiedzialności i obowiązku w stosunku do krajów mniej zamożnych, nowych i dalekich od wizji „Zachodu".

Tak czy inaczej, brak w Polsce dorastających młodych pokoleń — dzisiaj jeszcze dzieci — jest niepokojący. Wzruszające listopadowe uroczystości w kraju i na obczyźnie to nie tylko pamięć starych żołnierzy. Samo przypomnienie to za mało. To też — i może bardziej — przekazanie pamięci. Przekazanie tym, co dziś siedzą jeszcze w tylnych ławkach słuchając. Żeby tylko ich nie zabrakło.

18.11.2002

KOLEBKA RUCHU EUROPEJSKIEGO — PIERWSZE KROKI

Plenarna sesja Międzynarodowej Rady Ruchu Europejskiego miała swoje inauguracyjne zebranie w Brukseli od 25 do 28 lutego 1949 roku. Ruch Europejski jako organizacja powstał pod protektoratem Międzynarodowego Komitetu Unii Europejskiej na mocy uchwał Kongresu Europy w Hadze z roku 1948. Ruch Europejski miał czterech ojców chrzestnych — z Francji Léon Blum (1872–1950), socjalista, polityk i pisarz, premier Francji w latach 1936–1937 i 1938, uwięziony przez rząd Vichy i wydany Niemcom w roku 1940, premier w latach 1946–1947 i twórca tzw. socjalizmu humanistycznego; z Wielkiej Brytanii Winston S. Churchill, którego życiorysu przypominać w tym miejscu nie trzeba; z Włoch Alcide De Gasperi (1881–1954), przywódca włoskiej demokracji chrześcijańskiej, premier rządu włoskiego 1945–1953; z Belgii Paul Henri Spaak (1899–1972), polityk, przywódca socjaldemokracji belgijskiej, wielokrotny minister spraw zagranicznych i premier (także w rządzie wolnej Belgii w Londynie), współinicjator Beneluxu i NATO, w latach 1957–1961 generalny sekretarz NATO, w latach 1961–1966 minister spraw zagranicznych i wicepremier. Z grupą tych osób utrzymywał kontakt były ambasador RP w Wielkiej Brytanii Edward Raczyński (1891–1993), jeszcze wówczas za takiego uważany przez Polaków za granicą i — nieoficjalnie — przez międzynarodowych polityków alianckich. Brał on udział w rozmowach w sprawie organizacji Narodowego Komitetu Polskiego w ramach Rady Ruchu Europejskiego. W rozmowach tych brał także udział dr Adam Ciołkosz, przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej za granicą i członek Polskiej Rady Narodowej w Londynie. Z dokumentów archiwalnych, pozostawionych przez Edwarda Raczyńskiego, który prowadził korespondencję z Radą Ruchu Europejskiego, wynika, że ze strony Ruchu nie było na początku przeszkód w założeniu takiego komitetu polskiego. Więcej, Rada uważała udział wolnych Polaków za ważny dla działań i przyszłości politycznej i intelektualnej Ruchu. A przede wszystkim dla akcji ku uwolnieniu krajów Europy Wschodniej i Środkowej od dyktatury komunistycznej.

Nie było więc przeszkód ani z Brukseli, ani z brytyjskiego Londynu. Przeszkody wynikły w polskim Londynie. Duncan Sandys, zięć Winstona Churchilla i były minister w jego rządzie, tak pisał między innymi do Raczyńskiego 17 lutego 1949 roku, a więc osiem dni przed plenarnym zebraniem Rady w Brukseli: „Z żalem dowiaduję się, że pertraktacje w sprawie uformowania Polskiego Komitetu Narodowego w Ruchu Europejskim nie doprowadziły do właściwego rozwiązania. Egzekuty-

wie Międzynarodowego Komitetu zależy bardzo na tym, żeby polscy delegaci wzięli udział w zbliżającym się zebraniu Międzynarodowej Rady w Brukseli. Ponieważ nie zostało już dużo czasu, zastanawiam się, czy — aby powziąć szybką decyzję — byłoby możliwe porozumienie różnych polskich grup i wyłonienie dwóch osób, na przykład Pana i dr. Adama Ciołkosza jako delegatów tworzącego się Narodowego Komitetu Polskiego?...". 28 lutego pisał do Edwarda Raczyńskiego Zygmunt Berezowski z ramienia Polskiego Stronnictwa Narodowego: „Zajmując jak najbardziej pozytywne stanowisko wobec Ruchu Europejskiego i doceniając znaczenie udziału delegacji polskiej w zjeździe brukselskim, nie moglibyśmy się zgodzić na aprobowanie delegatów nie wybranych przez nieistniejącą grupę polską, lecz wskazanych przez Międzynarodowy Komitet Wykonawczy Ruchu Europejskiego..." i dalej: „Uważaliśmy także za szczególnie niebezpieczny precedens wyznaczanie przez organizacje międzynarodowe, kto ma być przedstawicielem Polski w ciałach obradujących i wykonawczych. W tych warunkach Stronnictwo Narodowe nie mogło i nie może, nawet prowizorycznie, uznać Pana za przedstawiciela polskiego w Radzie Ruchu Europejskiego". Zasada w gruncie rzeczy słuszna. Ale jakoś nikomu w Stronnictwie Narodowym nie przyszło do głowy, że Duncan Sandys sugerował, a nie wskazywał i że było wtedy dla Polski o wiele ważniejsze, by wziąć udział w zebraniu plenarnym Ruchu niż udziału w nim nie brać. I że nie było ważne, kto jest przedstawicielem, tak długo, jak jest on czy są oni fizycznie obecni. Nie mówiąc już o tym, że zarówno Raczyński, jak i Ciołkosz byliby w Brukseli najzupełniej na miejscu. Można mieć pewność, że ich osobiste poglądy wewnętrzno-polityczne nie wchodziłyby w grę. W rezultacie brukselskich obrad powstała w roku 1949 w ramach Ruchu Europejskiego Komisja Centralnej i Wschodniej Europy. Pierwszym jej przewodniczącym był Harold Macmillan, późniejszy premier Wielkiej Brytanii, przyjazny Polsce i Polakom konserwatysta. Na sesji plenarnej Ruchu, o której mowa wyżej, Winston Churchill wypowiedział słynne słowa: „Gorące wyrazy sympatii otrzymujemy też od reprezentantów tych krajów europejskich, które znajdują się obecnie w ucisku ciągłej i bardziej niszczycielskiej tyranii niż hitlerowska. Nasze serca są z nimi, naszym celem jest ich wyzwolenie". Nie byli to reprezentanci oficjalni, a obserwatorzy. Edward Raczyński posiadał dar intuicji opartej na dobrej znajomości Europy Zachodniej. Jak wiemy z jego licznych pism i wypowiedzi, często obawiał się przejawów dumy narodowej, niekoniecznie na miejscu w pewnych sytuacjach międzynarodowych. Choć bardzo potrzebnych w innych. Wiemy, że zastanawiał się często nad tym, czy brak naszego głosu wtedy w Brukseli może nam zaszkodzić w przyszłości.

Pytanie dziś retoryczne wobec bieżących wypadków i wobec ostatecznych już kroków wejścia Polski do Unii Europejskiej. Niemniej pytanie, które może okazać się aktualne wobec referendum w Polsce w maju 2003 roku, mającego potwierdzić nasze członkostwo. Dlatego tych parę danych historycznych dziś, ku pamięci.

18.12.2002

2002/3

Nie będzie przesadą powiedzieć, że cały rok 2002 przeszedł w cieniu chyba najważniejszego wydarzenia roku poprzedniego — 11 września w Nowym Jorku. Jakby przecięta została żyła w organizmie zachodniej cywilizacji. Zwykły porządek rzeczy został naruszony do nieznanej dotąd głębokości. Obrócił się o 180 stopni, ale powstał i wraca powoli do równowagi fizycznej. Ale czy wróci do równowagi psychicznej równie sprawnie? Ślady tej rany pozostaną na długo. Jednym z nich, poza brutalnym zniszczeniem miasta, jest ton ciągłej obawy. Nie strachu, ale niepewności. Czy może się coś podobnego powtórzyć? Natychmiastowa reakcja przeciwko terroryzmowi i zbrojna akcja w Afganistanie została nierozegrana, bo bezpośredni sprawcy zamachu są ciągle poza zasięgiem alianckich sił zbrojnych. Co więcej, ślady ich dalszej działalności odzywają się w różnych, coraz mniej spodziewanych strefach geograficznych. Konsekwencja łańcuchowa tych wydarzeń trwa. Coraz groźniejsza wydaje się akcja przeciwko Irakowi. Nie wiadomo, czy dojdzie do walki zbrojnej. Co wiadomo to to, że raz rozpędzona maszyna wojenna jest niezmiernie trudna do zatrzymania.

W tym klimacie politycznego rozkołysania i wielu niewiadomych szczyt europejski w Kopenhadze, po krótkim potknięciu w rozdziale finansowym, pozytywnie rozegrał naszą polską sprawę. Tym bardziej nie możemy zapominać o tym, że każde wygrane potknięcie wskazuje na dobrą wolę Unii w stosunku do polskiej przynależności. W związku z tym rozpoczęta przez rząd polski kampania promocji, tym razem przez duże „P", na rzecz wiosennego referendum w Polsce nabiera specjalnej wagi. To już nie polska promocja li tylko kulturalna przez małe „p", ale wielka wystawa szerokiego wachlarza wielu dziedzin życia. Nie wyłączając otwartych drzwi kultury. Mówiąc o drzwiach, a może bardziej właściwie o bramach, cała rzecz w tym, żeby były one otwarte na oścież w obu kierunkach. Tak jak członkowie obecnej piętnastki muszą poznać Polskę u siebie, tak Polska musi dać im możność

poznania nas też u siebie. Otwórzmy szeroko drzwi piętnastce w naszym domu w kraju, a inwestycje przyjdą same. Młodzi Polacy muszą mówić językami piętnastki, choćby z lokalnym swoim akcentem. Bo nie o akcent czy wymowę chodzi, ale o zrozumienie. Terminu „promocja" używa się łatwo. Przechodzi przez usta bez bólu i trudności. Ale niewiele on znaczy, jeśli nie jest poparty intensywną akcją. Intensywna akcja wymaga wymiany dóbr. Każdy kraj piętnastki jest zaangażowany w promocję siebie na świecie. Z tytułu swojej kultury i z potrzeby ekonomicznej. Jednym z warsztatów promocji są agencje turystyczne, handlowe oraz instytuty kultury. Jeżeli przyłożymy do nich siatkę mapy Europy przyjmując zasadę wzajemnych placówek dyplomatycznych, agencje te będą mogły działać intensywnie jako placówki wyłącznie promocyjne, bez napięć politycznych. Nie wyłączając artystów, pisarzy, dziennikarzy, mediów ani... profesjonalnych ekonomistów i bankierów, trzymających w swoich rękach międzynarodowe inwestycje. W zmieniającym się szybko porządku europejskim widać coraz wyraźniej linię demarkacyjną między politycznym doktrynerstwem (zwykle partyjnym bez względu na barwę) i o wiele bardziej odpowiedzialnym i sprawnym profesjonalizmem. W sumie pomiędzy bezduszną biurokracją a kreatywnością. Pierwsza oparta na trudnych do zrealizowania teoriach, a druga na poszukiwaniu docelowej prawdy.

Domowe referendum w Polsce ma wiele istotnych aspektów. Na użytek domowy. Na użytek społeczny i polityczny. Ale nade wszystko jako barometr dla Unii Europejskiej. Tym barometrem mierzyć będą w Brukseli nie tylko polski entuzjazm albo jego brak do członkostwa w Unii, ale gotowość lub jej brak do przyjęcia wszystkich warunków członkostwa tego „superklubu". Zapłaciliśmy już chyba wpisowe. Po referendum zaczniemy płacić składki członkowskie. Tak jak inni członkowie tego klubu. Nasze składki członkowskie — tak jak innych członków — złożą się na wielki kapitał Unii, z którego każdy członek będzie miał prawo korzystać według ustalonych norm. Tak jak powiedziano poprzednio, wejdzie w życie wzajemność we wszystkich dziedzinach. Sceptykom należy tłumaczyć, że wzajemność łączy, a nie dzieli. Są tacy, którzy się tej wzajemności boją. Boją się tego, że „to co moje będzie też innego". Boją się oddania duszy diabłu. Lękają się obcości praw i przepisów. Wolą własną biurokrację od cudzej. Ale po udanym referendum w kraju biurokracja nie będzie cudza. Wejdą do niej i swoi. I to pewnie — jak znamy swoich — w niemałej liczbie. Unia, tak jak wszystkie wielkie organizacje, lubi papierki i lubi urzędować. Co tu dużo gadać, my też. A więc lęk nieuzasadniony. Jak pamiętamy, w pierwszych latach funkcjonowania Unii Francja i Niem-

cy podstawiały sobie wzajemnie nogi na każdym szczeblu. Aż w końcu doszło do momentu — a chodziło wtedy o wspólną walutę — kiedy Niemcy nie mieli problemu z pozbyciem się *deutsche mark*, ale zawzięcie patriotyczni Francuzi za nic nie chcieli się pozbyć franka. Na jednym z licznych szczytów nastąpiła potyczka, która okazała się rozstrzygnięciem sporu. Na początku spotkania ktoś podsunął projekt „franko-marki". Ambasador Niemiec, odrzucając projekt, odmówił nawet dyskusji na ten temat. Nie podobało mu się, że nazwa waluty francuskiej była na pierwszym miejscu. Ambasador Francji wyszedł z sali, ukłoniwszy się kurtuazyjnie w stronę ambasadora Niemiec. Nastąpiła cisza przy głównym stole. Tylko doradcy porozumiewali się pomiędzy sobą półszeptem. Przedstawicielem Wielkiej Brytanii był wówczas Leon Brittain, który wstał, skromnie poprosił o głos i wypowiedział (w parafrazie) następujące słowa: „W czasie trwania tej niezwykle interesującej i absorbującej debaty miałem okazję zajrzeć do jednego z chyba już ostatecznych tekstów konstytucji Unii. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że w całym tekście nigdzie nie ma mowy o poszczególnych krajach członkowskich. Jest wszędzie powiedziane, że wszyscy razem tu, dookoła tego stołu mamy jedno imię «UNIA EUROPEJSKA»". Nazwę „euro" podsunął podobno właśnie Leon Brittain. Wszystkim sceptykom w kraju podsuwam pytanie: „Jaka alternatywa dla Polski poza Unią?".

27.01.2003

WOJNA CZY WALKA O POKÓJ?

Europa zawdzięcza Stanom Zjednoczonym wiele. Pomijając wojnę o niepodległość (1775–1783) i wojnę secesyjną (1861–1865), kiedy kształtowało się nowe państwo, pierwszym krajem europejskim, który uznał Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych (1776) była Wielka Brytania (1783). W XIX wieku powstały partie Demokratyczna i Republikańska, stanowiące do dziś dnia trzon Kongresu. Zważywszy na to, że wiek XIX był intensywnym okresem imigracji z Europy, a wiek XX dobitnie imigrację wzbogacił, europejska krew płynie w żyłach wielu milionów Amerykanów. Podczas pierwszej wojny światowej Stany Zjednoczone walczyły po stronie Ententy (1917–1918) i przyczyniły się do poważnego wzbogacenia arsenałów europejskich aliantów. Udział Stanów Zjednoczonych w drugiej wojnie światowej (1939–1945) nie był fragmentaryczny tak jak w pierwszej. Był niemalże decydujący. Po drugiej wojnie — żeby tylko wymienić

że decydujący. Po drugiej wojnie — żeby tylko wymienić UNRRA i Plan Marshalla, nie pominąć Komitetu i Radia Free Europe ani hartu ducha w zimnej wojnie z sowiecką Rosją, a przede wszystkim utworzenia NATO — trzeba stanąć po stronie Stanów Zjednoczonych, ramię przy ramieniu, jeśliby groził im albo stał się faktem atak zbrojny na ich terytorium. Nie mówiąc już o inwazji. Bo Europa ma dług wdzięczności w stosunku do Amerykanów. To niewątpliwe.

Dwanaście lat temu Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła większością głosów pierwszą rezolucję dotyczącą demilitaryzacji Iraku. Specjalnie w zakresie broni nuklearnej, gazów trujących i zarazków biologicznych. To było zaraz po wojnie w obronie Kuwejtu, kiedy Irak stanął wobec przeważającej siły alianckiej. Od tego czasu mnożyły się rezolucje i wzmagała się temperatura tych rezolucji. Dziś Stany Zjednoczone, Organizacja Narodów Zjednoczonych i Europa stanęły przed dylematem politycznym i moralnym. Co więcej, coraz szybsze przygotowania do użycia instrumentu wojskowego do jego rozwiązania sprawiły, że w dyskusji na ten temat biorą udział całe społeczeństwa, czyli szara publiczność, odrzucająca wszelką akcję zbrojną. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego że nie ma żadnych dowodów na to, że Irak przygotowywał atak czy inwazję na Stany Zjednoczone czy inne kraje Środkowego Wschodu. Trwa w dalszym ciągu inspekcja zbrojeń w Iraku na podstawie decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych i jak dotąd słabe są dowody rzeczowe i praktyczne co do zasobów tych rodzajów broni, które były i są przedmiotem wydanych przez ONZ rezolucji.

Zdrowy rozsądek jak i rozum polityczny — no i doświadczenie historyczne — wskazują na to, że imaginacyjne skutki domniemanych akcji nie są w stanie przekonać człowieka XXI wieku o tym, że należy o nie walczyć. Europejski człowiek XXI wieku, o tyle lepiej poinformowany od człowieka XIX i nawet XX wieku, który urodził się i wychował w czasie drugiej wojny światowej albo zaraz po niej, ceni wolność tak samo jak pokój. A co może najważniejsze, historia z którą styka się na każdym kroku — nie tylko ta dawna, ale również ta bieżąca — każe mu wątpić w intencje niesprawdzone praktycznie. Tu dodać trzeba rzecz oczywistą — różnice pomiędzy doświadczeniem historycznym Stanów Zjednoczonych i doświadczeniem historycznym Europy. Pierwsze wydaje się książkowe, drugie jest rzeczywiste. Dopóki trwa w Iraku inspekcja i nie ma istotnych dowodów rzeczowych — moralność chrześcijańska, ludzka i każda inna wskazuje na to, że nie czas jeszcze strzelać.

14.03.2003

EDUKACJA

Gwałtowna brytyjsko-amerykańska reakcja na sprzeciw Francji w wypadku zbrojnego ataku na Irak musiała wywołać mieszane uczucia po obu stronach Atlantyku. Znakomity publicysta Lord Deedes, były redaktor naczelny „Daily Telegraph", w swoim regularnym poniedziałkowym felietonie w tym piśmie (z dnia 17 marca) zastanawiał się, na czym polegają obiekcje Francuzów. W paru krótkich zdaniach wnioskował, że główną przyczyną ich stanowiska jest historia. Nie ta dawna, ale niemalże współczesna. Francuzi nie są w stanie zapomnieć strat w ludziach z czasu pierwszej wojny światowej. Nie mogą przejść nawet dziś do porządku nad zaciętymi bitwami nad Marną, nad Sommą i użyciem przez Niemców gazów trujących pod Ypres. Deedes używa ze specjalnym naciskiem bitwy pod Verdun jako symbolu najbardziej zawziętych walk, w których poległy tysiące żołnierzy po obu stronach frontu. Tym symbolem zamyka francuski argument. I jednocześnie francuską odrazę do użycia sił zbrojnych przeciwko Irakowi bez całkowitego zaplecza prawnego i moralnego Narodów Zjednoczonych. Nie mówi o fakcie oczywistym, że z pokolenia Verdun niewielu dziś żyje. Ale to nieważne. W tym felietonie ogranicza się do Francji, nie wymieniając innych krajów też w opozycji. Może jest w tym argumencie trochę prawdy, ale pamięć Verdun na pewno nie sprowokowała proponowanego francuskiego *veto*. A więc warto może doszukać się reszty — albo prawdy, albo prawdopodobnej przyczyny. Lord Deedes naiwnością na pewno nie grzeszy. Z subtelnością wytrawnego publicysty nie brnie dalej w historię. Nie cytuje Napoleona czy księcia Wellingtona. Nie wywołuje też dziennikarskiej łatwizny, bo nie przypomina tradycyjnej *love affair* Brytyjczyków z Côte d'Azur, burgundem od święta i *bordeaux* na co dzień, znanym humorystycznym tłem do obopólnych, często złośliwych żartów. Z poczuciem dyplomatycznej delikatności nie wspomina też o roku 1940. Niemniej tak jak on sam, my wszyscy wiemy, że animozja jest o wiele głębsza. Choć nie ma w gruncie rzeczy uzasadnienia wystarczającego do ostatecznej syntezy tego zjawiska, pokrywanie go mniej lub bardziej dosadną satyrą nie wystarcza. Trzeba sięgnąć do humanizmu. Do klasycznej edukacji humanistycznej Francji. I do katolicyzmu. Czyli do tego, co było od zawsze skrzętnie ukrywaną podstawą animozji. Różnice w edukacji i religii. Filozoficzny pragmatyzm Francuzów *versus* merytoryczny pragmatyzm Anglosasów.

Jest rzeczą oczywistą, że francuskie *veto* w sprawie Iraku, które tak boleśnie podminowało Radę Bezpieczeństwa i całą Organizację

Narodów Zjednoczonych, miało też inne przyczyny polityczne. A może też merkantylne? Niemniej łatwo sobie wyobrazić, że na dnie francuskiego myślenia politycznego i jego brytyjskiego odpowiednika leży — czasem w letargu, czasem ożywione ponad miarę — ziarno zazdrości.

Niespodziewany francuski wyskok w gorącej atmosferze przygotowań wojennych w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii musiał zadziwić Polaków. Nie tylko tych mieszkających w Wielkiej Brytanii, którzy często cieszą się żartami francusko-angielskimi, ale też tych mieszkających w Polsce. Nie wchodząc w ich prywatne sądy o irackiej wojnie. Jakiż inny od angielskiego był nasz stosunek do Francuzów! Francja była tradycyjnie od dawna naszym najbliższym aliantem. Polegaliśmy na Francji bardziej niż na innych przyjaznych państwach. Nasza edukacja — klasyczna i każda inna — była przez wiele lat wzorowana na systemie edukacyjnym Francji. Historia drugiej wojny światowej dodała swoje poprawki do polsko-francuskich stosunków. Niemniej lata następne, a jest już ich prawie sześćdziesiąt, złagodziły temperamenty tych, którzy pamiętają lata drugiej wojny. Można też powiedzieć, że jeśli stosunki te nie wróciły zupełnie do temperatury przedwojennej, to są jej bliskie. Bo oto w Unii Europejskiej, w której szykuje się dla Polski miejsce, Francja ma głos przewodni. Francja jest i będzie nam potrzebna jako bliski przyjaciel, jako kraj związany z nami więzami historii, kultury, religii i klasycznej edukacji. Ważna to edukacja, bo to ona jest treścią tradycji i postępu.

27.03.2003

GEST

Jeżeli młodziutki wiek XXI już zdążył nas czegoś nauczyć, to tego, że epoka politycznych gestów wyszła z mody. Zostawiliśmy ją w wieku XX, a może nawet wcześniej. Jak się okazuje, nie czas dziś na romantyczne zrywy na odsiecz zagrożonej suwerenności zaprzyjaźnionego narodu. Nie czas na heroiczne wysiłki orężne w obronie uciśnionych. Specjalnie kiedy sami uciśnieni nie są przekonani o tym, że stan ich wymaga ratowania. Czas na może równie heroiczne wysiłki porozumienia narodów. A przynajmniej poszanowania odmiennego zdania tak długo, jak tego wymagać będzie uniknięcie starcia. Dziś zasoby posiadanego niemal przez wszystkich oręża są tak straszliwe, że użycie ich — poza sianiem śmierci — niczego nie załatwia. Niczego nie go-

dzi. Nikogo nie ratuje. Nikomu nie polepsza bytu. Nie karmi głodnych ani nie leczy chorych. Ludności świata należy zostawić naturalny bieg życia. Nie trzeba go skracać przez rzekome załatwianie sporów granicznych czy przeprowadzanie zmian ustrojowych w krajach, gdzie się nam one nie podobają. Narody mają prawo samostanowienia o sobie. Związane jest z tym niepisane prawo etyki postępowania. Jest niepisane, bo musi zawsze pozostać otwarte do indywidualnej interpretacji. Ale nigdy nie znika.

Nie mamy bliższych informacji co do tego, na jakich zasadach mniejszościowy rząd polski wykonał braterski — choć symboliczny — gest w stosunku do Stanów Zjednoczonych, wysyłając oddział żołnierzy GROM-u do Zatoki Perskiej. Z jednej strony jest to gest przyjaźni dla narodu, który zawsze Polsce chętnie pomagał w czasach złych i dobrych. A więc trudno nie zauważyć też gestu lojalności dla przyjaciela, który obawiał się ataku ze strony irackiego dyktatora i który uważał tego dyktatora za źródło terroru grożącego całemu cywilizowanemu światu. Ale czy gest był na miejscu? Czy nie wystarczyłyby wyrazy przyjaźni i współczucia wraz z zapewnieniem, że w razie potrzeby...? Polska w przededniu pełnego członkostwa w Unii Europejskiej ma inne priorytety. Na pewno nie jest jednym z nich udział w wojnie o Irak. Nawet jeśli rząd polski wziął bardziej na serio niż inni partnerzy polskie członkostwo w NATO. Wojna w Iraku nie była sprowokowana atakiem na Stany Zjednoczone. Wojna w Iraku nie ma całkowitego poparcia Unii Europejskiej. Ale co najważniejsze, nie ma całkowitego poparcia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie mówiąc już o tym, że — jak donosi prasa polska — gest rządu polskiego nie ma całkowitego poparcia społeczeństwa. W tym wypadku różnica pomiędzy całkowitym a częściowym poparciem — we wszystkich tych instancjach — polega na dużej przewadze częściowego. Czyli wygląda na to, że większość jest przeciwko. Dla równowagi trzeba dodać, że w momencie, kiedy akcja stała się ostra, kiedy gruchnęły działa i bomby proporcja uległa stopniowej zmianie, bo poparcie moralne dla żołnierzy na polu walki odgrywa swoją właściwą rolę.

Innym aspektem tej niepotrzebnej i niezbyt dobrze pomyślanej wojny jest równie niepotrzebny rozdźwięk w Europie. Jeszcze nie w Unii jako takiej, bo — poza Francją, która nie wierzy w polityczne gesty i Niemcami, czyli głównymi partnerami Unii oraz paroma innymi państwami — Unia siedzi cicho. A to dlatego, że Wielka Brytania postawiła na szalę swój *special relation* ze Stanami Zjednoczonymi jako wyzwanie w stronę Unii. I w tym sęk. Gest rządu polskiego jest tylko gestem. Gest Wielkiej Brytanii jest wielkim ryzykiem dla niej

samej i dla Unii Europejskiej. W takim układzie Polska ma przed sobą jasne pierwszeństwo wyboru — Unia Europejska. Wszelkie gesty z jej strony muszą siłą rzeczy być platoniczne. „Osobiste" stosunki Polski ze Stanami Zjednoczonymi pewnie się nie zmienią z tytułu oziębienia ich relacji z Unią. Platoniczne czy nie, wszelkie gesty są niebezpieczne. Wymagają wzajemności.

7.04.2003

IMPONDERABILIA

Zjednoczona Europa jeszcze nie zdała matury, a już stara się wspinać do góry. Rym wbrew intencji, ani nawet satyryczny w zamiarze. Przeciwnie. Z powagą wartą każdej wielkiej sprawy start nowej „konwencji" europejskiej z własną konstytucją autorstwa byłego prezydenta Francji, Valéry'ego Giscarda d'Estaing, wstrząsnął Europą z wielkim hukiem propagandy i prasy. Spod Luwru zawędrował do Berlina szybkim tranzytem przez Belgię, Luksemburg i Holandię, zatrzymał się na chwilę przed samym wejściem do portu Dover i, drżąc ze strachu, wolniutko i z poczuciem ciężkiego kamienia na sercu znalazł się w samym centrum Westminsteru. Giscard d'Estaing ma wszelkie dane na to, żeby obawiać się chłodnego przyjęcia w kolebce — co tu dużo gadać — parlamentarnej demokracji. Ma ją wprawdzie też u siebie w domu, trochę młodszą i bardziej niesforną, ale wie, że Brytyjczycy zapatrują się co najmniej cynicznie na jego coraz to nowe wynalazki uzdrowienia Europy. Ambicje francuskich polityków, którzy zeszli w swoim czasie z międzynarodowej areny, nie mając już czym rządzić, zawsze wzbudzały ironiczne uśmieszki ich brytyjskich kolegów. Nawet posłuszni zwykle wobec starszych i bardziej doświadczonych Włosi nie bardzo zainteresowali się projektem nowej, jeszcze jednej konstytucji. Wszyscy sceptycy jak jeden mąż — z wyjątkiem Belgów, którzy nie mają innego wyjścia i Niemców chwilowo namiętnie zapatrzonych we Francuzów — słuchają BBC World Service, żeby się dowiedzieć nagiej prawdy o zamiarach byłego prezydenta Francji. A zamiary to on ma!

Bardzo już niedługo, w czasie szczytu w Grecji, konwencja o przyszłości Europy wejdzie oficjalnie na międzynarodowe agendy wszystkich zjednoczonych w niej państw. Brulion nowej konstytucji Zjednoczonej Europy — włączając nowych członków od 2004 roku — jest już gotowy. Wymagać on będzie konsultacji, targów, zatargów, pertraktacji,

cichych umów, głośniejszych swarów, trochę przekupstwa, tzw. *bargains*, a przede wszystkim nowych „klubików" w większym „Klubie". Każdy słabszy będzie potrzebował jednego mocnego za plecami. Każdy mocny będzie szukał słabych do podpory swoich argumentów.

Pytanie powstaje, czy zmierzamy do biurokratycznej federacji, czy do wolnej unii krajów europejskich, każdego ze swoim parlamentem, każdego ze swoim sądownictwem, każdego ze swoją polityką ekonomiczną, polityką socjalną i swoją armią. Tak jak było zamierzone od początku. Chodzi więc o to, kto będzie podejmował wszystkie nadrzędne decyzje. Czy można rządzić międzynarodowo kompleksem różnych narodowości, różnych ekonomii, różnych zasadniczych zasobów i narodowych potencjałów? Już w przyszłym miesiącu, zaraz po podstawowym referendum w kraju, Polacy będą też musieli się dobrze zastanowić nad nową konwencją i proponowaną nową konstytucją Europy. Czy model Giscarda d'Estaing jest receptą, czy zalążkiem nowych niepewności? Mówiąc o imponderabiliach, których w tych propozycjach jest cały kosz, czy nie konsolidacja powinna być dziś pierwszym obowiązkiem Unii? Na wspinaczkę na inne szczyty zawsze będzie czas. Dziś Unia musi się zbroić fizycznie i moralnie — a nade wszystko politycznie — na wypadek jakiegokolwiek kryzysu. Żadna nowa konstytucja jej nie uzbroi, dopóki Unia nie będzie prawdziwą Unią. Unia wolnych społeczeństw o narodowych barwach. Ostatnie doświadczenia w czasie irackiej wojny były papierkiem lakmusowym kryzysu cywilizacji. Jak sama nazwa wskazuje, imponderabilia to elementy, których przewidzieć nie można. Doświadczenia, choć w innej formie, powtarzają się. Niekiedy mogą zneutralizować imponderabilia.

21.05.2003

REFERENDUM

We wszystkich językach europejskich i innych powstały już olbrzymie archiwa publicystyczne, dokumentarne i informacyjne o Unii Europejskiej. W druku, na ekranach internetowych i na falach radiowych. Bibliografia wydawnictw, chociażby w języku angielskim i polskim, przekracza ilością tytułów zasoby wielu *reference libraries*. Wkrótce już Unia dojrzeje, rozkwitnie potężną grupą nowych członków. Stanie się bardziej skompletowana, dokonana i jako taka przyjąć będzie musiała nowe obowiązki. Polska poza istniejącymi obowiązkami indywidualnymi niezależnego państwa przyjmie obowiązki członka

nadrzędnej instytucji. Nawet te obowiązki, które ma dziś jako niezależny ustrój państwowy też mogą ulec zmianie. Intensywne z konieczności kontakty z innymi członkami tego międzynarodowego „nadklubu" na pewno wpływać będą, tak czy inaczej, na codzienny światopogląd osób decydujących o państwowym gospodarstwie. W tym olbrzymim już dziś zespole unijnej dokumentacji zwraca uwagę fakt, że większość tej publicystyki, tak jak niemal wszystkie debaty, dotyczy głównie chwili obecnej. Mówi się „na bieżąco", tak jakby postanowienia Unii i reakcje członków — specjalnie tych, którzy mają niedługo dołączyć — miały wpływ na dzień dzisiejszy, jakby miały być odpowiedzią na dziś, może na dzień następny, ale nie na dalszą przyszłość. Jest to błędne. Bo jeśli rzeczywiście Unia ma dać owoce takie, jakich się po niej spodziewamy, to najważniejsza jest jej — i jej członków — przyszłość. Zadania, jakie przed Unią stoją są tak wielkie, że dzień, tydzień, miesiąc ani rok nie wystarczą. Unia, jeśli te zadania dobrze rozumiemy, musi się scalić, rozejrzeć, upewnić swoją pozycję w świecie, nauczyć się żyć i pracować jako zespół europejskich narodów złączonych wspólnym celem prawomyślności, dobrobytu i nienaruszalności. Nade wszystko budować przyszłość, bo teraźniejszości daleko do ideału.

Dlatego referendum polskie jest takie ważne i dlatego taka pożądana jest odpowiedź „TAK". Państwo polskie budować się będzie w Unii jako państwo odmłodzone. Wcale nie tylko dzięki dobrodziejstwom Europy, nie tylko dzięki możliwościom odrodzenia rolnictwa, nie tylko dzięki kredytom przemysłowym i inwestycjom zagranicznym, nie tylko dzięki otwartym na oścież możliwościom poruszania się po świecie i nie tylko dzięki temu, że sklepy będą lepiej zaopatrzone w zagraniczne towary. Ale z tego powodu, że wiele europejskich instytucji naukowych i warsztatów pracy — nie mówiąc o arcydziełach sztuki i architektury oraz wielkich bibliotekach i muzeach — będzie dostępnych dla młodych. Nie jako ekonomicznych turystów, ale jako równoprawnych obywateli europejskiej wspólnoty. Europa, a z nią młoda Polska, budować się będzie na zasadzie poznawania nowego świata, na zasadzie współpracy z młodymi w tym nowym świecie, na zasadzie lojalności i na zasadzie wzajemnego poszanowania indywidualnych narodowych tradycji. Dotyczy to wszystkich europejskich członków Unii. Tak jak dziś widzę młodych i żądnych nauki Polaków w Wielkiej Brytanii, tak widzę takich samych studentów brytyjskich w Jagiellonce. Na tym Unia Europejska polega. Jeśli biorąca udział w referendum młodzież przyjrzy się z bliska mapie, to zobaczy, że te dystanse geograficzne, które dawniej — za sprawą czasem nielogicznych granic państwowych — były jak bariery nie do przebrnięcia, dziś

znikają z mapy, a ich obecność potwierdza sama tożsamość narodowa. To dla dobra rosnącego młodego pokolenia, nie tracącego swego własnego miejsca w nowym, rozszerzonym układzie i porządku, w którym grać mu przyjdzie ważną rolę. Przyszłość Polski w Unii od nich zależy.

23.05.2003

HEJNAŁ DO PRZYSZŁOŚCI

Polska oddała głos w referendum o miejsce w Europie. Tym samym oddała głos rozsądkowi większości. Ponieważ mniejszość też ma swoje prawa, można dodać, że mieszane uczucia mniejszości co do udziału europejskiego klubu w sprawnie działającej demokracji też mają swoje miejsce. Rezultat referendum podkreślił wierzytelność głosowania. Europa przywitała polski głos niemalże z entuzjazmem. Prasa wszystkich członków Unii w pierwszej fazie na czele z brytyjską, francuską, włoską i hiszpańską uznała to za dobry omen na przyszłość. Spoza członków to Amerykanie, którzy cenią sobie — jak się okazuje — nowy układ swoich stosunków z Polską, niemal z radością przyjęli pozytywne sygnały unijne z Warszawy. Pytanie, czy to pozytywna transfuzja nowych idei, czy może więcej — świeże spojrzenie na stare problemy? Ale nade wszystko ci, co nie poznali dotąd nadwiślańskiego kraju, widzą zmianę klimatu. Widzą może nawet młodsze pokolenie nowych członków z jego innymi, głęboko przeżytymi doświadczeniami. Jeśli nie tylko ich samych, to ich ojców i dziadów. Europa tych doświadczeń potrzebuje — nie jako wypisów historycznych, ale jako świadectw naocznych. Doświadczenia obejmują cały kompleks wydarzeń jeszcze świeżych w pamięci tych, którzy właśnie w Polsce głosowali za przystąpieniem do Unii. Doświadczeń nieznanych większości członków Unii, takich jak na przykład wieloletnia okupacja kraju przez wrogi reżim w czasie pokoju.

Bo właśnie o ten pokój chodzi. I o spokój, odrzucający strach przez przyszłością oraz obawę o naruszenie suwerenności państwa. Chodzi o wolność w poruszaniu się po całym świecie, o naukę i o pracę. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku Europa i z nią Polska doznały smutnych doświadczeń w serii tzw. paktów o nieagresji. Polska doświadczyła ich mocno na własnej skórze. Tak zwane pakty o nieagresji pomiędzy Polską i Niemcami, a potem Niemcami i Rosją sowiecką były zwykłym politycznym oszustwem. Może dawały parę chwil wytchnienia tak jak parę kropli walerianowych, ale nic więcej.

A co gorsze, były zasłoną dymną do przygotowywanych agresji zbrojnych. Pamiętając o tych nic nie znaczących dziś dokumentach, które przed drugą wojną były mimo wszelkich wątpliwości świadkiem nadziei, odczuwamy ulgę z powodu przystąpieniu do Unii Europejskiej. Oto już w połowie przyszłego roku, jeśli kalendarz się nie zmieni, Polska będzie miała nie „tak zwane", ale rzeczywiste pakty o nieagresji ze wszystkimi członkami Unii. Co więcej, nie zostaną one wypisane w specjalnych dokumentach. Nie będzie to potrzebne, jako że będą zasadą członkostwa w Unii. Wizja zmiany w kartach przyszłej historii Polski jest zaskakująca. Nie miecze będą ostrzyć w przyszłości młodzi Polacy, a języki na międzynarodowych arenach. Karty tej historii nie będą jednak białe. Zamiast bitew, oblężeń, więzień, obozów i przelewu krwi ozdobią je osiągnięcia wiedzy, nauki i sztuki.

Dobrze się stało, że europejska prasa dość szczegółowo i rzeczowo omówiła zbliżenie polsko-amerykańskie. Stało się to oczywiście z przyczyny kontraktu na samolot „F16", jak też za sprawą polskiej solidarności ze Stanami Zjednoczonymi w czasie wojny irackiej. Umacnia to Polskę też w Unii. Tak jak świat światem, w każdej unii, w każdej społeczności połączonej zawsze będą silniejsi i słabsi. Tak już jest i tego nikt ani nic nie zmieni. Nie o zmianę tu chodzi, a o świadomość stanu rzeczy. Dopiero wtedy nic nikomu tłumaczyć nie trzeba. Rzecz jest jasna jak na otwartej dłoni.

20.06.2003

DWA OGNIE

To nie paradoks ani śmieszny aforyzm — rządy bez opozycji więdną. A powinno być odwrotnie. Kiedy więdną z powodu braku debaty, stają się autokratyczne, żeby nie powiedzieć dyktatorskie. Każdy parlamentarny system w każdym cywilizowanym kraju musi mieć w sobie co najmniej dwa głosy — jeden „za", a drugi „przeciw". Taki stan rzeczy jest idealny. Polska ma w swoim układzie parlamentarnym dziś jeden głos „za" i plejadę głosów „przeciw". Głos „za" ma się jak dotąd dobrze. Nawet za dobrze. Głosy „przeciw" mają się o wiele gorzej. Jest ich wprawdzie więcej, ale choć ich koncepcje często się do siebie zbliżają w teorii, złośliwa rzeczywistość przekornie psuje im szyki. Chodzi albo o detale, niekoniecznie ze sobą zbieżne, albo o personalia, często bardzo zbieżne. To już nie tylko sprawa rządzenia (kto i dlaczego?), ale rzecz ambicji indywidualnych lub grupo-

wych, którym obca jest koncepcja kompromisu. A jeszcze bardziej jest im obca koncepcja współpracy, nawet w tych rejonach, gdzie zgoda zasadnicza jest w sumie do przyjęcia. Tak zwana demokracja, w którą rzekomo wszyscy głęboko wierzymy, to nie jest jeden znicz jak wartownik na warcie czy gwiazda przewodnia na niewidocznym firmamencie przyszłości kraju, ale — dużo prościej i dużo praktyczniej — codzienny zastrzyk energii do systemu tak jak transfuzja krwi. Jej zapalnikiem jest potrzeba zabezpieczenia bytu narodu. Wewnątrz kraju i poza jego granicami. Byt narodu pali się wiecznym ogniem potrzeb doczesnych. Tych, które nigdy nie gasną. Rzecz w tym, że głosy „za" i głosy „przeciw" uznają, każde sobie, inną listę potrzeb. Czyli w systemie, nawet po udanej transfuzji, potrzeby tak jak ich zabezpieczenie walczą ze sobą w dwa ognie. Głosy „za" mają listę krótszą. Głosy „przeciw", licząc z grubsza, mają tyle list, ile frakcji tego sprzeciwu.

Żyjemy pod znakiem euforii członkostwa w Unii Europejskiej. Pod tym znakiem kryje się wiele nadziei, wątpliwości i elementów nieznanych. Kryją się też pod nim różne nowości, do których nie jesteśmy jeszcze zupełnie przyzwyczajeni. Są to nowości, które niektórzy mogą uważać za drugorzędne, mniej ważne, nie te, których decyzje zaważą na całej Unii, a specjalnie na jej nowych członkach. Może to jest powodem głuchej, jak się wydaje, ciszy prasowej i publicystycznej o instytucji, której wagi nie można lekceważyć — Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Jeśli przyjrzymy się tej instytucji, do której — nawiasem mówiąc — niektórzy „starzy" Europejczycy odnosili się sceptycznie, ujrzymy obraz, na tle którego bielą się obłoczki idealizmu. Pod tymi obłoczkami, które w założeniach nadają kierunek obradom, odbywają się debaty, z których mają wyniknąć decyzje, a więc baza działań Komisji Europejskiej.

Maj 2004 to już zaledwie parę miesięcy. W Polsce tak jak w innych nowoczłonkowskich krajach będą pewnie w swoim czasie wybory do Parlamentu Europejskiego. Z natury rzeczy będą w nim reprezentowane narodowe partie polityczne według odpowiedniego klucza. Znowu ta dziwna demokracja! Jakiego klucza? Już dziś na ulicy Wiejskiej w Warszawie powinno wrzeć. Jak dojść do równowagi głosów? Czy jeden głos „przeciw" za trzy głosy „za", czy odwrotnie? A może puścić wodze czystej fantazji i uznać tylko wolne, niepartyjne głosy tych kandydatów, którzy przeszli przez demokratyczny proces eliminacyjny swoich okręgów wyborczych? Być może transfuzja, taka trudna na ulicy Wiejskiej w Warszawie, okaże się mniej bolesna w Strasburgu.

22.10.2003

EUROKONSTYTUCJA

Jeszcze jesteśmy trochę z boku, bo dopiero w maju przyszłego roku będziemy mogli zabierać głos w sprawie proponowanej przez byłego prezydenta Francji, Giscarda d'Estaing, europejskiej konstytucji. Kiedy już nie będziemy z boku, Polska orientacja europejska będzie miała szansę rozejrzeć się w najlepszej dla niej selekcji paragrafów konstytucji. Będzie to droga wyboista, bo państwa europejsko silne i zamożne spiszą reguły, które mogą łatwo przejść ich większością głosów. Pewnie trzeba będzie się uzbroić w cierpliwość. Droga może się okazać mniej wyboista, jeśli użyje się systemu narodowego referendum, do którego wszyscy członkowie Unii — i ci z maja 2004 — mają święte prawo. Pierwszym stopniem do przygotowania jest znajomość przedmiotu. Nasi brytyjscy przyjaciele w osobach obecnego rządu i jego dużej większości w parlamencie nie popierają referendum („White Paper", wrzesień 2003). Mają jednak poważne obiekcje w kwestii odebrania im prawa ustanawiania własnych podatków, decyzji obronnych i polityki zagranicznej. Wydaje się to logiczne, choć nie powiedziano jasno, czy paragrafy wymagające włączenia tych trzech warunków dotyczą tylko Wielkiej Brytanii, czy ogółu sygnatariuszy konstytucji.

Ponieważ nie ma równie głęboko idących porównań historycznych, przyszłość konstytucji europejskiej ma w sobie wiele akcentów spekulacyjnych. Cała koncepcja wygląda dosyć empirycznie. Ma się też wrażenie, że ci jej prekursorzy, którzy do konstytucji tej bardzo się spieszą, mogą mieć cele mniej idealistyczne, a może bardziej krótkoterminowe.

Nie przesądzając wyniku dalszych rozważań na ten temat ani dalszych pertraktacji na szczytach i gdzie indziej, muszę przypomnieć, że uczono nas dawniej w szkołach, że konstytucja to rzecz niemal święta. Co więcej, dla mnie i na pewno dla wielu innych samo słowo, sam termin „konstytucja" ma w sobie wiele narodowej intymności. Nasze polskie narodowe wychowanie indywidualne i społeczne było zawsze związane silnie z konstytucją. Pokolenia o nią walczyły. Pokolenia czerpały z niej wolność i pokolenia uczą się dla niej respektu. Zmierzam nie do łatwych sentymentów. Staram się iść drogą, która wymagać będzie od nas wielkiej i głębokiej rozwagi, nim jako naród złożymy podpis pod nowym europejskim dokumentem, który też nazywa się konstytucją. Kiedy taki podpis złożymy, będziemy siłą rzeczy traktować tę nową konstytucję z takim samym głębokim respektem jak naszą własną od zawsze.

Nasi brytyjscy przyjaciele, ci sami, o których mowa wyżej, sprzeciwiają się referendum, przyjmując stanowisko swojej (rządzącej dziś)

partii. Ich parlamentarna większość daje im wystarczający do tego mandat. Można się co do tego sprzeczać, ale to nie nasza rzecz (parlamentarna opozycja — konserwatyści i demokratyczni liberałowie — żąda referendum). W Polsce sytuacja jest inna. Chodzi właśnie o ten mandat. Dlatego kiedy przyjdzie decydować, dla Polski referendum będzie niezbędne. Jak powiedziano i potwierdzono wielokrotnie, miejsce Polski w Unii Europejskiej — dziś już zapewnione dzięki referendum — jest dla niej olbrzymiej wagi. Krok następny do konstytucji Europy to rzecz jeszcze do dyskusji.

6.11.2003

Z MOSTKA KAPITAŃSKIEGO

Do Londynu przylecieli ostatnio kolejno, jeden po drugim — prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush i prezydent Francji Jacques Chirac. Każdy ze świtą. Premier Wielkiej Brytanii nie potrzebował świty, bo był u siebie w domu. Potrzebował natomiast dużo poczucia humoru. Bo oto gra jest znowu w dwa ognie. Stojąc jakby na mostku kapitańskim atlantyckiej wyspy, widzi jednocześnie atrakcyjny bezkres Atlantyku i brzegi słonecznej Europy. Wielka brytyjska tradycja polityczna, oparta na filozofii głębokich brzegów morskich jako granic państwa jest dziś w pozycji wyjściowej w dwóch kierunkach. Pierwszy to braterstwo broni i ropy naftowej Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Drugi to blaski i cienie Zjednoczonej Europy pod proporcem europejsko ambitnej Francji i stojących u jej boku zbiedniałych Niemców. Jak się okazuje, wyspa to też filozofia. Atut o wielkim ciężarze gatunkowym. Bush to rozumie. Chirac zazdrości. Blair wykorzystuje. Ale gra na nim się skrupia. Tak jak prima balerina, o której łaski zabiegają liczni konkurenci, Blair stoi na tym mostku (sam nie wie, na jak długo), licząc na tradycyjny — znowu — temperament swoich rodaków, którzy tak jak on, bez względu na przydział partyjny, będą traktować cudzoziemskich konkurentów po angielsku. *No committment*. Jeśli jakikolwiek *committment*, to nigdy jako *carte blanche*, nigdy bez warunków i zawsze z wypowiedzeniem. Wyspa może w końcu bez najmniejszego trudu podciągnąć kotwicę.

Tak się składa, że Wielka Brytania ma parę poważnych kłopotów z Europą, tak czy inaczej zjednoczoną. Lista jest długa — proponowana przez Francuzów i natarczywie agresywna europejska konstytucja, wspólna europejska waluta (euro), uniwersalne podatki, własne siły

zbrojne, unijna polityka socjalna, by wymienić tylko te najważniejsze. Czyli w sumie pochłonięcie suwerenności. Ze Stanami Zjednoczonymi Wielka Brytania ma o wiele mniej kłopotów — brytyjscy więźniowie na Gwantanamo Bay na Kubie, nieporozumienia co do roli NATO w stosunku do europejskich sił zbrojnych, z którymi współpraca wymaga jakiejś logiki istnienia i wreszcie, najmniej groźne, amerykański kapitał na brytyjskiej wyspie. Tu Wielka Brytania ma znów wielki atut w postaci wspólnego (jak czasem) języka. O ileż łatwiej się porozumieć i zrozumieć z partnerem z Teksasu niż z partnerem z Pól Elizejskich, którego język, wprawdzie klasyczny w stylu, zawsze brzmi ironicznie w angielskich uszach.

Wybitni teoretycy nauki o polityce mówią nam, że nie istnieje już w dzisiejszym świecie zupełna neutralność, zupełna samoistność. Musimy się wszyscy ciągle opowiadać po jednej albo po drugiej stronie argumentu. O dylemacie Wielkiej Brytanii mówiła niedawno w programie Newsnight (BBC2) Baroness Williams, partyjnie zbliżona do Liberalnych Demokratów, była posłanka do Parlamentu, członek Izby Lordów, profesor nauk społecznych i politycznych w London School of Economics, w Oxfordzie i w Uniwersytecie Harvarda. Może warto sparafrazować jej opinię o samoistnieniu krajów zachodniej cywilizacji. Brzmi to tak: „Pytanie brzmi, czy mamy podstawy moralne, aby narzucać innym społeczeństwom nasze wartości społeczne i polityczne, nasze tradycje, które mogą być sprzeczne z innymi tradycjami? Na pewno nie. Ale mamy moralne prawo i nawet obowiązek zawsze szukać wspólnych wartości wszędzie tam, gdzie mogą one pomóc w utrzymaniu światowego pokoju".

Filozofia tej wyspy ma wszelkie dane na to, żeby pozostać na zawsze wyspą. Inaczej być nie może. Jest to chyba jedyny casus w Europie. Ale w Unii Europejskiej już są i wkrótce będą nowe kraje. Ich kotwice są w nich samych.

1.12.2003

EUROPEJSKOŚĆ

Żyjemy w euforii przystąpienia do klubu wyróżnionych, w ekstazie spodziewanej manny nawet z zachmurzonego nieba, wśród dźwięku trąb triumfalnych, że tak się nam dobrze udało. I że przyszłość już jest różowa, bo tak się nam należy po latach zmagań, trudów i nie bardzo wyraźnej pozycji w świecie. Od maja roku 2004 powinny się

skończyć zmagania, trudy mają być pokonane, a nasza pozycja w świecie ma nabrać wyraźnych kolorków. Wskazują na to rumiane w podnieceniu policzki coraz to liczniejszych i coraz młodszych przybyszów znad Wisły nad Tamizę. Jak im się dobrze przyjrzeć, to pod rumieńcem dojrzeć można łatwo bladość i zapadnięte oczy. Oni to, nieuleczalni optymiści — bo tak nakazuje ich młodość i ciekawość nowego życia „na Zachodzie" — już nie patrzą do tyłu, ale patrzą wprost przed siebie, mimo że nie widzą tam nic innego poza własnym wyobrażeniem, jak ten „Zachód" wygląda. Nie patrzą do tyłu, bo tam słyszą tylko skargi na polityków wszystkich odłamów, na skandale polityczne i finansowe, na wzrastające bezrobocie i nieunikniony wzrost kosztów życia. Dobrze, że mają taką wyśnioną wizję tej cudownej przyszłości. Mniej dobrze, że ci, co nie płyną wielką falą „na Zachód", pozostaną z tymi problemami jeszcze może na długo. W każdym razie na dłużej nie starczy sił euforii i marzeniom o mannie. Patrząc na to niespodziewane zjawisko, w tym tak dziś dziwnym świecie, może warto się zastanowić nad tym, co to właściwie jest ta „europejskość"? Czy to, co nazywa się w wielkim skrócie — „ten Zachód"?

Europejskość to pojęcie czysto intelektualne. Ma oznaczać wiele cech i wartości. Są one możliwe do ogarnięcia rozumem albo sercem — jak komu wygodnie — ale nie można ich wziąć w rękę. Nie można ich dotknąć palcami. Są ściśle złączone z pojęciem kultury. A także z pojęciem tradycji, historii i zwyczajów. A więc mają wiele wspólnego ze stosunkiem człowieka do człowieka, czyli z dość rzadkim dziś przymiotem tolerancji. Jeśli to są bazy europejskości, to narzucają one zasadnicze obowiązki i przywileje na ludzi mianujących się Europejczykami. Stąd już tylko krok do sposobu postępowania. I tu europejskość natrafia na drogę naszpikowaną przeszkodami. Bo, tam gdzie połączenia są delikatne i niekiedy wręcz drażliwe, gdzie już nie intelektualne rozwiązania są możliwe, ale raczej „fizyczne", w grę wchodzą podstawowe decyzje „jak?". Pierwszy skok w realia moralności, a raczej morałów. Tu droga wyboista zamyka się na dobre. Bo o moralności decydują znowu pojęcia intelektualne, raczej niż jakiekolwiek inne. Jak więc ująć tę europejskość? Jak ją przymierzyć do poszczególnych jednostek państwowych i narodowych? Jak z niej wydobyć wspólny mianownik, pasujący jednakowo i jednocześnie do wszystkich? Jeśli państwo czy naród porównać do jednej osobowości, musimy jej przyznać jedyną, do żadnej innej niepodobną indywidualność. Każda z nich będzie walczyć o siebie na każdym terenie oprócz swego własnego. Na każdej międzynarodowej platformie, na każdej trybunie, na każdym kroku, gdzie jej interes własny jest zagrożony. Tak oczywi-

ście powinno być. Ale gdzie wobec tego europejskość? Gdzie ta jedna, nigdzie nie wspomniana, niewidoczna gołym okiem nić łączności? Gdzie sedno sprawy, które nakazuje wszystkim taki czy inny sposób postępowania?

Przyjmując, że euforia, entuzjazm i optymizm są w tym momencie właściwe, jak widzi europejskość Francuz, jak Niemiec, jak Włoch, jak Hiszpan, a jak Polak? Francuz pojmuje europejskość jako francuski wynalazek tak jak demokrację, kulturę *per se*, parlamentaryzm, literaturę, teatr i gastronomię, nie zapominając o tolerancji. Niemiec widzi swój kraj i swój naród jako zalążek dobrego europejskiego porządku, a ponieważ ma trudności z językiem francuskim i z łaciną, uważa tylko swój język za logiczny i jasno wyrażający jego pogląd, mimo że większość Europejczyków go prawie nie zna. Cierpi też często na zanik pamięci, zrozumiały tylko w niemieckim języku, a więc wyłącznie jego rodakom. Włoch cieszy się życiem takim, jakie ono jest i za żadną cenę nie chce tego zmieniać. Jego europejskość (a jest może jej najbliżej ze wszystkich, specjalnie jeśli ma głos głębokiego tenora i jest faworytem wszystkich europejskich sal operowych) jest czymś, co dodaje wdzięku jego pojęciu o wspólnocie interesów z innymi krajami — tak długo, jak nikt nie odważy się zmieniać jego natury. Każdy konflikt traktuje jak mecz piłki nożnej — jeśli go przegra, święcie wierzy, że wygrał. Hiszpan to wcielona duma hiszpańskości. Nie europejskości, do której ma wszelkie prawa intelektualne, moralne. Przyjmuje je z niemałym wyczuciem tego, co dla niego dobre. Resztę odrzuca. Nie grzeszy skromnością. Uważa swoją ojczyznę za „kontynent" raczej niż kraj, a swój naród za wyjątkowo obdarzony, niekoniecznie poczuwający się do obowiązków wobec innych. Nawet partnerów. Co do Polaka, trzeba go podzielić na dwie osoby. Czasem nawet na trzy albo więcej. Pozytywnie ocenia swoją postawę w stosunku do Europy, ale ani piędzi ziemi... Mniej pozytywnie ocenia postawę innych w stosunku do siebie. Członkostwo w Unii Europejskiej uważa za coś, co mu się słusznie należy. Co do jego europejskości, sam nie ma żadnych wątpliwości, że odpowiada wszystkim jej warunkom. Co do ambicji, widzi siebie jako budowniczego nowego systemu obrony Europy. I ma rację, jeśli — jak to miało już w historii nieraz miejsce — partnerzy nie zawiodą. Jest jedna wątpliwość. Czy powtarzające się lekcje historii wystarczą i czy dość głęboko partnerzy zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo otwarte są wschodnie granice Unii Europejskiej? Swój własny kraj widzi jako ciągle za mało „zachodni". W każdym Polaku jest więc co najmniej trzech rodaków — kandydatów do europejskości. Jeden się śpieszy, drugi idzie krokiem wolniejszym,

a trzeci ma wątpliwości. Jest jeszcze czwarty — ten, który rozumie, że europejskość ma niewiele wspólnego z Unią Europejską. Bo jest czysto pojęciem intelektualnym. Pewnie dlatego nie ma o niej mowy w żadnym traktacie ani w żadnej tzw. konstytucji europejskiej.

17.01.2004

ZIEMIA RZECZ ŚWIĘTA

Mam przed sobą dokument smutny. Nie tylko z tytułu treści, co już samo w sobie byłoby najzupełniej naturalne, ale też i może bardziej dlatego, że sprawa nie jest przedmiotem tak wielkiego rozgłosu, na jaki zasługuje wśród wszystkich Polaków jak świat długi i szeroki. I dlatego, że głucho o nim w Polsce, mimo że mija blisko piętnaście lat od chwili, kiedy Polska jest sobą. Dokument ten nosi datę 8 stycznia 2004 roku. Jest skierowany do członków Związku Polskich Ziemian w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i USA. Zawiera sprawozdanie z ostatniego walnego zebrania członków Związku w Londynie. Sprawa w swojej istocie jest właściwie niezwykle prosta. Chodzi o ziemię i własność prywatną, którą wskutek nieprawnych machinacji politycznych zabrano prawowitym właścicielom i jak dotąd nie oddano. Nie zostało w Polsce uznane prawo własności. A prawo własności w cywilizowanym świecie jest rzeczą nietykalną. Więcej, jest zasadniczą podwaliną wolnych społeczeństw. Piętnaście lat temu wydawało się, że po wolnych wyborach parlamentarnych, po uporządkowaniu spraw najważniejszych nowy skład sejmu i senatu dołoży wszelkich starań, by zalegalizować oddanie własności prywatnej prawnym właścicielom lub w trybie prawnym, przyjętym przez obie strony (państwo i właściciela), porozumieć się co do właściwego odszkodowania. Wiemy, że państwo było biedne i chude. Ale wiemy, że istnieją przyjęte przez cywilizowany świat sposoby na porozumienie stron z uniknięciem niepotrzebnego konfliktu. Polska ziemia została jakby wyjęta z takiego równania. Pozostała pustka prawna wypełniona skargami poszkodowanych — zarówno w kraju, jak i za granicą. Dziś czekają oni na nowe wybory parlamentarne, a także na maj 2004, kiedy Polska wejdzie do Unii Europejskiej jako pełnoprawny jej członek.

Co znaczy pełnoprawny członek Unii? Czy znaczy to, że właściciel pozbawiony przez swój własny rząd swego prawnego mienia ma szukać odwołania u obcych? Czy ma prawo szukać go — więcej, wymagać go — u swoich? Jaka procedura prawna istnieje, aby odebrać to, co już jest

własnością? Jaki argument jest potrzebny, aby przekonać swój własny kraj, że działa wbrew prawom człowieka? Różne czynniki rządowe w kraju przebąkują od czasu do czasu o odszkodowaniach za utracone, czyli zarekwirowane własności. Na jakiej zasadzie? Czy na zasadzie wyroku sądowego, czy na podstawie negocjacji, czy przez licytację, czy przez wymiar rządowy bez prawa apelacji? I w jakich walorach?

Chyba nie będzie przesadą zanotować, że zwrot własności prywatnej polskim obywatelom — obojętnie, gdzie są dziś — jest i będzie trudnym do przeskoczenia progiem w realizowaniu koncepcji równości wobec prawa wszystkich obywateli Unii. Dotychczasowa logika wydarzeń w brukselskiej biurokracji — połączona z niejasnym zrozumieniem tego, co jest pilne, a co może poczekać — wskazuje na to, że aby wybrnąć z tej sytuacji z honorem, Polska ma przed sobą decyzję, która może w przyszłości zaważyć głęboko na jej sytuacji w Unii. Czyż leży w jej interesie, by tworzyć przeciwko sobie potencjalną opozycję do wykorzystania przez Unię w razie potrzeby?

Jest rzeczą oczywistą, że Polska potrzebuje Unii. Czy do takiego samego stopnia jak Unia potrzebuje Polski? Przypuśćmy, że tak. Przypuśćmy, że w europejskiej filozofii — zarówno merkantylnej, jak i obronnej — Polska będzie ważnym elementem. Tym bardziej polska praworządność, specjalnie w sprawie poszanowania własności prywatnej, będzie może uważana za europejskie świadectwo dojrzałości. Dziś poza wyrazami przyjaźni i zrozumienia — jak dotąd czysto platonicznego — Bruksela nie ma wielkiej ochoty wtrącać się w trybie urzędniczym do wewnętrznej polityki przyszłych członków. Notuje na przyszłość wypadki i sytuacje godne zanotowania. A jak notuje, to gdzieś to w aktach zostanie. Tu przyjdzie egzamin, już nie tylko kurtuazyjny. Jest możliwe, że Polska w normalnym biegu unijnych procesów uzgadniających współpracę będzie bardziej potrzebować Unii niż Unia Polski. Cóż za wspaniała okazja na gest polityczny bez większego uszczerbku na zdrowiu?

Dziś ziemia polska przeżywa kryzys tożsamości. Wiemy, ile wymaga ona wkładu inwestycyjnego, ile nowej wiedzy rolniczej i produkcyjnej, ile nowej techniki. Jasno widać krzywdę, która się tej ziemi dzieje i jeszcze większą krzywdę, która się dzieje tym, którzy starają się na niej pracować i z niej żyć. Wiemy, że istnieją w Wielkiej Brytanii poważne ośrodki inwestycyjne zainteresowane użyciem poważnego kapitału w polskim rolnictwie. Tradycje brytyjskiego rolnictwa — od wieków w rękach prywatnych — dyktują, aby rozmawiać z właścicielem, który będzie jednocześnie partnerem. Tradycje tutejsze nie uważają rządu za właściwego partnera. Wiek XX nauczył

nas chyba, że urzędnicy nie mają ziemi we krwi tak jak ją mają chłopi i ludzie żyjący z roli i na roli. Praktycznie rzecz biorąc, dziś ostatni już dzwonek, by w maju dać tej polskiej ziemi własny oddech. Ta ziemia nas wszystkich karmi.

14.02.2004

PARADOKSY

Żyjemy w świecie paradoksów. Jedne są aż śmieszne. Inne wręcz smutne. Jeszcze inne takie, że nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Ale są też takie, które budzą lęk i teraźniejszości, i przyszłości. Są paradoksy wynikające z czystej głupoty, czasem z braku poczucia humoru albo niekiedy niechcący z przypadku. I są też inne — wynikające z przesytu wiedzy niewłaściwie użytej. A na co dzień mamy do czynienia z paradoksami, których celem jest zagłuszenie prawdy albo jej przeinaczenie na użytek tych, którzy widzą w tym im tylko znany cel. Oto zbliżamy się do maja 2004 roku. Widać już dziś jasno, że równocześnie z tym, jak rozszerza się Unia Europejska, kurczy się jej przedmiot, czyli Europa. Z jednej strony znikają słupki graniczne i zwiększa się ruch narodów, a z drugiej Unia będzie miała jedną nadrzędną stolicę w Brukseli. Z jednej strony rozrosną się granice wspólnego europejskiego rynku towarowego, a z drugiej skurczy się potencjał rynku pracy, którego najbardziej ponętna koncentracja skusi wysoko rozwiniętym przemysłem. Żądni pracy i szybkiego zysku pędzić będą jak do ula tam, gdzie miód najsłodszy i zarobki największe. Europa się kurczy nie geograficznie, a społecznie i politycznie. Unia się rozszerza tylko geograficznie. Członkostwo w Unii jest dla Polski konieczne. O tym wszyscy wiemy. Ten rzekomy paradoks jest praktycznym wyrazem tego, że Unia składa się z wielu składników. To samo w sobie może się okazać paradoksem, jeśli wszyscy członkowie Unii nie dotrzymają słowa.

Paradoksem wydaje się szeroko rozgłoszona zapowiedź przyjazdu do Wielkiej Brytanii — rzekomo za chlebem — „tysięcy" młodych Polaków w maju 2004. Z jednej strony przyciąga ich różnica zarobków, ale z drugiej strony rynek pracy w Unii jest im dostępny na najniższej skali społecznej. Tymczasem są i będą oni coraz bardziej potrzebni we własnym kraju. Kto ich w kraju zastąpi, kiedy Unia dotrzyma słowa? Tam konkurować będą o pracę nie z Anglikami, ale z przedstawicielami wielu ras i wyznań. W Polsce konkurować o pracę

mogą z własnymi. Rynek pracy nigdy się nie wyrówna. Będzie zawsze na każdym szczeblu narodowy, nigdy międzynarodowy, bo ten jest tylko w Brukseli — urzędniczy, nie profesjonalnie zawodowy, ale w gruncie rzeczy polityczny. Polską formę życia w skali międzynarodowej mogą mieć młodzi Polacy na własnej ziemi. Jeśli będą się mogli porozumieć po angielsku czy po francusku, to ważne dla nich i dla Polski, ale muszą do niej wrócić.

Głucho w prasie anglosaskiej o polskich żołnierzach w koalicyjnej armii w Iraku. To może lepiej. Nie polska to właściwie sprawa. Rzecz w tym, że wojna w Iraku jest rezultatem paradoksu wynikłego z nieporozumienia. Albo raczej z cichego porozumienia, o którym przypomniał odkryty dopiero niedawno podwójny paradoks. Z jednej strony wojna miała zabezpieczyć świat przed bombami atomowymi i biologicznymi irackiego dyktatora, a z drugiej strony, kiedy się okazało, że bomb nie ma i nie było, prysła nadzieja, że iracka opozycja powita z otwartymi ramionami wojska amerykańskie. Ale więcej, ta właśnie opozycja wrogo przyjęła amerykańską okupację kraju. Powstaje brutalne pytanie, po co ta cała wojna? Czy można zagłuszyć polityczne fiasko, jeśli setkami giną niewinni ludzie? A dlaczego nie upadają winni? Żadnym paradoksem tego nie da się wytłumaczyć. A prawda łatwo się może paradoksem ośmieszyć. To nie znaczy, że ucieknie na zawsze.

Paradoksem od maja 2004 roku może się okazać platoniczny stosunek Polski do międzynarodowych i unijnych postanowień Komisji Praw Człowieka. Jednym z jej postulatów — nie tylko w Unii Europejskiej, ale we wszystkich cywilizowanych krajach — jest prawo własności prywatnej. Polskie prawo jest oparte na równości wszystkich obywateli. Mają oni prawa konstytucyjne. Jednym z nich jest niezachwiane prawo własności prywatnej. Państwo ma obowiązek konstytucyjny obrony tego prawa. A więc z jednej strony Polska jest czynnym członkiem Komisji Praw Człowieka (jeśli nim jeszcze nie jest, to będzie od maja 2004 roku), a z drugiej strony jak dotąd nie stanęła w obronie prawa własności, oddając obywatelom polskim to, co do nich należy. Jeśli obywatele Polski i niedługo Unii Europejskiej mają być równi wobec prawa, to czy prawo może pozostać nierówne w stosunku do nich? Paradoksów można się dopatrzyć wszędzie. Nie każde oko je widzi, nie każde ucho je słyszy. Każda krzywda je odczuwa. Paradoks to nie droga dla taryfy ulgowej.

18.02.2004

WZAJEMNOŚĆ

W polskich kuluarach emigracyjnych ciągle mowa o Unii. Im do niej bliżej, tym więcej mówi się o tym, jaka bliska jest Polska Zachodowi. Ile poezji i prozy napisano przez wieki po polsku o Europie. Ilu Polaków przez lata kształcono na zachodnich przykładach prawa, kultury i sztuki. Jak głęboka jest w Polsce wiara w to, że Europa to centrum politycznego, prawnego, chrześcijańskiego i oświeconego Zachodu. Przez wieki spieszno było Polakom na Zachód. I mieli ku temu wiele doskonale uzasadnionych powodów. Wojny, obce okupacje, ruchome granice, których obronność była zawsze wątpliwa, ze wszystkich stron sąsiedztwo nie dające nigdy gwarancji nawet podstawowego bezpieczeństwa, alianci nie zawsze dotrzymujący słowa, bo ich interes był zbyt daleko od naszego. Ze strony Zachodu nie było specjalnych warunków do wzajemności. Ruch z Zachodu do Polski był najwyżej sporadyczny, nie masowy, raczej indywidualny, poznawczy, naukowo-specjalistyczny, częściowo turystyczny, rzadko poważnie merkantylny, politycznie niewiele znaczący. Brak znajomości odległego geograficznie kraju przed zaistnieniem linii lotniczych, radia, telewizji czy komputerów wynikał z braku ciekawości w stosunku do dużej części tej tak zwanej „Wschodniej Europy", gdzie podobno można się było natknąć na niedźwiedzia. I gdzie lokalna egzotyka, mimo że przyciągała poetów, artystów i muzyków, starannie kryła swoje głębsze wdzięki przed oczami tych, których ciekawość była platoniczna albo miała inne, mniej pozytywne dla nas powody.

Scementowanie Unii Europejskiej to teraz cel nadrzędny. Dla Polski może stanowić wyjście z politycznego przedpokoju na salony równych sobie narodów. Jak równych? Wiemy jak świat długi i szeroki i jak historia głęboka, że wszędzie w stosunkach ludzkich są możni i mniej możni. Od tego, żeby żyli ze sobą w zgodzie, jest Unia. Ale Unia to niekoniecznie wspólny mianownik. Berliński triumwirat francusko-niemiecko-brytyjski to pierwsze europejskie doświadczenie piętnastu nowo zaprzysiężonych członków. Niektóre doświadczenia są naturalne. Nie należy przyjmować nienaturalnych. A specjalnie wynikających z doktrynerstwa czy z poczucia wyższości. Musimy łagodnie przyjąć wszystkie europejskie tradycje — tak samo jak tradycje polskie, które staną się ich częścią. Wynikają one z doświadczeń każdego partnera. A każdy miał w swoich dziejach inne motywacje, inne wzloty i upadki, inne okoliczności zmuszające często nawet do radykalnych rozwiązań. Własny wkład każdego partnera Unii uwarunkowany jest skalą tych doświadczeń.

Mówimy więc wiele o tym, jak bardzo jesteśmy zadomowieni w Europie, ale może należy też mówić równie dużo o tym, jak — jeśli w ogóle — Europa jest czy raczej może być zadomowiona w Polsce. Sęk w tym, że znamy się dość powierzchownie. Znamy się jakby „z widzenia", ale bez intymności, bez uczucia, bo tak jest wygodnie. Do wojny mieliśmy w Europie bliskiego przyjaciela — Francję. Braliśmy udział w tej samej albo podobnej historii europejskiej i czuliśmy bliskość językową, literacką, naukową i artystyczną. Co ważniejsze, przeżywaliśmy we Francji Wielką Emigrację. Może nasze najgłębsze doświadczenie europejskie. Dziś emigracja polska jest o wiele liczniejsza w Wielkiej Brytanii, gdzie istnieje już przeszło sześćdziesiąt lat. To też nasze wspólne doświadczenie. Inne, bo to wyspa posiadająca możnych kuzynów po drugiej stronie Atlantyku. Wielka Brytania jest w Unii, ale czy jest w Europie? Atrakcja jej członkostwa w Unii polega na innych doświadczeniach niż te czysto kontynentalne. Dzięki temu, że od tak dawna żyjemy z Wielką Brytanią w stosunkach bardzo bliskich i dzięki temu, że choć niezbyt intymne stosunki między nami są oparte na wzajemnym respekcie, niektórzy z nas czują się tu jak w domu. Byliśmy blisko w czasie wojny i jesteśmy blisko na wielu szczeblach społecznych. Wielka Brytania jest może potencjalnie najbardziej właściwym członkiem Unii do zadomowienia się w Polsce. Potencjał jest na oko potężny — finansowy, merkantylny, przemysłowy, rolniczy (pod warunkiem zasadniczych zmian prawnych) — i może niedostatecznie jak dotąd doceniony — naukowy. W tych wszystkich dziedzinach jest już dziś coraz częściej używany międzynarodowy język porozumienia. Nie ma chyba na świecie drugiego kraju tak entuzjastycznie ciekawego poznawania innych szerokości geograficznych we wszystkich ich aspektach. Poznanie to doświadczenie. Warto może dodać, że polskie doświadczenia wschodnie i północnobałtyckie mogą z czasem stać się ważnym elementem europejskiego zjednoczenia.

19.03.2004

KONSTYTUCJA?...

Konstytucja europejska to kość w gardle tych, którzy są za nią i tych, którzy są przeciwko. Coraz głośniejsza grupa „referendzistów" stara się tę kość na siłę przepchnąć w jedną lub drugą stronę. Słychać też głos prezydenta Kwaśniewskiego (zdecydowanie „za") i wielu Brytyjczyków wszystkich trzech partii parlamentarnych. Gorliwymi

„konstytucjonalistami" są oczywiście Francuzi i Niemcy. Hiszpanie są już im bliscy. Włosi mają do praw i przepisów stosunek niefrasobliwy. Belgowie i Holendrzy nie spieszą się z decyzją. Reszta? To nowi „majowi" członkowie Unii. Pewnie skromność nie pozwala im na zbyt głośny pogląd. A sam pomysł, jak się wydaje dość już mocno zaawansowany i aktywnie wspierany z różnych źródeł górnolotną propagandą, ma poważne i głębokie niedociągnięcia. Pierwszym i nadrzędnym jest pojęcie suwerenności kraju członka Unii wobec paragrafów własnej konstytucji narodowej. Drugim, równie ważnym, jest naczelna odpowiedzialność każdego rządu wobec swoich własnych obywateli, a dopiero w drugim rzucie podporządkowanie tej odpowiedzialności paragrafom międzynarodowym. Jest to budowa dwóch kondygnacji, tam gdzie istniejąca struktura Unii jest chyba wystarczająca. Jeśli nawet koncepcja nadrzędnej formy prawnej jest potrzebna, to czyż pierwszym stopniem do demokratycznego sprawdzenia, czy wyborcy tego sobie życzą, nie jest referendum? Dlaczego ta jedyna demokratyczna forma jest dla wielu niedogodna? Jeśli pamięć nie zawodzi, Unia Europejska jako pomysł, od swego drugiego wcielenia po drugiej wojnie światowej, miała właściwie dwa cele — scalenie obronne państw zachodnich i, co szło równolegle, wspólny rynek ekonomiczny dla ułatwienia wymiany dóbr na uzgodnionych warunkach. Oba cele łatwo zrozumiałe. Oba pozytywne. Podczas dalszych niekończących się rokowań, już w czasach zmienionych, nerwowych i niebezpiecznych, przyszło komuś do głowy (specjalnie Francuzom), że bez międzynarodowej dozy polityczności system może stać się raczej platoniczny. Okazało się, że oryginalni członkowie Unii przyznali sobie szybko rację i rześko zabrali się do ubierania Unii w coraz to bardziej detaliczne przepisy i regulaminy. Do cichej i skutecznej pomocy mieli stworzony przez siebie organizm w formie Parlamentu Europejskiego. W ten sposób, trzeba powiedzieć bardzo sprytnie, ustalili coś w rodzaju kopii systemu obowiązującego w państwach członkowskich. Ale tu właśnie jest kość. Jaka będzie jego rola w europejskiej konstytucji? Dziś parlament w Strasburgu nie jest wielką przeszkodą dla parlamentów krajowych. Jeśli będzie działał na podstawie nowej europejskiej konstytucji, zmiana może stać się nieunikniona. Dla przeciwników referendum, każdego z osobna, utrzymanie *status quo* w strukturach Unii, razem z europejskim parlamentem, utrwala ich politycznie. Każde narodowe referendum może grozić radykalną zmianą wewnętrznej szachownicy politycznej.

Referendum wyborców przed przyjęciem konstytucji europejskiej wydaje się sprawą tak zasadniczą, że dyskusja staje się bezprzedmio-

towa. Premier Wielkiej Brytanii, Tony Blair, gorliwy przeciwnik referendum, nie jest odosobniony. Pole widzenia Blaira to zmieniona panorama w Waszyngtonie, wojna w Iraku, której nikt nie może wygrać, a wszyscy mogą przegrać oraz walka z fanatycznym terrorem. Mimo sprzeciwu grupy jego parlamentarnych kolegów uważa on, że konstytucja europejska wzmocni światową pozycję Wielkiej Brytanii bez wewnętrznego uszczerbku. Sytuacja Polski jest inna. Polska może tylko zyskać przez referendum. Jej sumienie polityczne tego wymaga. Wracając do samej konstytucji, jeśli zostanie ona w końcu uchwalona, narzucona bez plebiscytu, może stać się nową kością w gardle przy każdej zmianie rządu w krajach członkowskich. Tak czy inaczej, patrząc na Unię dzisiaj, będzie to sztuczna nadbudówka, która pomnoży pękającą już w szwach biurokrację i podwoi opodatkowanie członków. Tym bardziej opinia obywateli jest konieczna. Wstępując jako członek do każdego klubu czy stowarzyszenia, podpisuje się przyjęcie regulaminu. Polska już podpisała, co potrzeba. Stanie się pełnoprawnym członkiem za parę tygodni. Jeśli regulamin wymaga specjalnego stroju przy wejściu, to — rzecz prosta — trzeba to przyjąć, ale regulamin musi członkowi zostawić wolność stroju w jego własnym domu. Niech konstytucyjna klamka zapadnie po powszechnym głosowaniu.

30.03.2004

NOWOŚĆ W EUROPIE?

Wcześnie, bo już w roku 1830, powstało w Londynie Royal Geographical Society. Jest to wielka i bogata instytucja poświęcona naukowym badaniom odległych ziem, oceanów i biegunów. Funduje ona dalekie ekspedycje do nieznanych miejsc, których nie dotknęła stopa ludzka. Miejsca geograficzne tuż pod bokiem, nawet tak bliskie jak zachodnia Europa, nie były dość egzotyczne, by się nimi zająć bliżej. No bo właściwie po co? Można tam było suchą nogą dotrzeć. Egzotyczna geografia miała też to do siebie, że pokryta flagą brytyjską po jakimś czasie przylegała zwykle do imperium i przynosiła interesujące wyniki merytoryczne. Albion miał geograficzną potęgę. Nie dotykała ona niestety tych części Europy, które dawno już zostały odkryte przez innych. Kanał La Manche stworzył wygodną linię demarkacyjną pomiędzy pasją odkrywczą w nieznane i równie mało znaną, choć widoczną niemal gołym okiem, Europą. Trudno oprzeć się tej konkluzji, jeśli się czyta prasę brytyjską, obdarzającą nas niespodziewanym epi-

tetem nowych Europejczyków (*New Europeans*). Nawet jeśli jesteśmy tym włączeni w całą nową piętnastkę. Czternaścioro pozostałych mniej nas obchodzi. Niech się bronią sami. Co do Polski, stawiam sprzeciw. Jest to w stosunku do nas epitet nieprawdziwy. Historycznie nieścisły. Politycznie obniżający. Społecznie niesłuszny. Nawet jeśli został użyty przez prasę jako skrót myślowy mający oznaczać, że tzw. „nowa Europa" zaczęła się od Unii Europejskiej.

Parasol angielski chroni przed złym klimatem. Chroni przed każdą burzą. Może od biedy chronić przed przeciwnościami losu. Uchroni w końcu przed wszystkim — poza prasą. Na nią nie ma lekarstwa. Tylko krótka notatka historyczna jako komentarz przypominający to, co każdy Europejczyk zna na pamięć, a przeciętny mieszkaniec niektórych wysp należących geograficznie do Europy poddaje w wątpliwość. Może się przydać. Pod parasolem angielskim kryje się sążnista riposta, ale gdzie i komu ją wysłać? Kto ją oceni inaczej, niż jako jeszcze jedną skargę na to, że źle nas traktują? Czy mamy tłumaczyć, że pierwszy władca polski, Mieszko I, razem z Polską przyjął chrześcijaństwo w roku 966? Czy mamy wyjaśniać, że w szkołach polskich od lat wielu uczono łaciny, francuskiego i niemieckiego? Czy mamy przypominać, że najstarszy uniwersytet polski został założony w Krakowie przez króla Kazimierza Wielkiego w roku 1364 (paryska Sorbona w 1257, Uniwersytet Londyński w 1836), a Uniwersytet Lwowski został ufundowany przez króla Jana Kazimierza w roku 1661, tak jak wiele innych instytucji naukowych, bibliotek i kolekcji muzealnych. Czy trzeba odnotować nazwiska polskich noblistów wśród drogowskazów światowej cywilizacji? Maria Skłodowska-Curie dwukrotnie, Henryk Sienkiewicz, Władysław Reymont, Czesław Miłosz, Lech Wałęsa, Wisława Szymborska.

Wiek XIX, Wiosna Ludów, Wielka Emigracja we Francji. Polska była wtedy moralnie w Europie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Może aż do drugiej wojny światowej. Rok 1918 witał nową Europę w Wersalu w czasie konferencji pokojowej. Tu nasz pierwszy aliant, katolicka Francja, dopomogła przeciągnąć łańcuch historii na naszą korzyść. W czasie Rzeczpospolitej polskiego Dwudziestolecia strategia opierała się na Francji. Cała Europa wiedziała i rozumiała, że nasze wolne istnienie jest w wielkim stopniu związane ze wschodnim sąsiadem, specjalnie zaraz po sowieckiej rewolucji w 1917 roku. Francja stała przy naszym boku w wojnie bolszewickiej 1920/1921. Przez ten europejski skrót wchodzimy w rok 1939 choć uzbrojeni, to jednak słabi wobec dwóch dyktatorskich potęg na obu granicach, zachodniej i wschodniej. W roku 1939 mamy dwóch aliantów — Francję i Wielką

Brytanię. W roku 1941 Francja złożyła broń. Władze suwerennej Polski, jej armia, lotnictwo i marynarka wojenna przekroczyły kontynentalną linię demarkacyjną i znalazły się pod angielskim parasolem. Polska i Wielka rytania zostały same na placu boju. Bój był o oswobodzenie Europy od niemieckiego najeźdźcy. Na tym placu boju nie było nikogo innego aż do 7 grudnia 1941 roku, kiedy doszły, tymczasem z daleka, Stany Zjednoczone. W europejskim teatrze wojennym bój był tylko o Europę. Znamię europejskości to nie tylko geografia. To kultura, oświata, wspólna historia, język, którym mogą się ze sobą porozumieć Europejczycy. Nie jakieś tam esperanto, ale wspólny język wartości. Co do wspólnych wartości, mamy je historycznie przyznane od dawna. Na tej zasadzie jesteśmy już w Unii. Jako młodzi członkowie, ale starzy Europejczycy.

15.05.2004

TRUIZM

Majowa wizyta prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w Wielkiej Brytanii bardziej niż cokolwiek innego zakreśliła wyraźną granicę pomiędzy pokoleniami. Skojarzyło się to z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Tak jakby zaczął się nowy rozdział historii. Z każdym nowym etapem dziejów zmienia się wizerunek ich uczestników. Nietrudno było dojrzeć fakty potwierdzające te zmiany. Oto prezydent Kwaśniewski ma lat pięćdziesiąt. Jest więc przedstawicielem pokolenia dzieci, żeby nie powiedzieć wnuków, wojennej emigracji polskiej w tym kraju. Ta składała się z idealistów innego pokroju, z ludzi, których czynności i zadania dyktował los własnego kraju. Nie odstraszał ich geograficzny dystans, nie opóźniały ich działań przeciwności polityczne ani ekonomiczne. Było to pokolenie o wyraźnym profilu dążeń i zadań. Pokolenie nie znające wahań ani wątpliwości. Nieustępliwe i z konieczności cierpliwe. Tak się złożyło, że Wielka Brytania sprzyjała temperamentowi naszych działań. Niektóre były im niewygodne i nawet obce oficjalnej polityce zagranicznej. Niemniej układ, w jakim żyje społeczeństwo brytyjskie, pozwala na tolerancję w stosunku do innego punktu widzenia. W tej bardzo angielskiej filozofii wychowani byli synowie, żeby nie powiedzieć wnuki, wojennego pokolenia Polaków na tej wyspie. Słuchając słów Aleksandra Kwaśniewskiego — wypowiadanych po polsku w St. James's Palace w Londynie oraz po angielsku w telewizji i podczas śniadania wydanego na jego cześć w londyńskim Guildhall przez Lorda Mera i Corporation of

the City of London — starzy weterani wojennej emigracji polskiej mieli pewnie poczucie, że zaszła ważna zmiana w ich życiu. Może w pewnym stopniu ważniejsza niż ta ściśle merytoryczna, której dozna pokolenie — już chyba trzecie — wchodzące jako Polacy do Unii Europejskiej. Zmiana, o której myślę to zmiana psychiczna. Nie da się jej dotknąć palcami, nie da się ująć w paru słowach. Dotyczy ona ludzkich doświadczeń. Każde pokolenie ma ich pełno. Bardzo różnych. I każde pokolenie marzy o tym, żeby dorastając doświadczyć ich jak najwięcej. Nie chce ono słuchać baśni o doświadczeniach pokoleń innych. Nie chce dwóch lekcji na ten sam temat. Chce widzieć świat i ojczyznę w swoich, sobie upatrzonych kolorach, w swoim własnym świetle, bez uprzedzeń, bez instrukcji, bez naśladowania. Woli popełniać swoje własne błędy, woli je samo poprawiać albo o nich zapominać. Nie lubi zdawać egzaminów, które zdawały pokolenia poprzednie. Ma, rzecz prosta, rację. Świętą rację. Tylko na doświadczeniach własnych buduje się przyszłość... Słuchanie czy czytanie dzieł historycznych to rozrywka humanistyczna, dobra dla zawodowych historyków... Zabiera wiele czasu i w końcu na niewiele się przydaje w życiu codziennym... Nie zgadzam się z tym punktem widzenia, ale — jak powiedziano wyżej — przyjmuję go w uznaniu przywileju tolerancji, jednego z doświadczeń pokolenia starych weteranów wojennych. W tym równaniu bez odpowiedzi kryje się skromna prawda. Jednym z najważniejszych wyzwań życiowych jest ulepszenie tego, co wymyślili już inni. W jaki sposób? Tylko szukając odpowiedzi na pytanie: „Jak do tego doszli?".

Ruch pokoleń nie jest związany z narodowością. Nasze doświadczenia lat na tej wyspie idą równolegle do doświadczeń naszych brytyjskich gospodarzy. I do wszystkich innych społeczeństw zgrupowanych w Unii Europejskiej. Te same pokoleniowe problemy muszą przejść i oni. I nasze nowe pokolenia unijne razem z nimi. Rzecz w tym, że polskie młode pokolenia unijne będą z konieczności musiały doganiać w szybkim tempie niemal wszystkie doświadczenia zachodnie. Te, które dziś są podstawą egzystencji Unii. Wizyta prezydenta Kwaśniewskiego ten ruch pokoleń precyzyjnie zilustrowała. Zmniejszając emocjonalny dystans pomiędzy Warszawą a Londynem (nie tylko z tytułu Unii), określiła równie precyzyjnie pozycję naszych już trzech pokoleń Polaków w Wielkiej Brytanii. Nasze doświadczenia wymagają innego alfabetu. Może się wydawać, że to co nazywam ruchem pokoleń to truizm, bo taki jest porządek życia. Niezupełnie. W naszym polskim przypadku życia w innym kraju niż swoim, to i truizm, i realność.

12.06.2004

KAMIEŃ WĘGIELNY

Stało się. Zacementowano. Polska jest w Unii Europejskiej. Nie stało się to od razu za jednym zamachem. Kamień węgielny wmurowano w ziemię już dawno temu. Nie zostawiono fizycznego znaku, ale w umysłach i dążeniach tych, co o tym kamieniu pomyśleli i wmurowali go w polską i europejską ziemię, żył on niemal od konferencji pokojowej w Paryżu w roku 1919. Nie było wtedy oczywiście mowy o unii, nie było mowy o federacji ani tym bardziej o wspólnej konstytucji. Ale było wiele głosów o europejskiej współpracy narodów, by uniknąć nowej wojny światowej. W roku 1919 Ignacy Jan Paderewski jako premier rządu polskiego i minister spraw zagranicznych reprezentował Polskę na konferencji paryskiej, a potem w Lidze Narodów, w Genewie. Tam nawoływał do bliskiej współpracy państw słabszych, narażonych na ewentualną agresję mocarstw. Było to zaraz po rewolucji 1917 roku w Rosji, kiedy nad cała Europą wisiała groźba niewiadomej akcji ze Wschodu. Na przełomie lat 1920/1921 powstała tzw. Mała Entente'a, sojusz polityczno-wojskowy zawarty w wyniku układów pomiędzy Czechosłowacją, Jugosławią i Rumunią, skierowany przeciwko Węgrom i próbie restauracji na Węgrzech monarchii Habsburgów. Polska obserwowała z bliska jej działania. Mała Entente'a była popierana przez naszego alianta, Francję. Przestała istnieć dopiero po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy w latach 1938–1939. Traktat wersalski powołał w roku 1919 do życia Ligę Narodów w Genewie. Pakt Ligi Narodów wszedł w życie w roku 1920. Miał on na celu zabezpieczenie pokoju i zapewnienie współpracy międzynarodowej między państwami. Liga nie spełniła nigdy pokładanych w niej nadziei. Istniała do drugiej wojny światowej i została formalnie rozwiązana w roku 1946. W latach 1932–1934 delegatem Polski przy Lidze Narodów był Edward Raczyński, późniejszy ambasador RP w Londynie (1934–1945) i prezydent Rzeczypospolitej na uchodźstwie (1976–1986).

Reprezentował on też sprawy polskie w Ruchu Europejskim od jego powstania w roku 1949. Ruch Europejski z siedzibą w Brukseli skupiał wybitnych europejskich mężów stanu, nie tylko aktywnych ministrów w rządach swoich krajów, lecz również tych, których wiedza i doświadczenie mogły dać podstawy do planowania na przyszłość. Była to organizacja nastawiona raczej liberalnie, umiarowo i tolerancyjnie. Wszystkie te wyżej wymienione europejskie instytucje, organizacje, ruchy i inicjatywy to wyraz intencji skierowanej ku idei zapobiegania dalszym konfliktom zbrojnym między europejskimi sąsiadami. Jednocześnie nowe teorie społeczne, mniej lub bardziej krańcowe,

były pożywką dla coraz to nowych idei politycznych. Rzadko miały one charakter międzynarodowy. Po drugiej wojnie światowej rządy dyktatorskie w Niemczech i w Rosji dostarczyły dość przekonywujących doświadczeń i argumentów, by zmienić perspektywy na przyszłość. Europa miała coraz mniej apetytu na posunięcia zbyt radykalne. Chodziło o to, żeby nie tylko uniemożliwić agresję wewnątrz europejskich granic, lecz także dać tej części świata warunki do rozkwitu społecznego, politycznego, ekonomicznego i kulturalnego na takim poziomie, na którym wszelkie ambicje terytorialne przestaną mieć praktyczny sens. Kamień węgielny był jak dotąd eksperymentem raczej intelektualnym. Fakt, że Unia jest już dziś tak znacznie rozszerzona, jest dowodem na to, że eksperyment teoretyczny zdał egzamin wstępny. Od jej członków — starych i nowych — zależy, czy zda egzamin dojrzałości.

Jesteśmy już więc w Unii, nie jedną nogą, ale całym ciałem. Politycznym i ekonomicznym. W dzień akcesji, 1 maja, telewizja brytyjska nadała szereg krótkich reportaży ze stolic nowych państw członkowskich. Między innymi z Warszawy. W myśl europejskiej pragmatyki demokratycznej pokazano też przeciwników Unii. Jest to dobry znak, bo *vox populi*, jeśli jest jednolity, nie ilustruje prawdy. Ten głos to głos młodej demokracji, która czeka na to, żeby albo mieć w końcu rację, albo jej nie mieć. Ci, co Unię popierają, jak i ci, co są jej dziś przeciwni, mają przed sobą wielkie pole nieznanych jeszcze nowych doświadczeń. Dopiero kiedy przez nie przejdą, ich głos nabierze rzeczywistego tonu. Co do życia polskiego na emigracji w Wielkiej Brytanii, niewiele się zmieni. Będzie nas tu pewnie więcej. Istotne jest, co i w jakim stopniu zmieni się w kraju.

12.06.2004

KLIMAT

Wydawać by się mogło, że po sześćdziesięciu czterech latach pobytu na tej wyspie — wojna, emigracja i pokój, nie mówiąc o Europejskiej Unii — nic już dziwić nie powinno. A jednak? Rozdwoił się naród. Jak może naród, taki sam tam i tu, z tymi samymi zaletami i wadami, rozdzielić się na dwie połowy? I to nierówne? Jesteśmy w Londynie. Wysiadając z kolejki na linii District, na przykład w okolicy Hammersmith, zamiast miłego wicherku, jaki może nas powitać choćby na Południowym Kensingtonie, czujemy bardziej porywisty,

dużo mniej miły szum chłodnego podmuchu. Różnicy tej nie możemy nie zauważyć, bo bije nas po skórze. Każe głowę chować w kołnierz palta i ręce trzymać w kieszeniach. „Aż ten angielski klimat!" — mówimy pod nosem i brniemy dalej w złym humorze. Trochę ponarzekamy na wybryki i częste zmiany aury. Ale skąd te różnice na jednej i tej samej linii, w tak małych odstępach zaledwie paru kilometrów? Już mamy dobry powód do zdziwienia. A im dalej podróżujemy w kierunku milszej aury, tym bardziej się dziwimy. Bo oto przypominamy sobie bez trudności, o ile lat nam starczy na wspomnienia, że jeśli jesteśmy na przykład z Warszawy, to możemy pamiętać, że nie było tak wielkich zmian aury ani temperatury pomiędzy Alejami Ujazdowskimi a Czerniakowem czy pomiędzy Mokotowem a Saską Kępą. A jeśli były, to nie zauważało się ich gołym okiem. Więc co się nagle stało na tej wyspie, że nie tylko wiaterek czy aura, ale nawet mowa rodaków zmieniła się tak dalece, że aż dochodzi do częstych nieporozumień językowych pomiędzy zimną okolicą Hammersmith a dużo cieplejszym zakątkiem Kensingtonu? W latach wojny tych różnic nie było. W latach przymusowej emigracji też nie. W latach już wolnej emigracji też prawie wcale. Klimat był wobec tego taki sam i nikomu by nie przyszło do głowy, żeby kwestionować zmiany, które i tak nachodziły tę wyspę z rozrzutną regularnością i do czego wszyscy się już dawno przyzwyczaili. Nazywało się to angielską pogodą, jako że wszyscy się przez lata nauczyli, że to nie klimat, a pogoda rządzi aurą tego kraju. Jeden ciepły i miły maj zmienił cały system. Znowu poważny powód do zdziwienia. Dlaczego jeden miesiąc — miesiąc uroczystych zapewnień, że zmiany będą tylko na lepsze — zadecydował niespodziewanie o aż tak radykalnej zmianie jeśli już nie pogody, to klimatu. Klimatu, o którym jak dotąd żaden szanujący się mieszkaniec tego kraju nie myślał nawet wspomnieć. Tym bardziej w towarzystwie starych czy nowych obywateli tej wyspy. W tym to właśnie maju, z natury rzeczy ciepłym i o niebieskim niebie, nastąpiła zmiana klimatu. Nie zmieniło się powietrze, nie zmienili się ludzie nim oddychający, ale zmienił się ich wzrok. Zaczęli inaczej patrzeć na tych niby sobie równych. Tu wielkie zdziwienie. Bo klimat to nie jest coś, co można wziąć w rękę, więc nie powinien się zmienić na oczach. Co się raczej stało to to, że klimat w tym słonecznym maju podzielił się na dwie połowy. Zapanował inny na zachód od Hammersmith i inny na wschód od Hammersmith. Mówi się często, że polityka to albo na lewo, albo na prawo i że to co w środku jest słabe i nie ma szansy. Klimat, który się zmienił nie podlega takim zasadom. Z grubsza polega na intencjach i na tym, jakie zapasy życiowe mają ci, co wybierają

zachód w porównaniu z tymi, którzy wybierają wschód. Zapasy większe i solidniejsze mają ci, co wybierają wschód, skąd już blisko do centrum. Wybór zachodu zwykle tam się też kończy. Ale zostańmy przy klimacie, bo wszyscy mu tak czy inaczej podlegamy. A czy też podlegamy jego podziałowi, to sprawa już nie tyle zapasów na życie, co może wyostrzonego wzroku. Dzieląc klimat na dwie połowy, ten słynny maj podzielił za jednym zamachem naród. I tak z przyczyn czysto klimatycznych ten, kto najbardziej zdziwiony mógłby pomyśleć, że imię to samo, ale pod nim kryją się dwa narody.

15.02.2005

POSTACIE EMIGRACJI

ZAMKOWA KWIACIARNIA

— Panie, któż z tej mojej pamięci będzie miał jakiś pożytek?... — Tak odpowiedział mi przez telefon, nieco chrypiąc, Bohdan Wendorff.

Trochę się potem poskarżył, że już coraz mniej w ogóle pamięta. Że źle widzi, że źle chodzi, ale — z dumą oznajmił — „serce jak bęben". Przekonałem go, że jeśli „serce jak bęben", to go może zbytnio nie zmęczę słuchając jego wspomnień.

— A czy pan szybko pisze? — zapytał — Bo choć się często mylę, mówię szybko, przeskakując różne trudniejsze słowa.

Zapewniłem, że nagram na taśmę.

— No to cała moja jąkanina tam się na tej taśmie znajdzie! — wykrzyknął.

— Dam panu do sprawdzenia. Kiedy mogę przyjść?

— Kiedy pan chce, dopóki jeszcze żyję...

Nasza rozmowa, pewnie ostatnia przeznaczona do archiwum polskiej emigracji w Anglii, odbyła się w jego londyńskim mieszkaniu koło Earls Courtu 21 marca 1995 roku. Bohdan Wendorff żył do 26 czerwca 1998 roku. Był przez wiele lat szefem Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP na uchodźstwie. Urodził się w roku 1904 w Rydze. Uczył się w słynnym gimnazjum Kazimierza Kulwiecia i na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, gdzie studiował prawo i nauki społeczne. W obliczu nadchodzącej wojny polsko-bolszewickiej ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty i Wojsk Samochodowych. Został podporucznikiem rezerwy w roku 1921. Wybrał karierę służby cywilnej — jako sekretarz osobisty wojewody wileńskiego Władysława Raczkiewicza, późniejszego marszałka Senatu i Prezydenta RP. Przez Łotwę, kraje skandynawskie i Anglię zdołał dotrzeć do Avignion we Francji, gdzie wstąpił do wojska. Wojnę na Zachodzie przeszedł w 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Skończyła mu się wojna w Wilhelmshaven. Po sześciu miesiącach służby w Niemczech prezydent Władysław Raczkiewicz, jego przedwojenny szef, wezwał go do Londynu. Odtąd — pierw jako adiutant, potem oficer do spraw specjalnych, a wreszcie szef Kancelarii Cywilnej — służył lojalnie prezydentom RP, aż do przekazania insygniów prezydenckich Lechowi Wałęsie w Warszawie. W następnych latach był członkiem Komisji Likwidacyjnej Rządu RP na uchodźstwie. Jego służba cywilna objęła też w swoim czasie urząd ministra w rządzie, członka Polskiej Rady Narodowej w Londynie i wydawcy „Dziennika Ustaw RP".

Wracam do naszej rozmowy z marca 1995 roku. Uwagę moją zwróciła nie tyle interesująca i bogata biografia jak wyżej, ile ten specyficzny okres jego życia, kiedy lojalnie bronił tego, co uważał za swój święty obywatelski obowiązek — służby przy Prezydencie RP Auguście Zaleskim, który 7 czerwca 1954 roku zdecydował pozostać na stanowisku wbrew Konstytucji RP, nakazującej siedmioletni termin urzędowania prezydenta. August Zaleski został wybrany prezydentem jako następca zmarłego Władysława Raczkiewicza 9 czerwca 1947 roku. Decyzja Zaleskiego była powodem najgłębszego kryzysu politycznego emigracji. Rozłam, jaki powstał pomiędzy „Zamkiem" a, trzeba powiedzieć, prawie że zjednoczoną opozycją, był bolesny dla wszystkich świadków i niepotrzebny. Specjalnie dla tych, którzy w nim siłą rzeczy uczestniczyli na co dzień. Jednym z nich był Bohdan Wendorff. Jeśli miał jakieś przekonania partyjno-polityczne, trzymał je dla siebie. Jego życiem była służba, do której go powołano. Edward Raczyński, który go dobrze znał, mówił o nim „żubr litewski" z racji jego uporu i niezachwianej wiary, że utrzymanie za wszelka cenę ciągłości polskiej racji stanu na uchodźstwie było najważniejsze. Specjalnie w obliczu obserwujących nas bacznie brytyjskich gospodarzy. Wszelkie swary były drugorzędne. Nie dla wszystkich. Swary doszły do zenitu. Ich rezultatem było powstanie (31 lipca) Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, która wyłoniła Radę Trzech w osobach Tomasza Arciszewskiego, gen. Władysława Andersa i Edwarda Raczyńskiego (przyszłego prezydenta RP). Przez cały ten trudny okres, aż do śmierci Augusta Zaleskiego w kwietniu 1972 roku i potem, Bohdan Wendorff pozostał na służbie jako szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP.

Już od progu słychać śpiewną, ciepłą mowę wileńską. Specyficzny ton głosu, miękki i zdrabniający słowa, dodający im często żeńskie końcówki.

— Na „Zamku" były wtedy bardzo nieprzyjemne czasy — mówi zasmucony Wendorff. — Okropne. Polska na emigracji podzielona na dwa obozy: tu „Zamek", a tam „Zjednoczenie". Zaleski odsunięty. Chcieli go nawet zagłodzić. Głodem by go po prostu zmorzyli.

Wendorff w zadumie westchnął i machnął ręką, odpędzając stare zmory z żywej jeszcze pamięci.

— Prawie dosłownie, — mówił dalej — bo przecież „Zamek" trzeba było jakoś utrzymać, więc trzeba było mieć pieniądze. Dopływy ze Skarbu Narodowego nie były wielkie, a kiedy nastąpił rozłam, zarząd Skarbu przejął wszystkie pieniądze. I tak „Zamek" został bez grosza. A rachunki ciągle napływały. Chciano zmusić Zaleskiego do ustąpienia według Konstytucji, ale on tej ewentualności nie przyjmował, na swój sposób rozumując, że przerwie ciągłość polskiej racji stanu na uchodźstwie.

Wendorff, przejęty widocznie tym nawałem niezbyt przyjemnych wspomnień, zerwał się z fotela i zaczął szukać czegoś w szufladzie biurka.

— A jak pan na to reagował? — zapytałem, kiedy wrócił na fotel. Trzymał w ręku dość zgnieciony arkusz papieru pełen cyfr.

— Oto jak zareagowałem na te wszystkie przeciwności. To jest wykaz rachunkowy z mojego nowego wówczas zawodu: hodowcy kwiatów na rynek Covent Garden...

— Czy się pan na tym znał? — zapytałem.

— No, tyle tylko że lubiłem zawsze kwiaty, a żyć trzeba było. Żona Prezydenta, pani Ewelina Zaleska, sprzedawała biżuterię, a Prezydent zastawiał częściowo swoją kolekcję medali. Paru zaprzyjaźnionych od dawna Anglików coś niecoś pomagało, no i oczywiście było trochę pomocy od nielicznych rodaków, którzy popierali stanowisko Prezydenta, ale na pensję dla mnie ani na codzienne wydatki „zamkowe" nie było nigdy dosyć.

— Ale gdzie pan te kwiaty hodował?

— Z początku u ujścia Tamizy, niedaleko Southend. Tam wiele jest ogródków działkowych. Dobrze upatrzone miejsce przez hodowców. Dużo słońca i stosunkowo niskie opady. Tam wynająłem taką działkę. Szklarni nie było, ale była mała budka z nie cieknącym dachem i mały stawek. Budkę po amatorsku przystosowałem w taki sposób, że mogłem tam spać na wojskowym polowym łóżku. Czasem trzeba było bardzo wcześnie kwiaty zabierać na rynek Covent Garden. Zabierałem je w tekturowych pudełkach do paru zaprzyjaźnionych kwiaciarni po drodze, wysiadając z pociągu na dogodnych stacjach. Robota była ciężka, fizyczna.

— A służba na „Zamku"?

— Ano dzień mój tak wyglądał — wstawałem o piątej rano, droga do miasta zajmowała godzinę po przekopaniu, wykopaniu, opatrzeniu i zapakowaniu kwiatów, potem powrót, przebranie i dzień służby jako adiutant i szef kancelarii przy Prezydencie. Tak było przez pięć lat. Po pięciu latach było trochę lżej, bo znalazłem ogród na Kilburn. Tam zakończyłem moją karierę hodowcy kwiatów. Nie bez większego żalu, ale z bardzo prywatnym zadowoleniem. Państwo Zalescy nie mieli wiele, ale może wiązanka świeżych kwiatów co rano miała jakiś sens.

Bohdan Wendorff był kopalnią ważnych informacji z tego okresu. Publikować nie chciał, uważając niektóre z nich za nieistotne, inne za szkodzące imieniu Polski. Zapytany przeze mnie o prawdziwy powód decyzji Augusta Zaleskiego z roku 1954 i spowodowanie głębokiego kryzysu zaufania wśród Polaków za granicą, Wendorff powiedział:

— Tak naprawdę, to nie wiem.

20.07.2002

KAROLINA LANCKOROŃSKA

Są osoby, które od najmłodszych lat mają w sobie przeznaczenie na całe życie. Taką osobą była zmarła 25 sierpnia 2002 roku w Rzymie w wieku 104 lat Karolina Lanckorońska, profesor, doktor, historyk i propagator sztuki, oddana młodym nauczycielka, hojna opiekunka studentów, filantropka i fundatorka Fundacji Lanckorońskich z Brzezia. Jej przeznaczeniem i powołaniem było poznać do głębi wielką sztukę włoską, dzielić się tym doświadczeniem z innymi i przekazać swoją wiedzę przyszłym pokoleniom historyków i artystów. Całe jej życie było połączeniem dwóch wielkich tradycji europejskich — zrozumienia i umiłowania doskonałości w sztuce oraz mądrej ofiarności w gospodarowaniu wielkim rodzinnym majątkiem.

Karolina Lanckorońska urodziła się w Wiedniu 11 sierpnia 1898 roku jako córka hrabiego Karola Lanckorońskiego i jego trzeciej żony Małgorzaty z domu Lichnowskiej. Wychowywała się razem z młodszą siostrą Adelajdą i przyrodnim bratem Antonim w neobarokowym pałacu rodzinnym przy Jacquingasse w Wiedniu. Pałac ten został całkowicie zniszczony w czasie drugiej wojny światowej. Wspaniała rodzinna kolekcja sztuki, przeniesiona na czas wojny do Voralberg, uległa częściowemu zniszczeniu na skutek pożaru w roku 1948. Do 1939 roku Karla, jak ją nazywała rodzina, pracowała naukowo jako historyk sztuki, specjalizując się w sztuce włoskiej. Jej kontakt z tą sztuką zaczął się wcześnie. Jako dwunastoletnią dziewczynkę zabrał ją ojciec do Florencji. Tam poznała sztukę Fra Angelica. Szybko jednak nabrała samodzielności w sądach i od kiedy poznała statuę Dawida i inne arcydzieła Michała Anioła, ten stał się jej artystycznym bohaterem. Studiowała sztukę w Wiedniu u Maxa Dvořáka, przyjaciela rodziny. Po jego śmierci uzyskała w roku 1926 doktorat na wiedeńskim uniwersytecie. Jej teza doktorska nosiła tytuł „*Sąd Ostateczny* Michała Anioła". Po doktoracie szukała aktywnej roli naukowej w życiu uniwersyteckim. Nie mogąc znaleźć nic odpowiedniego, postanowiła zdobyć dyplom pielęgniarki. Postanowienie to wkrótce porzuciła na skutek licznych perswazji rodziny i przyjaciół, którzy uważali, że ma przed sobą obiecującą karierę naukową. W roku 1935 rozpoczęła lektorat historii sztuki na Uniwersytecie Lwowskim. Tam zastał ją wybuch drugiej wojny światowej.

Jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej została aresztowana w roku 1942 w Kołomyi, osadzona w więzieniu i skazana na śmierć. Więziona była kolejno w Stanisławowie, we Lwowie, w Berlinie i wreszcie w Ravensbrück (numer 16076). W jej bogatym

archiwum znajduje się nie byle jakie *curiosum* w postaci listu, jaki napisał Heinrich Himmler, szef SS, pod datą 12 lipca 1942 roku do prof. Carla J. Burckhardta, prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie (a w latach 1937–1939 Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku), który interweniował w jej sprawie u najwyższych władz niemieckich. Himmler nie był skłonny do ulg. W liście do Burckhardta konstatuje wybitnie antyniemiecką postawę Lanckorońskiej, ciągłe potwierdzanie przez nią swojej polskości oraz tego, że jest ona wrogiem Niemiec. Himmler pisze, że kiedy przewodniczyła Komitetowi Pomocy Polakom w Stanisławowie, zamiast „okazać lojalność w stosunku do Niemców, korzystała ze swojego autorytetu, by szerzyć nienawiść do Niemców" i dalej, że „w tych warunkach, dla jej dobra, uznano za właściwe umieszczenie jej w areszcie prewencyjnym". Dopiero w kwietniu 1945 roku interwencja przyniosła rezultat. Wypuszczono ją na wolność. Uniwersytet we Fryburgu ofiarował jej wtedy katedrę historii sztuki. Odrzuciła jednak tę propozycję, a przyjęła natomiast stanowisko szefa informacji (*public relations*) przy 2. Korpusie Polskim gen. Andersa w Rzymie.

Tu zaczyna się niezwykle bogaty okres rzymski Lanckorońskiej. W roku 1945 razem z ks. prałatem Walerianem Meysztowiczem zainicjowała i zorganizowała Polski Instytut Historyczny w Rzymie. Celem jego były różnorakie studia na podstawie polskich materiałów źródłowych, znajdujących się w dostępnych archiwach zagranicznych. W roku 1954 Instytut wydał pierwszy zeszyt corocznej publikacji „Antemurale", a począwszy od roku 1960 wydawał antologię niedostępnych w Polsce źródeł historycznych w archiwach zagranicznych „Elementa ad fontium editiones". W tym samym roku jej brat Antoni ustanowił w Szwajcarii fundację imienia ich ojca Karola Lanckorońskiego. Stało się to możliwe dzięki niespodziewanej możliwości sprzedaży rodzinnych obszarów leśnych o dużej wartości w Austrii. Fundacja ma cztery zasadnicze cele: wydawanie źródłowych prac naukowych związanych z historią Polski; udzielanie stypendiów w celu badań naukowych osobom zamieszkałym w Polsce; dostarczanie książek i czasopism Uniwersytetowi Jagiellońskiemu i Wrocławskiemu; dostarczanie lekarstw Uniwersytetowi Jagiellońskiemu; finansowe podtrzymywanie Biblioteki Polskiej w Paryżu, Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz wielu organizacji i instytucji polskich za granicą, nie licząc różnych inicjatyw sporadycznych.

Pewnie jedną z najważniejszych pozycji wydawniczych Instytutu i Fundacji jest monumentalna praca „Acta Nuntiaturae Polonae", źródłowa historia stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem

i Polską od roku 1519 (list króla Zygmunta I) do roku 1797 oraz od roku 1918 do wybuchu drugiej wojny światowej, a następnie do odnowienia nuncjatury w Polsce decyzją rządu polskiego i Watykanu 17 lipca 1989 roku. Jest to osiągnięcie nie tylko wydawnicze, ale i naukowe, specjalnie dlatego, że jest ono — pierwsze po wojnie — wzorem twórczego współdziałania historyków emigracyjnych i krajowych. 29 maja 1983 roku Uniwersytet Jagielloński uczcił prof. Lanckorońską doktoratem honoris causa. Taki sam doktorat otrzymała ona od Uniwersytetu Wrocławskiego 24 maja 1990 roku. Krakowski „Tygodnik Powszechny" z dnia 24 czerwca 1990 roku przyniósł sprawozdanie z tej drugiej uroczystości w „Notesie rzymskim" ks. Adama Bonieckiego. Pisał on w nim: „Tak, to była bardzo piękna uroczystość. Raz przynajmniej sprawiedliwości stało się zadość". Rzeczywiście, wspaniałe i owocne było to życie. Osoba silnego charakteru, głębokiej wiary i skromności, żelaznej woli, kochająca pracę, rozumiejąca dole i niedole ludzkie i nieugięta we wszystkich sprawach dla niej istotnych. A istotne w jej życiu było całkowite oddanie się nauce polskiej, wtedy kiedy była ona odcięta od Zachodu. W tym miejscu wspomnieć trzeba prywatny dar Lanckorońskiej dla narodu polskiego w postaci bezcennych dzieł sztuki, których część kiedyś należała do króla Stanisława Augusta. Przybyły one do Warszawy na jesieni 1994 roku. Kolekcja składa się z dziewięćdziesięciu obrazów, w tym dwóch autorstwa Rembrandta. Z jej woli zbiory zostały podzielone pomiędzy Zamek Królewski w Warszawie i Wawel. Ten dar nauce polskiej, jak też dary ofiarowane polskim historykom sztuki, pracownikom naukowym i studentom, czyli przyszłym nauczycielom młodych pokoleń, to jest dzieło życia Karoliny Lanckorońskiej.

7/8.09.2002

GŁOGÓWEK

Głogówek jest miastem polskim położonym na Śląsku Opolskim nad rzeką Osobłogą. Nie jest to miasto duże. Ma trochę ponad sześć tysięcy mieszkańców. Stoi w nim barokowy zamek z XVI wieku. Szczyci się też kościołem parafialnym z XIV wieku, fragmentami murów, basztą i muzeum im. Jana Cybisa, (1897–1972), znanego malarza z grupy kapistów (do której też należał Józef Czapski). Głogówek otrzymał prawa miejskie około roku 1275. Jednym z tytułów do pewnej chwały Głogówka jest fakt, że w XVII wieku członek zamieszkałej

w jego okolicach od dawna rodziny śląskiej z licznymi polskimi związkami rodzinnymi, Jerzy III, hr. Oppersdorf, założył tam drukarnię. Drukarnia miała swoją siedzibę na zamku Oppersdorfów. Zachowało się z niej piętnaście cennych druków z lat 1631–1662 wytłoczonych przez Michała Rehehorna (1631–1637), Jana Kastnera (1638–1643) i Jerzego Hanckego (1644–1652). Drukarnia funkcjonowała jeszcze w latach późniejszych. W zamku Jerzego III i jego potomków urodziły się liczne pokolenia Oppersdorfów. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że jeden z jego licznych potomków, hr. Edward Oppersdorf, popularnie zwany Eddie, był polskim oficerem w czasie drugiej wojny światowej. Koleje tej bardzo międzynarodowej rodziny, pochodzącej ze zmieniającej się często geografii politycznej Dolnego, Górnego i Cieszyńskiego Śląska, były dość dramatyczne. Pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową jej różne pokolenia zapuściły szeroko rozgałęzione korzenie w różnych krajach: Szwajcarii, Francji, Polsce, Niemczech, Szwecji i Stanach Zjednoczonych. Przez małżeństwa połączeni byli z wybitnymi rodzinami polskimi. Byli jedną z tych wielkich rodzin europejskich, która w każdej książce telefonicznej w Europie mogła doszukać się kuzynów. Ich oryginalne posiadłości rozciągały się na Niemcy, Polskę (Śląsk Cieszyński), Austrię, Czechosłowację i Węgry. W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową Edward, jego ojciec i czternaścioro rodzeństwa uważali się za obywateli różnych państw osiedlenia. Tak się złożyło, że Edward, jeden z najstarszych, urodzony za czasów, kiedy Śląsk Cieszyński był w rękach niemieckich (1897), legitymował się paszportem niemieckim. Mieszkał wiele lat w Stanach Zjednoczonych, a ostatnie pięć lat przed drugą wojną światową w Paryżu. W roku 1920 część Śląska Cieszyńskiego na wschód od Olzy wróciła do Polski. Tam znajdował się jeden z majątków jego ojca, w którym się urodził. Był z natury obieżyświatem. Narodowość, obywatelstwo, kolor paszportu nie miały dla niego wielkiego znaczenia. Nigdy nie uważał się za Niemca. Spokrewniony przez matkę z Radziwiłłami, czuł się pewnie bliższy Polsce. Był jednym z tych, którzy jako młodzi ludzie wyjechali ze stron ojczystych, by do nich nigdy więcej nie wrócić. Powodem tego był nie tylko Hitler (od roku 1933 kanclerz Niemiec), ale też rozsypka majątków i posiadłości w różnych częściach południowowschodniej Europy za sprawą szybkiego rozrastania się rodu Oppersdorfów. Gdy mieszkał i pracował w Paryżu z żoną Mundy, amerykańską malarką, nie przyszło mu pewnie nigdy do głowy, żeby zmienić paszport. Te sprawy nigdy go specjalnie nie interesowały. Aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Jego bujne życie towarzyskie we Francji obracało się w kręgach Francuzów, Amerykanów i Polaków. Znamiennie tych ostatnich. Kiedy 3 września 1939 roku Francuzi wypowiedzieli wojnę Niemcom, specjalna policja francuska zapukała do mieszkania na czwartym piętrze pięknego starego domu nr 17 Quai Voltaire na lewym brzegu Sekwany. Piętro to, składające się z dwóch mieszkań, zajmowali Eddie i Mundy Oppersdorf, sąsiadując z młodszym bratem mojej matki Romanem Badiorem. Byli ze sobą w bardzo bliskiej przyjaźni od lat. Mój wuj mieszkał stale w Paryżu (bywałem tam często przed wojną na urlopach studenckich z Grenoble, znałem więc dobrze Eddiego i jego żonę i łączyło nas wiele wspaniałych przeżyć paryskich; wróciłem z Grenoble do Warszawy w połowie sierpnia 1939 roku). Tego to 3 września Eddie został aresztowany jako niemiecki obywatel i osadzony w tymczasowym więzieniu. Tam czekał na transport do obozu internowania. Mój wuj, zgłosiwszy się do ambasady RP w dniu wybuchu wojny jako oficer rezerwy artylerii, był już w mundurze. Został tymczasowo przydzielony do dyspozycji attaché wojskowego. Przyjaciele postanowili wydobyć Eddiego z więzienia jako Polaka. Nie było to łatwe. Francuska biurokracja nie jest zbyt skora do łamania przepisów, specjalnie w stanie ostrego zagrożenia. Zmiana obywatelstwa z wrogiego na alianckie w warunkach, kiedy lada chwila samoloty niemieckie mogły bombardować Paryż, to zadanie co najmniej niecodzienne. Zwłaszcza że Francuzi mieli zawsze uraz na temat szpiegostwa. Grupa przyjaciół spotkała się na naradę w barze hotelu Scribe'a na rogu Rue Scribe i Boulevard des Capucines. Tam powstała strategia uwolnienia Eddiego, rozbrajająca swoją prostotą i naiwnością. Do jej wykonania potrzebny był mundur polskiego oficera i dokument, według którego ppor. Edward Oppersdorf był na służbie specjalnej. Wszystko miało być tak tajne i poufne, żeby Francuzi nie wymagali zatrzymania dokumentu. I tak się stało. Mundur „wypożyczono" od jednego z urzędników ambasady RP, nadającego się figurą i wzrostem. Wymuszono na nim przysięgę milczenia. Wykonanie wyznaczono na porę nocną, licząc na częściowe wtedy zaciemnienie miasta i na brak ruchu ulicznego. Użyto samochodu ambasady z dyplomatycznym numerem. W krótkiej rozmowie z francuskimi urzędnikami brał udział mój wuj i bezimienny członek attachatu wojskowego. Wszystko trwało niecałą godzinę. Francuzi żądali, żeby Eddie wyszedł z więzienia w polskim mundurze. Kiedy całą historię słyszałem po raz pierwszy w czasie wojny w Londynie, nie mogłem powstrzymać się od pytania: „Ile franków z złocie to kosztowało i czy Francuzi zatrzymali dokument?". Historia milczy. Może należy raczej dziękować Francuzom za ich

wspaniałomyślność i szarmancki gest w stosunku do zaatakowanych tak drapieżnie dalekich aliantów nad Wisłą?

Eddie był jednym z pierwszych moich starszych przyjaciół, których znalazłem w Londynie po przyjeździe z Egiptu w zimie 1942/1943. Na Buckingham Palace Road, niedaleko Hotelu Rubens, gdzie mieścił się Sztab Naczelnego Wodza, w połowie drogi do stacji Victoria była niewielka belgijska restauracja. W restauracji tej Eddie lubił jadać befsztyki z koniny w brunatnym gęstym sosie cebulowym. Restauracja ta była pod znakiem „czarnego rynku", gdzie nie liczono „sztabowych" szklaneczek whisky i nie dawano rachunku na piśmie. Wszystko było po znajomości. Nasze pierwsze spotkanie miało miejsce właśnie tam, bo był na służbie — tym razem jawnie — jako pomocnik gen. Tadeusza Malinowskiego, szefa oddziału opieki nad żołnierzem (tzw. *welfare*, „dobrobytu żołnierza"). Do niego należały kantyny żołnierskie, kasyna, domy wypoczynkowe dla żołnierzy, opieka nad rodzinami wojskowymi i studentami w mundurach na wielu różnych uczelniach, Klub „Orła Białego" na Knightsbridge w Londynie. Eddie był w swoim żywiole. Był jednym z niewielu polskich oficerów mówiących biegle po angielsku, więc był służbie bardzo przydatny. Wtedy z jego ust usłyszałem całą historię wydobycia go z francuskiego więzienia. I dowiedziałem się też, że po ewakuacji do Anglii — z grupą sztabową — został oficjalnie mianowany podporucznikiem czasu wojny z przynależnością służbową do Sztabu Naczelnego Wodza. Od tego momentu spotykaliśmy się za każdym moim pobytem w Londynie. Mieszkał u swego kuzyna Karola Radziwiłła w Stanmore, gdzie — kiedy tylko mógł — grał w golfa. Mundy była razem z nim. Wkrótce po wojnie urodził im się w Londynie syn. Mundy jako Amerykanka chciała wracać do Stanów, do swojej rodziny. Eddie, który przed wojną był maklerem giełdowym w paryskiej filii amerykańskiej firmy Hentz & Co., miał ochotę do niej wrócić. Paryska filia już nie istniała. Wrócili oboje do Nowego Yorku we wczesnych latach pięćdziesiątych.

Od dawna fascynowała mnie historia jego narodowej przynależności. Zmiana paszportu to nie wszystko. Mundur polskiego oficera czasu wojny też nie zamyka tego rozdziału. Brakowało mi zawsze w tym równaniu elementu lojalności. Z jednej strony, pewnie uratowano mu to życie. Z drugiej, jak przeszedł on psychicznie przez zmieniające się granice pomiędzy swoim pochodzeniem a rzeczywistością, w której żył? A co by było, gdyby nie wybuchła wojna? W Nowym Jorku znalazłem się po raz pierwszy po wojnie w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Odnalazłem jego i Mundy w ich mieszkaniu na Park Avenue. Niewiele się zmienili. Eddie stracił kontakt z większością starych

przyjaciół. Wiedział o tragicznej śmierci mego wuja. Dopiero w czasie mojej drugiej wizyty u nich wspomniał o Paryżu i o wrześniowej eskapadzie. Po zawale stracił władzę w nogach. Zastałem go na wózku, przykrytego grubym kocem. Widocznie, czekając na mnie, wyszukał stary album z fotografiami, bo leżał on na jego kolanach. Zaczęliśmy przeglądać. Zatrzymał palec na jednym ze zdjęć. Na paryskiej ulicy stały cztery osoby — Eddie w niezbyt dopasowanym polskim mundurze, Mundy, mój wuj i szofer z ambasady. Wyblakłym już trochę atramentem napisano na fotografii: „Paris, wojna, Niemcy w Warszawie". Eddie płakał. Usłyszałem szloch tego bardzo mi bliskiego człowieka, który nie znosił patosu. Poczułem uścisk jego ręki na mojej. O lojalność nie można się pytać. Jeśli jest, to się o niej wie. Eddie zmarł w Nowym Jorku.

25.09.2002

DYSCYPLINA TWÓRCZOŚCI

Dla czytelnika nieuświadomionego muzycznie, ale niekoniecznie głuchego na poezję w muzyce, książka wszechstronnie muzycznie wykształconej Beaty Bolesławskiej o Andrzeju Panufniku (*Panufnik*, Kraków 2001; Seria „Kompozytorzy Polscy XX wieku", ze wstępem Jerzego Pietrkiewicza) będzie — słusznie — pieśnią pochwalną na cześć głęboko zdyscyplinowanego procesu twórczego. Wynika z niej, że Panufnik posiadał dar nie tylko koncentracji, ale i dyscypliny wewnętrznej, która nie dopuszczała do burzenia tej dyscypliny nawet wtedy, kiedy okoliczności były przeciwne. Dlatego mógł całe życie walczyć o to, co uważał za idealne warunki do pracy kompozytora. Dodać można, że dążył do muzycznie wyrażonej syntezy każdego tematu, który go dosyć głęboko poruszył. Mogła to być dola ludzka, krzywda ojczyzny, miłość, radość czy żałoba. Osiągał swoje największe sukcesy jako kompozytor w okresach, kiedy te warunki były spełnione. Ich podstawą była harmonia w życiu codziennym i — może najważniejsza — harmonia psychiczna. Obie automatycznie przeinaczały się w harmonię pracy nad kompozycją. Oczywiście, sama harmonia nie wystarczy. O talencie Panufnika wiele dowiedzieć się można z książki Bolesławskiej. Cytuje ona opinie najwybitniejszych teoretyków i ludzi muzyki. Tam też znajdzie czytelnik dużo informacji o drugiej stronie jego muzycznej działalności (pracy jako dyrygenta), a także o pochodzeniu rodziny Panufników oraz życiorysie Andrzeja

i jego brata Mirosława. Omówienie strony ściśle muzycznej książki Bolesławskiej muszę z konieczności zostawić krytykom bardziej uprawnionym. Twórczość Panufnika jako kompozytora i praca jako dyrygenta znana była na Zachodzie w kołach muzycznych zanim znalazł się w Anglii w roku 1954. Szerzej i lepiej poznali go zachodni miłośnicy jego muzyki dopiero potem.

Nie ulega wątpliwości, że kluczowym wydarzeniem w życiu prywatnym i zawodowym Panufnika było jego ostateczne pożegnanie z Polską komunistyczną na przełomie czerwca i lipca 1954 roku. Miało to miejsce ponad rok po śmierci Stalina. Spodziewano się, że po zniknięciu dyktatora polski system komunistyczny ulegnie zmianie. Przypuszczano, że artyści, twórcy, kompozytorzy, poeci i pisarze nie będą tak bardzo pod kontrolą bezwzględnej cenzury politycznej. Niestety, długo jeszcze mieli na to czekać. Bolesławska słusznie pisze obszernie o momencie decyzji Panufnika i o jej konsekwencjach, jak i o szczegółach jej wykonania. Patrząc na tę decyzję i jej rezultat z odległego Londynu, korzystam z żywej jeszcze pamięci. Dla nas w Londynie było to też wielkie wydarzenie, ale dopiero po jego ujawnieniu, tzn. po wylądowaniu Panufnika bezpiecznie na lotnisku Heathrow. Dramatyczne były szczegóły tej podróży. Brali udział w jej organizacji i wykonaniu jego ówczesna żona Scarlett (właściwie Marie Elizabeth O'Mahoney-Rudnicka) i najbliżsi przyjaciele Panufnika na Zachodzie, obaj już nieżyjący, Konstanty Regamey w Szwajcarii i Witold Małcużyński, wówczas w Paryżu. Bolesławska skrupulatnie zebrała dostępne informacje i daje rzetelny obraz tej bardzo trudnej operacji, wymagającej ścisłego utrzymania tajemnicy. Tą tajemnicą objęty był oczywiście przede wszystkim sam Panufnik w ostatnich dniach przed wylotem z Warszawy — w pierwszym etapie do Zurichu, w etapie drugim i ostatnim z Zurichu do Londynu. I jeszcze parę osób, które brały udział w przygotowaniach gruntu i organizacji technicznej na Zachodzie. Autorka uchwyciła atmosferę, w której żył w tych ostatnich dniach Panufnik, przygotowujący się do opuszczenia na zawsze ojczyzny z powodu politycznego nacisku na jego twórczość — artysta zmuszony oddalić się od swoich korzeni, by móc kontynuować za granicą pracę z nich zawsze wyrastającą. Niemal trudny do ujęcia obraz człowieka stojącego na szczycie piramidy zawodowej, używanego przez reżim jako atut narodowy, nagradzanego wielokrotnie i dekorowanego, któremu presja pisania muzyki na zamówienie zniewoliła dynamikę talentu. Autorka tej świetnej biografii, jakby między wierszami, subtelnie przypatruje się konfliktowi kompozytora. Tym samym podkreśla, równie delikatnie, dwie szale równowagi — wolność człowieka i wolność twórcy. Ci, którzy znali Panufnika za jego

czasów londyńskich, czuli, że ta równowaga istniała w nim do końca życia. Wydaje się, że decyzja w tych warunkach niemal za trudna! A jednak, jak się okazało w jego twórczości w kraju i poza krajem, ta właśnie równowaga była dla niego prostą linią do wykonania swego przeznaczenia. Jako muzyka i jako człowieka.

Autorka w słowie wstępnym wspomina swoją pracę magisterską pt. „Symetria w symfoniach Andrzeja Panufnika" (1998). Nie znam się na symetrii w symfoniach, ale widzę wyraźną symetrię w życiu Panufnika. Nie tylko jako kompozytora bliskiego matematyce, specjalnie geometrii. Wskazują na to muzyczne kompozycje wyrażone geometrycznie, które autorka zamieściła w książce. Myślę, że wskazują na dobry porządek w pracowni tego kompozytora. Warunkiem tego dobrze zorganizowanego porządku była równowaga umysłu i ducha. Panufnik, jak wynika z biografii Bolesławskiej, jeśli miał w sobie poezję — a słuchając jego muzyki wiadomo, że ją miał — ułożył na swojej wadze rytm i symetrię nie chyląc szali. *À propos* matematycznych i geometrycznych porównań przypomina mi się ilustracja pewnego nieporozumienia. Bardzo wcześnie po wylądowaniu Panufnika w Londynie jego przyjaciel pianista Witold Małcużyński złożył mu ofertę napisania koncertu na fortepian. Oferta była interesująca dla Panufnika z wielu względów. Fundatorem oferty był polski przedsiębiorca mieszkający w Argentynie. Panufnik był w rozterce — nie lubił pisać na zamówienie, nie mówiąc już o tym, że właśnie udało mu się uciec od „zamówień". Niemniej postanowił, że zrobi, co może, żeby sprostać zadaniu. Uważał je jednak za trudne. Znał dobrze muzyczne talenty Małcużyńskiego. Państwo Małcużyńscy mieszkali wtedy w wynajętym domu koło Montreux w Szwajcarii. Panufnik rozpoczął pracę. Kiedy jego muzyczne „szkice" były nakreślone, pojechał do Małcużyńskich. Toczyły się tam wtedy rozmowy o koncercie. Przyjaciele zdawali się mieć trudności w dość precyzyjnym odczytaniu swoich intencji. Trudność polegała na matematyce, a może też na geometrii albo symetrii. Kompozytor miał wszystkie trzy w małym palcu. Było ich za dużo na fortepian.

7.12.2002

DZIESIĘĆ LAT

30 lipca 2003 roku mija dziesięć lat od śmierci w Londynie Prezydenta Edwarda Bernarda Raczyńskiego w 102. roku życia. Jeśliby zliczyć jego tytuły oraz stanowiska państwowe i społeczne, zostałaby

wypełniona kanwa jego życia. Piastował chyba wszystkie najważniejsze pozycje, jakie może zmieścić jeden człowiek w służbie kraju, któremu oddał swoje talenty i swoje życie. Jako urzędnik państwowy w dyplomacji od 1919 roku aż do końca życia, uznawał nadrzędną zasadę obowiązującą według niego każdego urzędnika państwowego — zupełna niezależność od wszelkich partii politycznych. W tę rocznicę jego śmierci jest właściwe, żeby postać jego i działalność przypomnieć. Pierwsze trzy lata w dyplomacji spędził jako sekretarz poselstwa RP w Kopenhadze. Były to pierwsze lata polskiej niepodległości i to tam właśnie, w liście do ukochanej matki, pani Róży, zadał sobie pytanie, na czym polega niezależność partyjna. Można przypuszczać, że matka poddała mu myśl, by priorytetem w jego życiu publicznym było tylko dobro Polski. Trzeba pamiętać, że był to okres ostrych walk politycznych pomiędzy partiami i ich odłamami. Można łatwo stwierdzić, śledząc historię jego życia, że tej zasady nigdy nie złamał. Świadectwem tego jest jego dalsza kariera. W latach 1922–1924 był sekretarzem poselstwa RP w Londynie. W latach 1926–1934 był kolejno pracownikiem Wydziału Wschodniego i Wydziału Ustrojów Międzynarodowych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. Jednocześnie od roku 1932 był delegatem Polski przy Lidze Narodów w Genewie i reprezentował Polskę w randze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego na Konferencji Rozbrojeniowej, początkowo w Genewie, a potem w Londynie. Jako delegat Polski przy Lidze Narodów był Raczyński autorem planu dyplomatycznego, zmierzającego do wystąpienia Polski z nałożonego na nią pod przymusem wielkich mocarstw traktatu o mniejszościach narodowych. Traktat ten upoważniał Ligę Narodów do arbitrażu i rozsądzania wszelkich sporów i zatargów pomiędzy członkami mniejszości narodowych w Polsce i polskimi władzami administracyjnymi. Rząd polski w Warszawie pragnął za wszelką cenę zerwać te upokarzające więzy. W rezultacie zabiegów Raczyńskiego ówczesny polski minister spraw zagranicznych Józef Beck ogłosił decyzję wycofania Polski z członkostwa w traktacie w czasie walnego zgromadzenia Ligi w Genewie w roku 1934.

Raczyński odznaczał się specyficznym zrozumieniem pragmatyzmu w polityce, a zwłaszcza w dyplomacji. Szukając prawdy w tym, co politycy na ogół mówią, był sceptykiem. Często słuchał zdań wypowiadanych z wielkim przekonaniem — prywatnie lub publicznie — przez jakiegoś ministra czy ambasadora, czując, że myśli mówcy idą inną zupełnie drogą. Co do Ligi Narodów, będąc w Genewie i słuchając debat oraz krasomówczych wystąpień wielkich mężów stanu, nabrał głębokiego przekonania, że państwa mocne nigdy nie będą zabie-

gać o interesy państw słabych. Chyba że na dnie odwrotnej decyzji kryje się ich własny interes. Nie musi on być widoczny. Wkrótce po negatywnych w gruncie rzeczy doświadczeniach genewskich Raczyński został mianowany ambasadorem RP w Londynie, gdzie przez wiele lat pozytywnych doświadczeń rozumiał i znał lepiej niż wielu innych mężów stanu podstawy, na jakich może być realne porozumienie słabszych i silniejszych i jaka może być jego wartość doraźna i przyszła. Co do Ligi Narodów, zaledwie trzy lata przed śmiercią, mówił: „[...] mimo to, że każda dyplomacja pracuje dla siebie [...], miałem nadzieję, przekonanie wewnętrzne, że jednak w Lidze Narodów, tym dziele prezydenta Wilsona i jego kolegów w koalicji demokracji zachodnich, odnajdzie się jakiś ukryty skarb, jakieś płodne nasienie, że tam pomimo wszystko kwitnie idealizm i że praca dla pokoju i dążenie do współpracy międzynarodowej stanowi jednak ważny element w tych naradach. [...] Przyznaję, że doznałem wielkiego zawodu. Z bliska przyjrzałem się składowi samego sekretariatu Ligi i tym ministrom. [...] I przekonałem się, że to zbiorowisko, ten ustrój był wielkim targowiskiem. Że może przeciwnie, w pewnej mierze nawet doprowadzał do zaostrzenia konfliktów". Kiedy mówił te ostrzegawcze słowa miał pewnie uczucia mieszane. Z jednej strony ufał, że może tym razem przeważy zbiorowa mądrość, a z drugiej nie zawierzał naturze ludzkiej. Był to okres natężonych wysiłków konsolidacji już niemal zjednoczonej Europy. Do końca życia Raczyński ostrzegał przed koalicją nierównych sił. Czy taka koalicja może zneutralizować instynkty silnych w stosunku do słabych? Takie obawy drążyły przez wiele lat tego człowieka, który tak świetnie czytał nie wypowiedziane głośno myśli możnych tego świata.

Raczyński objął ambasadę RP w Londynie w listopadzie 1934 roku. Tamże 25 sierpnia 1939 roku, o godzinie piątej po południu podpisał w brytyjskim Foreign Office w imieniu Polski traktat o wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią. Drugim sygnatariuszem był lord Halifax, ówczesny minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Raczyński pozostał na tym stanowisku do maja 1945 roku, kiedy alianci uznali nowy rząd w Warszawie. Działalność jego na obczyźnie jest dobrze udokumentowana — specjalnie jako prezydenta RP, choć dotyczy to też wielu jego funkcji społecznych, jak też publicystycznych i pisarskich. Nie mówiąc o wpływach, jakie miał na wiele poczynań emigracyjnych oraz na wiele wojskowych i cywilnych organizacji polskich w wolnym świecie. Może jednak nie będzie od rzeczy przypomnieć w tym wspomnieniu ważny fragment dawniejszej historii, dziś raczej zapomniany. Ważną inicjatywą podjętą przez Raczyńskiego już w grudniu 1939 roku było rozpoczęcie

daleko idących rozmów z prezydentem Czechosłowacji Edvardem Benešem i jego ministrem spraw zagranicznych Janem Masarykiem, którzy byli już wtedy w Londynie. Rozmowy te zmierzały do utworzenia po wygranej wojnie jakiejś, jeszcze wtedy niesprecyzowanej, formy federacji polsko-czeskiej. Raczyński uważał to za pierwszy krok do szerszej organizacji środkowoeuropejskiej obejmującej też Węgry, Jugosławię i nawet Austrię. Jego ideą był jeden blok obronny zwrócony na Wschód, który mógłby współpracować z blokiem zachodnim jak równy z równym. Reakcja sowiecka na rozmowy polsko-czeskie nie dała na siebie zbyt długo czekać. *Veto* sowieckie, z początku dyskretne, potem coraz jaskrawsze, wyszło na jaw w rozmowie Raczyńskiego z ambasadorem sowieckim w Stanach Zjednoczonych Maksimem Litwinowem, w Ameryce w 1942 roku. Kontynuacja tych rozmów stała się i tak niemożliwa, gdy wkrótce potem w czasie rozmowy w grupie Beneš, Masaryk, gen. Sikorski i Raczyński, Beneš wywołał „ducha" Zaolzia. Raczyński słusznie wywnioskował, że Beneš był już wtedy (prawdopodobnie za namową rządu brytyjskiego) gotów przyjąć postawę Sowietów w stosunku do Europy Środkowej. Wypadki wojenne to potwierdziły — po zakończeniu działań wojennych w Europie w maju 1945 roku Beneš i Masaryk wrócili do Pragi.

Unia Europejska jest dziś faktem dokonanym. Jeśli chodzi o Polskę, jest nawet więcej niż dokonanym. Takie miejsce Polski widział Raczyński, mimo swoich gorzkich doświadczeń z czasów niesławnej Ligi Narodów. Jego myślą przewodnią była zawsze Polska w Europie. Dar przewidywania i znajomość talentów politycznych rodaków wskazywały — jak zawsze u niego — na ostrożność przed ostateczną decyzją. Lubił mówić, że rodacy są na ogół niecierpliwi i za krótko myślą. Niemniej, i przez długie lata po wojnie był ściśle związany z Ruchem Europejskim, w którym współpracował blisko z najwybitniejszymi wówczas Europejczykami: Hiszpanem Salvadorem de Madariaga, Winstonem Churchillem i Francuzem Léonem Blumem. Ruch Europejski rozpoczął się zebraniem w Hadze w roku 1948. Był to niewątpliwie prekursor późniejszego Wspólnego Rynku Europejskiego. Był to też zalążek idei federacji europejskiej — popierany głównie przez Churchilla. Znamienny jest fakt, że choć Polska nie była wtedy niezależna, Ruch Europejski uznawał Raczyńskiego za jej przedstawiciela. W tym to powojennym okresie, niemal aż do śmierci, był doradcą rządu brytyjskiego we wszystkich sprawach dotyczących Polaków żyjących na tej wyspie. Faktem może interesującym jest to, że w czasie wojny sprawy polski były w kompetencji Wydziału Centralnego Foreign Office. Po zakończeniu działań wojennych i po cofnięciu uznania rządowi polskiemu w Londynie kompetencje w sprawach polskich

wróciły — tak jak przed wybuchem wojny — do Wydziału Północno-Wschodniego Foreign Office.

Wiele było takich specjalnych fragmentów w długim życiu Raczyńskiego. Miał on w swoim arsenale talentów jeden, może nadrzędny, który umożliwiał sukcesy w podjętych zadaniach. Był to talent słuchania, który prowadził do całkowitego opanowania tematu. Wynikał z tego „pod-talent" mediacji. Nie będąc ideologicznie zaangażowany w żadnych politycznych ugrupowaniach, zwykle uzyskiwał czasem nawet trudny do przyjęcia kompromis. To była jego siła. Ilustracją tego nie była tylko jego emigracyjna działalność polityczna czy społeczna. Fragmentem pewnie mało znanym był przełom rządowy w Polsce za czasów, kiedy ministrem spraw zagranicznych był Krzysztof Skubiszewski. Minister był na progu podania się do dymisji na skutek polityki rządu, której nie uznawał za właściwą. Raczyński się z nim zgadzał i nie ukrywał kryzysowych rozmów telefonicznych z ministrem, którego w końcu przekonał, aby tymczasem dymisji zaniechał. Pytany przez bliskich w Londynie, dlaczego powziął taką decyzję, odpowiedział prosto, że polski rząd jeszcze tego nie wie, ale nie ma w Polsce na to stanowisko dzisiaj nikogo lepszego. Skubiszewski był już znany i rozumiany na Zachodzie. W danym przypadku było to ważne.

Edward Raczyński był na emigracji kimś więcej niż by mogły na to wskazywać jego liczne tytuły oficjalne i pozycja społeczna. Był od roku 1945 do końca swojego życia tej emigracji pierwszym i ostatnim prawdziwym opiekunem.

26/27.07.2003

ODDAJMY CZEŚĆ REDAKTOROM

Z niemałym wzruszeniem czytam w „Dzienniku Polskim" apel o fundusze dla utrzymania Maisons Laffitte. To poza Biblioteką Polską w Paryżu był i jest może najbardziej polski skrawek Francji. Wzruszenie nie wypływa z nostalgii ani z braku pamięci (tego skrawka zapomnieć nie sposób), nie z uczucia pustki po śmierci Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz ani z tytułu obawy o przyszłość. Wypływa ono z powodu żalu, ale i pewności, że do dawnej świetności nie da się wrócić. Bo się do niej nie wraca. Co było, zostanie w pamięci, zostanie w sercu, zostanie w świadomości, że doskonałość jest jedna i że jest ona łaską daną niektórym osobom i niektórym instytucjom. Rzecz w tym, że tylko wybranym. Nie wszystkim. Stąd apel o cześć dla wybranych redaktorów i dla tych wy-

branych instytucji. Oni tworzyli ich główną treść i rację istnienia. Ich byt był związany z ich własną epoką, z ich pokoleniem pisarzy, publicystów, poetów, dziennikarzy, polityków i obserwatorów swoich czasów i... z tej epoki czytelnikami. W kraju i na emigracji. Nie należy ich ograniczać do przeszłości. Bo to, co stworzyli pozwala nowym pokoleniom kontynuować drogę do szczytu doskonałości, jeśli łaska na nich spadnie. Ale umówmy się, że epoki nie wracają. Zostawmy historykom i badaczom grzebanie się w historycznie zamkniętym z honorem okresie świetnej literatury i świetnego piśmiennictwa politycznego. Patrzeć należy na okres „Kultury" i „Zeszytów Historycznych", jak również na „Wiadomości", „Orła Białego", „Polskę Walczącą" i inne pisma emigracyjne oraz ich redaktorów jak na skończoną bitwę. Zawsze w końcu wygraną, jako że dopełniła służby.

Pisząc o tych grzebiących się w starych dokumentach historykach, specjalnie w Polsce, wiem, że mają oni do spełnienia inną służbę — przekazanie młodym intensywności walki tych pism o Polskę w warunkach, które nie były ani łatwe, ani przyjazne ze strony cudzoziemskich gospodarzy. Ich interes polityczny często kolidował z interesem polskich redaktorów i czytelników. Niemniej wytrwali bez wątpliwości, bez skarg, często bez najpotrzebniejszych funduszów. Bo byli pisarze, byli dziennikarze i byli... czytelnicy. Ci ostatni, ten nieodzowny kapitał każdego wydawnictwa, nie kupowali pisma jako jałmużny, ale dlatego że mieli potrzebę czytania. I chcieli wiedzieć prawdę. O tę ostatnią zawsze najtrudniej. Jak wiemy z wielu podobnych doświadczeń historycy nie lubią nie zamkniętych rozdziałów, specjalnie takich, których końca nie widać, a tym samym brak im rzeczowej konkluzji.

O ile wiadomo, archiwum „Kultury" albo już jest albo wkrótce będzie w Archiwum Emigracji w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jeśli tak jest, tam będzie główne studium badań nad wydawnictwami i działalnością Maisons Laffitte. Instytucja jest już swoim własnym pomnikiem. Przebywając tam parokrotnie, głównie z okazji odwiedzin u Józefa Czapskiego, byłem zafascynowany klasztorną atmosferą tego domu. Czapski mieszkał w miłym pokoiku na górze, raczej odizolowanym od reszty domu. Po raz ostatni byłem u niego na krótko przed jego śmiercią. Mówił o swoich „kajetach", których całe szeregi stały na półkach. O śmierci nie mówił, ale o życiu. Pamiętam, że powtarzał: „Patrz w światło!". Kiedy zmarł w tym właśnie pokoiku 12 stycznia 1993 roku światło, które widział, nie zgasło. Zgasła epoka. Po śmierci Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz zgasła epoka Maisons Laffitte.

8.08.2003

STEFANIA KOSSOWSKA (LWÓW 1909 – LONDYN 2003)

Pisarka, dziennikarka, redaktorka, świadek i kronikarz intelektualnej historii Polski współczesnej od wczesnych lat trzydziestych aż do końca swego bogatego i owocnego życia. A więc ogarnęła doświadczeniem może najbardziej dramatyczny okres przeżyć kraju. Urodziła się we Lwowie 23 września 1909 roku jako córka znakomitego prawnika i adwokata Stanisława Szurleja (1878–1965) i Jadwigi z Ciepielowskich. W latach 1927–1932 studiowała język francuski w Lozannie (1927) i prawo na Uniwersytecie Warszawskim (1928–1932), uzyskując tam magisterium. Studia prawnicze to w dużym stopniu tradycja rodzinna. Ojciec, Stanisław Szurlej, przeszedł do historii politycznej Polski m.in. jako obrońca Wincentego Witosa w słynnym procesie brzeskim (1930–1931), a potem jako szef sądownictwa wojskowego i Naczelny Prokurator Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie był współzałożycielem Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Mężem jego córki był ceniony malarz i grafik — zmarły w Londynie Adam Kossowski (1905–1986).

W roku 1935 jako początkująca dziennikarka związała się z warszawskim tygodnikiem „Prosto z mostu" redagowanym przez Stanisława Piaseckiego. Do wybuchu wojny w 1939 roku współpracowała też jako korespondentka z innymi pismami warszawskimi, m.in. z „Wieczorem Warszawskim" i „ABC". W latach wojennych była referentem do spraw literackich Ministerstwa Informacji i Dokumentacji rządu polskiego w Paryżu (1939–1940), następnie w Londynie (1940–1947), a po wojnie była urzędniczką Polish University College w Londynie (1949–1953).

W roku 1946 wznowiony został w Londynie tygodnik „Wiadomości", trzecie wcielenie „Wiadomości Literackich" (Warszawa), „Wiadomości Polskich" (Paryż–Londyn), z którym Kossowska regularnie współpracowała w latach 1953–1969, m.in. jako autorka popularnej rubryki „W Londynie", którą podpisywała pseudonimem „Big Ben". W roku 1969 ciężko zachorował redaktor „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski. Od tego momentu do 1974 roku redagowała ona tygodnik wspólnie z Michałem Chmielowcem. Od roku 1974 aż do zamknięcia pisma w roku 1981 była redaktorem naczelnym, finansowym i administracyjnym. W tym czasie współpracowała regularnie z Radiem Wolna Europa i polską sekcją BBC. Przez sześć lat (1980–1986) czynnie współpracowała z londyńskim „Tygodniem Polskim" w charakterze kierownika literackiego redakcji. Od roku 1986 redagowała „Środę Literacką", miesięczny dodatek do londyńskiego „Dziennika Polskiego".

W latach 1977–1981 przewodniczyła Jury Nagrody Literackiej „Wiadomości", trzymając rękę na pulsie literatury polskiej w kraju i na obczyźnie. Nagroda „Wiadomości" uważana była wśród ludzi literatury za największe wyróżnienie pisarzy piszących po polsku. Kossowska publikowała swoje eseje i recenzje niemal w całej prasie polskiej na obczyźnie. W kraju współpracowała głównie z dziennikiem „Rzeczpospolita", „Tygodnikiem Powszechnym", „Dekadą Literacką" i miesięcznikiem literackim „Więź". Jej książki to: *Mieszkam w Londynie* (Londyn 1964), *Jak cię widzę tak cię piszę* (Londyn 1973), *Galeria przodków: sylwetki emigracyjne* (Warszawa 1991), *Przyjaciele i znajomi* (Toruń 1998). Wydała też antologię prozy *Wiadomości na emigracji* (Londyn 1968) i Nagrody „Wiadomości" (1958–1990) pt. *Od Herberta do Herberta* (Londyn 1993). Jest laureatką nagród: Radia Wolna Europa (1954), tygodnika „Wiadomości" (1970), Fundacji Jurzykowskiego w Nowym Jorku (1980), im. Stefana Badeniego i paryskiej „Kultury" (1984).

Kiedy w roku 1999 nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie ukazała się praca zbiorowa pt. *Pani Stefa* o twórczości i działalności Stefanii Kossowskiej, pisarki, dziennikarki i redaktorki, z okazji 90-lecia jej urodzin, zaczęto znowu mówić szerzej o pisarstwie polskim na obczyźnie, co przesiąka do kraju. Powodem tego był fakt, że w pracy nad książką *Pani Stefa* wzięli udział pisarze krajowi i pisarze żyjący na obczyźnie. W sumie niemal większość głosów zgadzała się co do tego, że pisarze polscy poza Polską — ci, co jeszcze zostali i chce im się pisać — nie mają gdzie drukować swoich tekstów. Te możliwości, które istnieją, są w sumie poświęcone sprawom bieżącym. Tylko „Środa Literacka" w „Dzienniku Polskim" raz na miesiąc i od czasu do czasu „Tydzień Polski" przypominają o żywej literaturze, zamieszczając oryginalne, nowe utwory literackie. Olbrzymią zasługą Stefanii Kossowskiej było to, że potrafiła nawiązać kontakty z pisarzami i redaktorami, ale przede wszystkim z młodym pokoleniem literatów i publicystów w kraju. Przyjmowała ich u siebie i pomagała w wyszukiwaniu i badaniu materiałów leżących w polskich archiwach w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Dzięki tej inicjatywie interesujący się literaturą krajową Polacy poza Polską mieli łatwiejszy dostęp do właściwej informacji i do ewentualnej współpracy z wydawnictwami. A Polacy w Polsce odbierali od tych nowych badaczy literatury polskiej na obczyźnie skromną, ale rzetelną dozę tego, co pisze i co czyta emigracja. Kossowska najchętniej dzieliła się swoim żywym zainteresowaniem nowościami literackimi w kraju i była w tym może jedynym w Londynie źródłem informacji. Lubiła też wszelkie literackie „plotki", którymi tradycyjnie żyją wszystkie ośrodki twórcze, a specjalnie te, które dzieli nie tylko przestrzeń

geograficzna, ale — aż do roku 1990 — wszelkie uprzedzenia. W tej inicjatywie wtórowała paryskiej „Kulturze", choć nie wykraczała poza ramy czysto literackie, odwrotnie niż „Kultura", w której dziedziny polityczne i ekonomiczne miały wyraźne pierwszeństwo. Te interesowały Kossowską mniej. Miała do tego pragmatyczny stosunek — bardzo lubiła wiedzieć, jak i z czego żyją pisarze i intelektualiści. Zarówno w kraju, jak i na obczyźnie. Uważała, że ideowość nie powinna wyrażać się wyłącznie w patriotycznych uroczystościach, że idee powinny być pieczętowane słowem drukowanym, prozą czy w poezji, i że powinny zostać jako ślad ludzkich przeżyć i dążeń.

Stefania Kossowska była osoba prywatną. I praktyczną — w życiu i w pisarstwie. Wolała rozmowy z jedną osobą. Nie lubiła dużych zebrań. Nie lubiła przemawiać. Lubiła rozmawiać. Nasze długie rozmowy czasem u niej, czasem na mieście, a w ostatnich paru latach głównie telefonicznie mam żywo w pamięci. Przeżyłem (razem z wojną) sześćdziesiąt lat na tej przytulnej wyspie, a ponieważ wspominaliśmy często nieżyjących już pisarzy, redaktorów, dziennikarzy (a znała ich niemal wszystkich — wybitnych i mniej znanych, od skamandrytów do... Zbigniewa Herberta i Jana Kotta) oraz do niedawna tak bujne życie wydawnicze i pisarskie, to fragmenty tych rozmów pozostały w pamięci. Spisałem je w formie krótkiego listu, którego już nie dostanie.

„...Słyszę często w naszych rozmowach, jak mówiłaś, że nie lubisz osobistych wspomnień ani rocznic. Wyjaśniłaś to w swój własny sposób, ze znaną Ci prostotą, choć stanowczo i bez nadmiaru przymiotników. Dla Ciebie sprawa była jasna. Wspomnienia są tylko interesujące we fragmentach, tam gdzie łączą się z nimi osoby czy miejsca związane z ich autorem albo takie, gdzie autor brał udział w zdarzeniach, które przeszły do historii lub miały głęboki wpływ na jego życie i życie innych. Interesujące też mogą być fragmenty, w których humor (zwłaszcza kiedy autor śmieje się z samego siebie) ukazuje nie napuszone niczym realia. Muszą one być zwięzłe i — co najważniejsze — żywo napisane. Odwrotnością są niemal zawsze nużące dzienniki czy pamiętniki, w których detale codziennego życia powtarzają się w swojej monotonności. Wynika to przeważnie z głębokiego przeświadczenia ich autora, że szczegóły jego życia i doświadczeń muszą być udostępnione potomności. Specjalnie kiedy autor pozbawiony jest talentu pisarskiego. Co do rocznic, równie słusznie uważałaś, że im więcej rocznic, tym mniejsza ich waga. To samo, też słusznie, mówiłaś o pomnikach. Rocznice wydarzeń historycznych — poza tymi najważniejszymi, które wywarły niezatarty wpływ na naród czy państwo — swoim nadmiarem też zagłuszają własną wagę i zmniejszają swoje znaczenie. W rocznicach lubują

się głównie pisma cierpiące na brak doraźnego materiału i skromne talenty nowatorskie swoich autorów. A często robią to też z tytułu tzw. „obowiązku obywatelskiego", na zasadzie szablonowego poziomu starodawnych wypisów szkolnych do nauki historii i literatury, bo uważają, że tego oczekuje czytelnik. Co ciekawe, nikt nie jest tu w błędzie. Są, rzecz prosta, i muszą być wyjątki. W tym, czego nie lubiłaś i w tym, czego wymagają czy spodziewają się czytelnicy. Myślę, że najlepiej się umówić, że do tego, żeby talent pisarza zabłysnął, potrzebny jest drugi talent — redaktora. Czasem to tylko kwestia przecinka we właściwym miejscu, czasem kropki, ale najczęściej nożyczek. Wbrew temu, co myślą niektórzy autorzy, skróty nigdy tekstom nie szkodzą. Przeciwnie. To był Twój wielki talent...

Po tym wstępie o pojęciach, których nie lubiłaś, dla równowagi chcę pisać o pojęciach, które — jak mi się wydaje — lubiłaś, bo dałaś tego wielokrotnie dowód w Twojej długiej i szerokiej twórczości literackiej i dziennikarskiej, jak też w Twojej działalności redaktorskiej i wydawniczej. Lubiłaś — i to bardzo lojalnie trzeba zawsze podkreślać — tradycje, dobre maniery oraz jasny, czysty i prosty język polski w mowie i piśmie. Tradycje polskie, tradycje rodzinne, tradycje chrześcijańskie, tradycje kultury i tradycje obyczajów, według których wszyscy żyjemy. W tym ostatnim zespole tradycji obyczajowych nie mogę pominąć tradycji obywatelskich, to znaczy brania udziału w miarę możliwości w powinności społecznej. Twoja powinność społeczna spełniła się w twórczości literackiej i wielokrotnie w praktycznej administracji dobrą literaturą i rzetelnym piśmiennictwem. Twoi czytelnicy i wielbiciele Twojego talentu byliby zdziwieni, gdyby żaden z pozostałej garstki Twoich starszych przyjaciół nie dał publicznie wyrazu właśnie tej tradycji. Pięknej polskiej tradycji i idei świetnej literatury, popartej pokorą".

Stefania Kossowska zmarła 15 września w podlondyńskim „Antokolu".

20.09.2003

REPUBLIKA LITERACKA

Pamięci Stefanii Kossowskiej, redaktorki „Środy Literackiej" w londyńskim „Dzienniku Polskim".

Dziś trudno już sobie nawet wyobrazić, jak aktywne i barwne było na emigracji życie literackie. W latach trudnych, w czasie wojny i po wojnie. Tak właśnie było — im dnie, tygodnie, miesiące i lata

trudniejsze, tym więcej pisarze pisali. Co więcej, tym bardziej czytający czytali, a wszyscy inni mówili o tym, co przeczytali i często o tym, czego nie przeczytali. Panowała atmosfera ciekawości słowa drukowanego. I słowa tego potrzeba. Każda działalność literacka, każda nowa książka, każdy artykuł polityczny, każda dobra satyra, każdy wzruszający wiersz, każdy rzeczowy reportaż, każda kontrowersja pomiędzy znanymi autorami, każda polemika na stronach pisma, nawet każda pikantna artystyczna czy literacka plotka — wszystko było na ustach zaciekawionych czytelników. Komentarzy było bez liku. Każda nagroda literacka była wydarzeniem. Każda promocja nowej książki była niemal świętem. Nie mówiąc już o każdej premierze teatralnej. Na wieczorach autorskich były tłumy spragnione żywego słowa polskiego. Ten emigracyjny parnas można nazwać niezależną republiką literacką. Była ona demokratyczna, pięcioprzymiotnikowa, sumienna w swoim powołaniu i żyła pozytywną nadzieją. Bez wątpliwości. Oczywiście wszystko polegało na ludziach, którzy tej republice nadawali ton i tych, co oddali się całkowicie sprawie podtrzymania i szerzenia kultury polskiej na emigracji. Było wielu pisarzy i dziennikarzy, było wielu miłośników literatury. Wielu z nich to sporadyczni szermierze na barometrze emigracyjnego klimatu literackiego. Osobą oddaną z całkowitym poświęceniem polskiemu słowu drukowanemu i mobilizacji piśmiennictwa na emigracji była Stefania Kossowska. Byli przed nią inni, jak słynny już w Polsce romanista prof. Stanisław Stroński, jak niezastąpiony przedwojenny i wojenny redaktor „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski, jak Maria Danilewicz Zielińska, jak Edward Raczyński, jak Jerzy Giedroyc, jak Jan Nowak Jeziorański, jak Zdzisław Jagodziński i inni. Oni i wszyscy im podobni — wybitni. Każdy w swojej dziedzinie. Kossowska ze swoją pasją literackiej ciekawości i odkrywczości miała w ręku wszystkie te same elementy z dodatkiem całkowitej koncentracji na wybranym przez siebie temacie. Miała przy tym talent i łatwość przekazywania swoich odkryć i wyciągania z nich właściwych wniosków, była mistrzynią szybkiej i trafnej syntezy (asowy atut rasowego dziennikarza). Była w istocie sama wyczulonym barometrem tego, co działo się w mózgach, sercach i ambicjach poetów, pisarzy i tłumaczy. Jako dziennikarka z zawodu miała doskonały węch na sensację i umiała ocenić ich sens. Jako reporterka miała ostrość wzroku. Nie omijała szczegółu. Jej język jako pisarki (*Mieszkam w Londynie*, Londyn 1964; *„Wiadomości" na emigracji*, Londyn, 1968; *Jak cię widzę tak cię piszę*, Londyn, 1973; *Galeria przodków*, Warszawa, 1991; *Od Herberta do*

Herberta. Nagroda „Wiadomości" 1958–1990, Londyn, 1993) był zwięzły, czysty, przejrzysty bez chwastów i bez baroku. Pisała tak, jak mówiła i myślała. A myślała wiele i bardzo rzadko o sobie. Jako redaktorka („Wiadomości" od 1969 wspólnie z Michałem Chmielowcem, od 1973 do 1981 samodzielnie, „Środy Literackiej" w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza", 1988–1992) miała niemal gastronomiczny węch na smak czytelników. Używam tego porównania, bo redaktorka umiała równie dobrze rozeznać dobrą kuchnię od mniej dobrej. Cieszyła się talentem swoich „środowych" pisarzy i przyjmowała z radością i zaciekawieniem komentarze czytelników. Jeśli się z nimi nie zgadzała, nie potrafiła nigdy ukryć swej opinii. Może kiedyś ucierpiała ambicja komentatora, ale zawsze broniła swojego autora, nawet nie zawsze się z nim zgadzając. Broniła zawzięcie decyzji drukowania tekstu w imię najszerszego pojęcia wolności słowa w przyjętych granicach chrześcijańskiej moralności.

Emigracyjna republika literacka nie miała w Londynie pałacu jak oficjalna Akademia Literatury w Warszawie, zainicjowana w roku 1933. Nie miała biura ani dachu nad głową. Miała za to autorytet, którego wyrazem byli pisarze. Stefania Kossowska może być najbardziej wszechstronnym tego wyrazu przedstawicielem. A to może też dlatego, że jako pierwsza starała się, aby ten autorytet stał się ogólnie polski. Była pierwszą pisarką emigracyjną, która nawiązała stopniowo coraz bliższy kontakt z młodym narybkiem pisarzy w kraju. Tak powstał znany w Londynie, nie tylko wtajemniczonym, „Klub Chłopców Pani Stefy". Byli to młodzi adepci historii literatury, młodzi bibliofile, pisarze, poeci, których nęciła informacja o emigracji i jej kulturze. Pisali o niej w Polsce, przyjeżdżali do Londynu, gdzie ich przyjmowała i formowała ich program poznawczy. Wymienić muszę parę nazwisk tych, co okazali się bliscy i których prace o emigracji miały żywy oddźwięk w kraju. A więc: Anna i Mirosław Supruniukowie (wyjątek, bo małżeństwo) — twórcy i założyciele Archiwum Emigracji w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (teraz jest już ono szeroko znane wszędzie na Zachodzie jako poważny zbiór i zakład naukowy archiwów emigracyjnych), Rafał Habielski — chyba pierwszy z „chłopców-pisarzy", który pod świetnym kierunkiem Kossowskiej napisał książkę *Niezłomni i Nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości" i ich krąg 1940–1981* (Warszawa 1991), Wacław Lewandowski z Bydgoszczy, Paweł Kądziela, Jarosław Koźmiński — obecny redaktor „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" w Londynie i wielu innych. Autorytet Stefanii Kossowskiej wyszedł więc z Londynu do kraju i tam jest dalej wyso-

ko ceniony. Z jej śmiercią w „Antokolu" koło Londynu 15 września 2003 roku w wieku lat 94 zgasł wybitny członek-założyciel emigracyjnej republiki literackiej. Jej autorytet pozostanie z nami.

24.09.2003

TOMASZ KĘPIŃSKI — POWSTANIEC WARSZAWSKI (1919–2003)

Zbliża się sześćdziesiąta rocznica powstania warszawskiego. Z nią wygasa z każdym mijającym rokiem pokolenie powstańców — świeżo upieczonych podchorążych, ochotników, niemal dzieci, wspaniałych realistów-romantyków. Wszystkich jednej myśli i jednej idei. Jednym z nich był Tomasz Kępiński. Zmarł po długiej chorobie 27 października 2003 roku w Castlethorpe, w Anglii, przeżywszy 84 lata. Był członkiem pokolenia, które przez pięć lat okupacji hitlerowskiej nie myślało o sobie. Powstańcy warszawscy, żołnierze Armii Krajowej, ci, którzy różnymi drogami znaleźli się na Zachodzie wkrótce po 1945 roku, byli drugą — o ile mniejszą — falą wojennej emigracji w Anglii. Polski Londyn witał ich ze wszystkimi honorami jako wracających z frontu, z którego tak niewielu uszło z życiem. Tomasz, odznaczony orderem wojennym Virtuti Militari, wyszedł z Polski nielegalnie jako emisariusz polskich władz podziemnych. Znalazł się w Londynie w roku 1946.

W latach przed maturą i zaraz po maturze cieszyliśmy się młodością, nowym dorosłym życiem i jasną — jak się wtedy wydawało — perspektywą przyszłości. Byliśmy w grupie przyjaciół przedostatnim przedwojennym pokoleniem maturzystów. Tomek miał wielki czar towarzyski, umiał i lubił się bawić, miał duże, choć czasem rubaszne, poczucie humoru, miał jednocześnie zadatki na pedanterię połączoną ze smakiem na luksus, wynikającą na pewno z sumienności, miał też nieskazitelny styl. Kiedy go spotkałem pierwszy raz po wojnie w redakcji „Wiadomości" w Londynie ze sztubacką dumą powiedział mi, że właśnie kupił wspaniały angielski parasol. W mowie posługiwał się często patosem literackim przypominającym Sienkiewicza. Leżało to głęboko w jego poszanowaniu dla dziejowych tradycji polskich. W naszej grupie był nieodzowny w każdej sytuacji. W roku 1938 zdał maturę w Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. Na jesieni tegoż roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. We wrześniu 1939 roku znalazł się

w pierwszym rzucie walk obronnych, w 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Został ranny w kampanii wrześniowej i leżał w szpitalu wojskowym w Lublinie. Powrót do Warszawy wyznacza jego następny, już konspiracyjny, przydział wojskowy w cywilnym ubraniu. Wraz ze starszym bratem Andrzejem i przyjacielem Markiem Zamoyskim postanawia w jakiś sposób dołączyć do polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Postanowienie to nie dochodzi do skutku, kiedy brat Andrzej decyduje się szukać w Rosji ojca. Ojciec, dr Witold Kępiński, wybitny i szeroko znany w Polsce chirurg-okulista, ordynator szpitala wojskowego zmobilizowanego na czas wojny, znalazł się po kampanii wrześniowej razem ze swoim szpitalem na wschodzie Polski. Dużo później okazało się, że zginął w Katyniu. Brat Andrzej zmarł w Anglii. W roku 1942 Tomasz przerywa dorywczą pracę w Szczebrzeszynie i wraca do Warszawy. Działa dalej w konspiracji. Jednocześnie zapisuje się na kursy prof. Sierpińskiego (SGH). Jego przydziałem wojskowym w Armii Krajowej jest konspiracyjny oddział, grupujący żołnierzy z 1. Pułku Szwoleżerów. 1 sierpnia 1944 roku pluton pod dowództwem Kępińskiego zaczyna powstanie na Czerniakowie. W następnym etapie broni Mokotowa. Pluton dostaje rozkaz powrotu do centrum miasta. Kępiński, ranny w rękę i w nogę, przeprowadza swój oddział kanałami, razem z dołączającymi licznymi cywilami. Przeprawa trwa dwanaście godzin — bez żadnych strat w ludziach. Koniec powstania zastaje go w szpitalu, z którego ucieka. Po czym razem z kolegami wyskakuje z pociągu, by dotrzeć do rodziny w Młochowie. Tam kontynuuje akcję konspiracyjną. Kiedy wreszcie udało mu się nielegalnie uciec za granicę, dołączył do polskich oddziałów wojskowych w Meppen.

To krótkie wspomnienie może nie bardzo odbiega od wielu innych o podobnej treści. Jeśli tak, to musi to być potwierdzeniem historii tej części współczesnej Polski, którą trzeba powtarzać tam, gdzie znikają pokolenia, na których doświadczeniach opieramy naszą narodową przyszłość. Tomasz Kępiński i grono młodzieży polskiej wszystkich roczników dopiero zaczynali życie. To, co się stało w rok po ich maturach, w rok po ich podchorążówkach czy po pierwszym roku ich studiów, zmieniło ich życie. Ale nade wszystko zmieniło życie tych, co przyszli po nich — naznaczyli nowe rozmiary polskiej tożsamości.

29.11.2003

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA — BIBLIOTEKARKA

Londyn 1943. Spotkania z osobami znanymi z lat wcześniejszych w warunkach zupełnie innych, w obcym kraju w czasie wojny to przeżycie nowe. Tak właśnie było, kiedy wkrótce po wylądowaniu w Anglii z Egiptu w zimie 1942 roku szukałem przyjaciół i znajomych w Londynie. Po Rosji i Środkowym Wschodzie znalazłem się tu w lotnictwie. Pierwsze wspomnienie, bardzo wczesne, bo z połowy lat trzydziestych, wiąże się z Warszawą. Pani Maria była już w Bibliotece Narodowej, której dyrektorem był Stefan Demby (1862–1939), nestor polskich bibliotekarzy i wielokrotny prezes Związku Bibliotekarzy Polskich. Do Biblioteki Narodowej przeszła, o ile dobrze pamiętam, z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Tam kolegowała z Jadwigą Dąbrowską, bibliotekarką naukową i bliską współpracownicą mego ojca Jana Muszkowskiego, wówczas dyrektora Biblioteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Obie panie, Jadwiga i Maria, szczególnie zainteresowane bibliografią, współpracowały z nim i przyczyniły się walnie do jego pracy nad kontynuacją kompletu „Bibliografii Polskiej XX wieku". Pani Maria, już w Bibliotece Narodowej, pomagała w tej pracy aż do wojny. Poznałem ją więc u nas w domu, w gmachu Biblioteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich, przy ulicy Okólnik 9 w Warszawie, jeszcze za lat szkolnych. Wspomnienie następne to uroczyste otwarcie Biblioteki i Muzeum Krasińskich w Warszawie przez prezydenta Ignacego Mościckiego w roku 1930 przy udziale członków rządu, przedstawicieli Uniwersytetu Warszawskiego i wielu bibliotekarzy i historyków. I jeszcze jedno przedwojenne to Międzynarodowy Kongres Bibliotekarzy w Warszawie w roku bodaj 1935, zakończony uroczystą audiencją u prezydenta Mościckiego na Zamku. Byłem wówczas w szkole, ale pamiętam tę okazję, kiedy poznałem wielu współpracowników i przyjaciół ojca. Pani Maria brała oczywiście udział we wszystkich tych uroczystościach na cześć książki i czytelnictwa. W roku 1936 z inicjatywy mego ojca powstała w Warszawie Rada Książki. Była to organizacja, która miała skupiać wszystkie dziedziny „życia książki" w najszerszym tego słowa znaczeniu. Powstała ona na wzór podobnej instytucji brytyjskiej, istniejącej do dziś dnia w Londynie. Prezesem Rady został minister August Zaleski, a dyrektorem był mój ojciec. Pani Maria brała czynny udział w akcjach tej instytucji od jej początków aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Jej specjalnym polem działania było rozpowszechnienie czytelnictwa i jak najszerszej sieci bibliotek w całym kraju. Kontynuowała też prace bibliograficzne w Bibliotece Narodowej. Straciliśmy ze sobą kontakt

pomiędzy wrześniem 1939 a jesienią 1943. Stąd następne wspomnienie już z wojennej Anglii.

W roku 1943 pani Maria sprawowała już funkcję kierowniczki Biblioteki Polskiej w Londynie, która powstała z połączenia księgozbioru Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych z księgozbiorem Funduszu Kultury Narodowej. W tymże roku 1943 Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych przemianowany został na Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, któremu podlegała Biblioteka Polska w Londynie. Zostało mi to już we krwi, że w każdym nowym miejscu zaczynam od bibliotek. I tak w Londynie, po krótkiej pierwszej wizycie w Dowództwie Lotnictwa w Sztabie, który się mieścił w Hotelu Rubens na Buckingham Palace Road, idąc tą właśnie ulicą w kierunku zachodnim, znalazłem bez trudu Bibliotekę Polską w gmachu pod nazwą Buckingham Palace Mansions. Tam wśród stosów książek (biblioteka była w trakcie łączenia księgozbiorów) i natężenia pracy znalazłem panią Marię. Nie wiedziałem nic o jej losach wojennych i ona nic nie wiedziała o moich. Wiedziała natomiast o mojej rodzinie i o Bibliotece Krasińskich. Wiedziała o losach wszystkich polskich bibliotek. Wiedziała też o tym, że „Bibliografia Polska" mego ojca została całkowicie spalona we wrześniu 1939 roku w gmachu Pałacu Staszica na Krakowskim Przedmieściu, gdzie została złożona jako w miejscu rzekomo bezpiecznym. Mieściło się tam Towarzystwo Naukowe Warszawskie i Polska Akademia Umiejętności.

Tego dnia nie było wiele czasu na gruntowne rozmowy. Umówiliśmy się na obiad na dzień następny. Byłem jej gościem w ówczesnej tymczasowej siedzibie Ogniska Polskiego na Belgrave Square. Mam przed sobą wzruszający dokument tego spotkania z panią Marią. Jest to wręczona mi przez autorkę książeczka pt. *Losy bibliotek polskich* (Londyn: Wydawnictwo Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych, 1942, seria „Nauka i Wychowanie", zeszyt 3), wojenno-emigracyjnie skromna w objętości, ale bogata w treść. Na książeczce odnotowałem datę, kiedy mi ją podarowała — 19 października 1943. W tej właśnie książeczce po raz pierwszy od wybuchu wojny jest dokładny — straszliwy — opis tego, co się stało z bibliotekami polskimi w czasie ataku niemieckiego. Jest w niej też przedwojenna fotografia Biblioteki i Muzeum Krasińskich, w której budynkach spędziłem większość moich młodych lat. Pani Maria pisała: „Gmach biblioteki ostrzeliwany był dnia 24 i 25 września 1939 roku z armat i ugodzony kilkunastoma pociskami. Trafiony był ponadto trzema bombami lotniczymi...". Będąc w Warszawie pierwszy raz po wojnie w roku 1991, zastałem ruinę. Ta wątła książeczka tak brzemienna w treść jest oczkiem w głowie

mojej podręcznej biblioteczki w Londynie. Dzięki poświeceniu i pracy pani Marii oraz jej różnych współpracowników w czasach raczej ponurych dla sprawy polskiej odżyła polska książka na obczyźnie. Było zaskakujące, jak szybko powstało w Anglii i w Szkocji życie polskie — w wojsku i wśród ludności cywilnej. Jak szybko odrodziła się oświata polska. To wszystko stało się nie dzięki politykom, ale właśnie dzięki pracownikom słowa drukowanego — książki polskiej i czasopism polskich. Powołaniem pani Marii było szerzenie czytelnictwa. Jej wielkim osiągnięciem było udostępnienie materiałów do czytania wszystkim, którzy tego pragnęli. A głód książki w tym czasie był ogromny.

Pracownicy książki są nimi z powołania. Atrakcja pracy leży w książce. Ona dostarcza wiedzy, radości, czasem smutku, ale nigdy czegoś pustego. Treść każdej książki to treść co najmniej jednego życia. A czasem wielu. Bibliotekarz ma przed sobą nieograniczone pole widzenia i nieograniczone horyzonty myśli. A ponieważ człowiek ma niestety ograniczone siły, bibliotekarze muszą tak się specjalizować, by móc skrócić pole doraźnego działania bez uszczerbku horyzontu. Dlatego są bibliotekarze naukowi, bibliotekarze oświatowi, bibliotekarze historyczni i bibliotekarze-specjaliści w różnych dziedzinach życia. Myśląc o dorobku pani Marii, wykluczam kategoryzację jej działalności. Objęła ona chyba wszystkie jej warianty. Może „bibliotekarka literacka" byłby najbliżej prawdy. Nie tylko dlatego że była jednocześnie pisarką, ale dlatego że jej talenty literackie były zorganizowane w sposób biblioteczny. To znaczy jej dorobek był dokładny, precyzyjny, dobrze opracowany, źródłowy, srodze korygowany, sprawdzany wielokrotnymi korektami, udokumentowany i wreszcie należycie skatalogowany. Tak jak powinna być każda biblioteka. Co do korekt, pani Maria miała swoje słabostki, wynikające z jej zwięzłych zasad sprawdzania cytat. Lubiła sprawdzać cytaty w co najmniej dwóch źródłach. Jeżeli każda cytata była nieco odmienna, szukała trzeciego źródła. Jeśli wszystkie źródła wyschły, dawała cytaty w dwóch wersjach. Mieczysław Grydzewski, nasz wspólny redaktor londyńskich „Wiadomości", lubił kruszyć kopie o cytaty. Sprawdzał wszystkich autorów w Bibliotece Polskiej lub w Bibliotece British Museum (gdzie zresztą dzięki pani Marii szeroki był wachlarz polskich wydawnictw na obczyźnie, nie mówiąc o wielu polonikach przedwojennych) i nic nie sprawiało mu większej przyjemności, niż znaleźć błąd w cytacie. To były pani Marii ulubione pojedynki korespondencyjne z redaktorem. Jeśli chodzi o literaturę polską, jej cytaty — nawet z pamięci — były zwykle bez-

błędne. W wielu tych i innych przypadkach jej pamięć była wystarczającym autorytetem.

Kiedy pani Maria wyjechała na stałe do Portugalii, skończyło się moich parę wizyt u niej na Wembley w Londynie. Kontakt nie urwał się zupełnie, ale rzadka korespondencja nie sprzyja ciągłości rozmowy. Wiem, że czytała wszystko, co się ukazało w prasie polskiej w Warszawie, w Krzemieńcu, w Londynie, w Paryżu czy w Nowym Jorku. Dochodziły do mnie czasem jej komentarze. Zawsze trafiała w sedno sprawy i żaden ważny szczegół nie uszedł jej uwadze. To też wielka bibliotekarska sztuka.

2.04.2004

JESZCZE O GOMBROWICZU

O Witoldzie Gombrowiczu (1904–1969) napisano już wiele nie tylko artykułów, ale chyba tomów. Od 1939 roku mieszkał w Argentynie, a od roku 1964 we Francji. Był satyrykiem, dla którego groteska była często kluczem do zrozumienia rzeczywistości. Demaskował mity i sztywne, mało znaczące konwencje współczesnej kultury. Był dziwakiem w życiu codziennym. Dziwactwo jego miało to do siebie, że nie było nigdy wiadomo naprawdę, czy to poza, czy charakter. Miał wielu wielbicieli swego talentu i równie wielu ostrych krytyków. Nie obawiał się „szargania świętości" i był antytezą tak modnej dzisiaj, choć istniejącej od zawsze, *political correctness*. Czy trzeba przypominać jego główne powieści: *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyk*, *Pornografię*, *Kosmos* i dramaty: *Ślub*, *Operetkę*, różne opowiadania i refleksyjno-polemiczny *Dziennik*, drukowany w paryskiej „Kulturze"?

Może trzeba przypomnieć, że w latach międzywojennych i po wojnie (już poza Polską) był autorem znanym, tłumaczonym i zawsze kontrowersyjnym. Przypomnienie jego postaci — ekscentryka, egocentryka i przekornego artysty — jest dziś na miejscu z tytułu książki zmarłej dwa miesiące temu w Warszawie pisarki i tłumaczki Zofii Szymanowskiej-Chądzyńskiej. Rok temu wydała ona w Polsce książkę pt. *Nie wszystko o moim życiu*. Nie jest to ani dziennik, ani pamiętnik, ale zbiór fascynujących fragmentów jej życia. Miała życie bujne i różnorakie. Posiadała cztery obywatelstwa, żyła na trzech kontynentach, poślubiła kolejno trzech mężów, lądując wreszcie w ukochanej Warszawie, gdzie skończyła wędrówkę życiową. W trakcie swoich dwunastu lat pobytu w Argentynie przyjaźniła się z Gombrowiczem.

Niektóre szczegóły z jej opowiadań o nim — anegdotyczne, ale charakterystyczne — warto tu odnotować.

Autorka już w Buenos Aires wiedziała, że znajduje się tam Gombrowicz. Nie miała zamiaru go szukać, bo choć się znali z Warszawy, nie czuła do niego specjalnej sympatii. Miała przeczucie, że i tak się jakoś znajdzie. Zadzwonił: „Tu Gombrowicz. Witoldo Gombrowicz. Znaliśmy się kiedyś w Warszawie". Nastąpiło zaproszenie. „Zapraszał mnie i mego męża na poznanie «całego wytwornego Buenos Aires» i na zjedzenie lokalnych «specyjałów»". Jako całe wytworne Buenos Aires wystąpił kundelek gospodyni Witolda, do którego pisarz zwracał się cały czas bardzo śmiesznym „psim" głosem. Co do „specyjałów", gości poczęstował sokiem pomarańczowym i słonymi „patyczkami". Gombrowicz był zabawny i gościnny do przesady, kłaniał się co chwila w pas, widocznie zadowolony z wizyty i z siebie. Raz tylko tego wieczora pokazał się w gniewie. Kiedy goście odwrócili głowy, by zobaczyć jego obrazy, zauważyli, że wszystkie były powieszone do góry nogami. W gniewie wykrzyknął: „Dlaczego chcecie zniszczyć moje piękne abstrakcje? Wszyscyście jednakowi, znajomość sztuki — zero". Jeden z jego obrazów przypadł jednak do gustu gościom. Jak pisze autorka, Witold w przystępie dobroci i w imię polskiej gościnności zdjął go na chwilę ze ściany. „No macie, napatrzcie się. Tylko nic mi nie tłumaczcie". Jego początkowy gniew nie trwał długo, bo oboje, autorka i jej mąż, zostali zaproszeni w niedługim czasie na urodziny pisarza. Uprzedził z radością, że z tego powodu urządził to wspaniale „party" i że przyjmuje — a jakże! — prezenty. „Polski pisarz bez wiecznego pióra! To jest dopiero prawdziwa atrakcja. Tylko żeby było w dobrym gatunku. Co najmniej za dziesięć dolarów". Urodzinowi goście wręczyli mu dziesięć dolarów i rozstali się wśród obustronnych czułości i w najlepszych stosunkach. Rewizyta nastąpiła dużo szybciej niż autorka mogła się spodziewać. Dokładnie dwa dni później rozległ się dzwonek w jej mieszkaniu. Za drzwiami stał Witoldo z obrazem pod pachą. „Ja dotrzymuję moich zobowiązań. Daliście mi zadatek, obraz jest wasz. Następna rata...". Autorka zakwestionowała: „Jaki zadatek? Jakie raty? To miało być pióro na urodziny". Nastąpiła ciężka awantura. Gombrowicz w głębokiej irytacji wymyślał o wykorzystywaniu biedaków przez bogaczy, a na końcu orzekł, że żadnych urodzin nie obchodzi już od trzynastego roku życia. Nakazał brać obraz i dziękować. „Taka okazja już się wam nie zdarzy. Zabierać obraz i dziękować!" — zawyrokował. W rezultacie autorka i jej mąż, niespodziewanie obdarowani i w gruncie rzeczy zadowoleni z podarunku, powiesili obraz na pustej ścianie. Było to ich jedyne „umeblowanie". Ze wzru-

szeniem wspomina Szymanowska-Chądzyńska, jak oboje z mężem ustalili wtedy, że przy każdej sprzeczce, gdy jedno — podnosząc palec w górę — zawoła „O" (od obraz), oboje natychmiast zamilkną. I tak już zostało za sprawą awantury z Witoldem.

Inny fragment o Gombrowiczu jest raczej zabawny przez to, że pokazuje, jak traktował on swoje pisarstwo i siebie samego. Poza czy charakter? Dowcip czy na serio? W roku 1958 brat autorki, historyk Antoni Szymanowski, był ambasadorem polskim w Sztokholmie. Któregoś wieczora zatelefonował do autorki Gombrowicz. Zaczął rozmowę: „Mam dla ciebie nowinę, Zofio!". Okazało się, że z „zupełnie pewnych źródeł" dowiedział się, że „Nobel dla mnie tuż-tuż". Proponował Zofii, aby zatelefonowała do „braciszka do Sztokholmu" i dodał: „Donieś mu o tym i rzuć, niby niechcący, żeby w czasie któregoś z częstych zapewne «tete-tetów» (może partia tenisa?) z tym ich Gustawem wspomniał coś o naszej zażyłości, o mojej sławie, o mojej przeogromnej wielkości". Propozycja nie była bezinteresowna. „Znasz mnie, niczego nie żądam za darmo. Jeżeli Antek mi to szybko załatwi, chętnie mu coś z tego Nobelka odpalę. No powiedzmy, dwadzieścia procent. Co ty na to?..." Telefon z Buenos Aires do Sztokholmu był za drogi...

Ostatni zapis dotyczący Gombrowicza w książce Szymanowskiej-Chądzyńskiej jest wzruszający. Oto jeden z ich wspólnych przyjaciół argentyńskich w rozmowie z autorką w Paryżu w roku 1996, a więc w dwadzieścia siedem lat po śmierci Gombrowicza, mówił, jakie to dziwne, że wszyscy ludzie, którzy mieli do czynienia z Gombrowiczem, zostali tym jakby naznaczeni i nigdy nie rozpierzchli się do końca. Autorka miała w Buenos Aires pralnię. Pisze o łańcuchu ciągłych wspomnień o pisarzu i o tym, jak argentyńscy przyjaciele wpadali do niej, do pralni z każdym świeżym numerem „Kultury" pod pachą, by im przetłumaczyła co „Vitoldo" napisał o nich w ostatnim odcinku swego *Dziennika*. W końcu wszyscy byli zgodni co do jednego — dla każdego z przyjaciół Gombrowicz był inny. I każdy z nich widział go inaczej. Był człowiekiem kolorowym, o wielu twarzach.

15.05.2004

WITOLD LEITGEBER

Dziś 93-letni nestor polskich publicystów, naoczny świadek niemal całej historii XX wieku, baczny obserwator polskiej sceny politycznej we wszystkich jej odmianach, a przy tym dokładny historyk —

oto osobistość dzisiejszego wieczoru. Witamy w nim też sumiennego dziennikarza, dokumentatora czasu wojny i emigracji w Wielkiej Brytanii, który podzieli się z nami swymi licznymi doświadczeniami z pracy w prasie i w radiu, a także w bliskiej mu dziedzinie polsko-francuskiej współpracy kulturalnej.

W roku 1972 Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas wydał w Londynie chyba najważniejszą jego pozycję literacką *W kwaterze prasowej. Dziennik z lat wojny 1939–1945: od Coëtquidan do „Rubensa"*. Tak pisze Leitgeber we wstępie „Od Autora": „Pragnę specjalnie podkreślić, że jest to dziennik, a nie wspomnienia pisane z perspektywy czasu. Nie ma w nim dystansu do wydarzeń, znajomości późniejszych ocen i naświetleń. Obraz, jaki przedstawiam jest widziany na gorąco, w momencie powstawania. [...] Wartość mego świadectwa polega — jak sądzę — na odzwierciedleniu myśli, nastrojów i atmosfery, jakie panowały w danym okresie". Credo prawdziwego dziennikarza z krwi i kości, rozumiejącego wielką odpowiedzialność swego zawodu. Zacytować na pewno warto mało znany fragment dziennika pod datą 19 lipca 1943 (tuż po katastrofie gibraltarskiej, w której zginął gen. Władysław Sikorski), kiedy Leitgeber pisze o współpracujących z nim kolegach dziennikarzach: „Jest już po uroczystościach pogrzebowych. Prasowo byłem bardzo zajęty. Pisałem sprawozdanie z Prezydium Rady Ministrów dla «Polski Walczącej» i prasy w Ameryce. Inne etapy pogrzebu podzieliliśmy następująco: Ryszard Kiersnowski — posuwanie się konduktu ulicami Londynu, [Aleksander] Janta[-Połczyński] i Marian Walentynowicz — w Katedrze. Uroczystości w Plymouth opisał [Stanisław] Strumph-Wojtkiewicz, a w Newark był Tymon Terlecki". Ważna jest tu dla autora koleżeńska kurtuazja. Jest on dziś jedynym wśród nas członkiem tej grupy. A wszystkich sześciu to najwybitniejsi polscy korespondenci drugiej wojny światowej. Wspomnieć tu należy tytuły innych jego prac drukowanych: *Wysiłek zbrojny Polski* (1944), *It speaks for itself* (1946), wybór sądów brytyjskich przywódców wojennych o Polskich Siłach Zbrojnych *1946. Rok decyzji w sprawie rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w świetle dokumentów brytyjskich* (Paryż 1977), *Kwatera prasowa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie* (1994), *Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia w świetle dokumentów brytyjskich* (1995) i wiele innych artykułów prasowych.

Witold Leitgeber urodził się w Poznaniu 21 czerwca 1911 roku, studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim. Brał aktywny udział w życiu politycznym, specjalnie w Organizacji Młodzieży Wszechpolskiej. Po uzyskaniu dyplomu magistra praw i odbyciu rocznej służby

wojskowej zaczyna zawodową pracę dziennikarską w „Kurierze Poznańskim", którego redaktorem naczelnym był wówczas Marian Seyda, późniejszy wybitny członek rządu polskiego w czasie wojny w Wielkiej Brytanii. Na rok przed wojną wyjeżdża do Francji, gdzie jest korespondentem paryskim „Kuriera Poznańskiego". 3 września 1939 roku wstępuje do Armii Polskiej we Francji. Odtąd dzieli losy Polaków we Francji, a potem w Wielkiej Brytanii. Jest jednym z założycieli i stałym współpracownikiem tygodnika Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie „Polska Walcząca" — od jego powstania do likwidacji. W roku 1940, po ewakuacji z Belle Île u brzegów Francji do Plymouth, służy w 1. Brygadzie Strzelców w Szkocji jako dowódca plutonu. W roku 1941 zostaje przeniesiony w stopniu kapitana do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie jako kierownik Referatu Prasowego, później znanego jako Kwatera Prasowa Sił Zbrojnych. W 1948 roku, po demobilizacji z PKPR, rozpoczyna znowu działalność dziennikarską w Polskiej Sekcji BBC. Jednocześnie współpracuje aktywnie z prasą polską na emigracji. We wrześniu 1976 roku przechodzi oficjalnie na emeryturę, choć kontynuuje pracę dorywczą w BBC przez następne dziesięć lat.

Wspomniałem na wstępie o bliskiej Leitgeberowi kulturze francuskiej i jej łączności z Polską. Oto był on siostrzeńcem znakomitego malarza i grafika Konstantego Brandla, mieszkającego przez większość swego życia w Paryżu. Jako jego spadkobierca ofiarował całość jego dzieła do muzeów w Polsce, między innymi do Muzeum Narodowego w Poznaniu. W listopadzie 1977 roku doprowadził do wielkiej wystawy ofiarowanych przez niego dzieł Brandla w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jest też współautorem katalogu naukowego dzieła Brandla. W roku 1979 warszawskie Muzeum Narodowe wydało jego książkę pt. *Rozmowy z Brandlem*. Resztę posiadanych dzieł Brandla i pamiątek z nim związanych przekazał do Archiwum Emigracji w Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Drugim punktem styczności z Francją była przyjaźń Leitgebera z rodziną wybitnego francuskiego pisarza katolickiego Paula Claudela. Jest członkiem Societé Paul Claudel i pisywał do biuletynu tej organizacji. Zamieścił też dwa obszerne studia o poecie w londyńskich „Wiadomościach" w roku 1968 w związku z setną rocznicą urodzin Claudela. Były one oparte na nigdzie nie ogłoszonych materiałach z Claudelowskiego archiwum w Paryżu. W książce zbiorowej pod redakcją Richarda Griffithsa *Claudel: a Reappraisal* (Londyn 1968) ogłosił artykuł pt. *Poland in the life and works of Claudel* (s. 138–154).

Witold Leitgeber jest członkiem wielu organizacji i od wielu lat członkiem Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Ale przede wszystkim jest wybitnym członkiem elity intelektualnej Polonii na Zachodzie.

18.09.2004

ŚWIĄTECZNA CISZA

13 listopada rano w moim domu, w Londynie zadzwonił telefon. Odezwał się młody przyjaciel lotnik, zbieracz relikwii polskiego lotnictwa i jego wierny kronikarz, Piotr Matwiej z Łodzi. „Wczoraj umarł Skalski" — powiedział. „W szpitalu, dokąd odwiozłem go z hospicjum. Tam już nie mogli mu pomóc" — dodał. Tu zachwiał mu się głos. Zaczął mówić głośno, jakby chciał, żeby go dobrze słyszano. „Opuszczony przez rodzinę, zupełnie sam. Wydawał się spokojny. Zapanowała nad nim cisza. Był przecież człowiekiem cichym. Raczej samotnym. Pilot myśliwski jest samotny w walce. Sam ze sobą. Generał-pilot Stanisław Skalski, bohater walk powietrznych nad Polską w 1939 roku i w bitwie o Wielką Brytanię, którego nazwisko było przez wiele lat na ustach wszystkich Polaków, zmarł w dniach, kiedy świat zachodni obchodził święto poległych na polu chwały. Nie chodzi tu o jego dobrze znany życiorys ani o jego równie dobrze znane zasługi. Chodzi o tę ciszę, gdzie słowa są mało ważne. Chodzi raczej o tego samotnego pilota w każdym z nas. Od startu do lądowania. Od urodzenia do śmierci. Często bez zegarów. Czasem bez sterów. Niekiedy w niebezpieczeństwie. Innymi razy w uniesieniu szafiru nieba i złotego słońca. Zawsze sam na sam ze sobą. Zawsze odpowiedzialny przed wszechświatem. Zawsze wobec wszechświata słaby. Zawsze przeżywający wszystkie ludzkie emocje — ze strachem włącznie. Na czym więc polegało bohaterstwo tego pilota? Na tym, że nie myślał o sobie. A to jest w każdej sytuacji najtrudniejsze. Nie myślał o lądowaniu ani o śmierci. Myślał tylko pilotowaniu i o celu nadrzędnym tego pilotowania. Tylko to zajmowało jego umysł, wiązało w nim wszystkie uczucia. Wtedy opanowywała go piękna cisza.

Koniec grudnia zawsze tę ciszę pilota w każdym z nas przypomina. W tym to właśnie czasie sztuka pilotażu, pośród nawału słów i wszechstronnego hałasu, nabiera codziennej realności. Czego nam trzeba, to świątecznej ciszy. Świątecznego milczenia z samym sobą. To jak najlepszy trunek. W tym milczeniu, które w ciszy tylko jest możliwe, człowiek-pilot zaczyna lepiej rozumieć siebie. Coraz mniej po-

trzebne mu są zegary, bo te przypominały mu o nim samym i o niebezpieczeństwie. W ciszy milczenia sam staje się swoim zegarem. Ten wskazuje mu drogę, w której zapomina o sobie. Tu leży sekret świątecznej ciszy, kiedy stery przejmuje wiara".

4/5.12.2004

ZOFIA PUSŁOWSKA
(1908–2004)

Z szeregów emigracji polskiej w Zjednoczonym Królestwie ubywają coraz częściej ci, którzy we wczesnych latach czterdziestych i w czasie drugiej wojny światowej pieczętowali swoją tu bytnością żywą polską rację stanu. 16 grudnia zmarła w Londynie po ciężkiej chorobie Zofia (Zula dla rodziny i przyjaciół) hr. Pusłowska, wdowa po ś.p. Ksawerym (1905–1998), który jako oficer kawalerii był we wczesnych latach czterdziestych w Londynie adiutantem prezydenta RP Władysława Raczkiewicza.

Zofia Pusłowska urodziła się w majątku rodzinnym Bursztyn koło Lwowa 31 sierpnia 1908 roku jako jedna z trzech córek księcia Stanisława Jana Jabłonowskiego i Jadwigi Gozdawa-Mineyko oraz wnuczka Zygmunta Mineyki, powstańca 1863 roku, zesłanego za udział w powstaniu na Sybir. Była ostatnią z książęcej linii Jabłonowskich, wywodzącej się od księcia Jana Stanisława Jabłonowskiego (1634–1702), hetmana wielkiego koronnego króla Jana III Sobieskiego, który w roku 1683, w czasie oblężenia Wiednia przez Turków pogromił armię Kara Mustafy. Wdzięczny Jan III Sobieski obdarzył go dziedzicznym tytułem księcia Świętego Imperium Rzymskiego.

Osiemnastowieczny pałac w Bursztynie przypadł rodzinie Jabłonowskich jako wiano otrzymane przez babkę Eleonorę, z domu Skarbek, żonę Karola Jabłonowskiego. Druga babka, Jadwiga, z domu Stecka, wywodziła się z Romanowa — majątku, który dostała od Romanowów jej matka Jadwiga Stecka, z domu Ilińska, żona Henryka Jabłonowskiego. Dziad Zygmunt Mineyko po zesłaniu osiadł w Paryżu. Dowiedziawszy się o wybuchu wojny grecko-tureckiej, zgłosił się na ochotnika do greckiej armii i brał czynny udział w tej wojnie. Odznaczony za bohaterstwo zmarł i został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu ateńskim. Tak powstał związek rodziny Jabłonowskich z Grecją. Córka Zygmunta, Zofia, poślubiła Jerzego Papandreu, późniejszego trzykrotnego premiera Grecji. Ich syn Andrzej też był

później dwukrotnie premierem swego kraju. Zofia i jej siostry kształciły się w klasztorze ss. Niepokalanek w Jazłowcu. We wczesnej młodości, na skutek skomplikowanej operacji, Zofia nie mogła mieć potomstwa. Wyszła za mąż za Ksawerego Pusłowskiego w roku 1930. Młoda para zamieszkała w majątku rodowym męża — Albertynie koło Słonima. We wrześniu 1939 roku wyjechała z Albertyna i przez Litwę i Szwecję dostała się do Francji. Mąż Ksawery, choć innymi drogami, znalazł się też we Francji niedługo potem. Razem uciekli z Francji, kiedy Niemcy zajęli nie okupowaną jej część. Dotarli do Anglii. W Londynie dzielili losy polskiego środowiska. Dopóki trwała wojna, dopóty Ksawery miał różne wojskowe przydziały. Zofia — wsparta przez Lady Rumbold, wdowę po Sir Horacym Rumboldzie, dawnym przyjacielu rodziny z czasów jego pracy w ambasadzie brytyjskiej w Polsce w czasie ataku bolszewickiego w roku 1920 — przyjęła pracę jako *dame de compagnie* znajomej Angielki, jednocześnie zajmując się uprawą warzyw i kwiatów. Po wojnie państwo Pusłowscy znaleźli małe mieszkanie w Chelsea. Ksawery, dzięki znajomości wielu języków, pracował jako turystyczny kurier w agencjach podróży. Ich skromne mieszkanie stało się wkrótce centrum spotkań wielu Polaków, rodziny i przyjaciół, rozszerzonych w ciągu pięćdziesięciu lat przez nowe pokolenia. Zofia, zawsze pełna życia i zainteresowań, oczytana i świetnie zorientowana w sytuacji politycznej swego kraju i świata, była ogniwem łączącym pokolenia. Jej doskonała pamięć obejmowała niemal cały XX wiek. Specjalnie lubiła mówić o takich szczegółach życia w Polsce, których nie da się znaleźć w sztywnych opisach historycznych. Jej pamięć miała olbrzymi wachlarz, w którym anegdoty polityczne i towarzyskie grały tę samą rolę. Kreacją państwa Pusłowskich był w ostatnich latach bliski krąg serdecznych przyjaciół i interesujące rozmowy o sprawach bieżących, politycznych, jak również literackich i artystycznych. Ceniła ich wizyty tak samo, jak członkowie tego kręgu cenili czas spędzony z nimi. Po śmierci męża krąg przyjaciół istniał dalej. Jej głębokie zainteresowanie losem Polaków w kraju i na obczyźnie miało wyraz w jej zrozumieniu potrzeb i udzielaniu pomocy tak jak mogła. Polskie środowisko w Londynie poczuje pustkę po jej odejściu. Miała wszystkie cechy tradycyjnej polskiej pani — dużą siłę charakteru, silne przekonania i głębokie zrozumienie życia i ludzi. Jej głęboka wiara była źródłem i radości, i pokrzepienia. Ale nade wszystko jedynej prawdy. Miała w sobie poczucie solidarności z tymi, których pokrzywdzono. Wielkim jej zmartwieniem było to, że — mimo ciągłych nadziei i spodziewanych zmian — rząd polski do dziś dnia nie załatwił nadrzędnej sprawy reprywatyzacji własności

prywatnych. Żyła jednak do końca wierząc, że Polacy w Polsce i za granicą doczekają się sprawiedliwości. Jej prochy spoczną obok prochów jej męża, w mauzoleum rodziny Pusłowskich na cmentarzu du Peré Lachaise w Paryżu.

Dodać tu można niektóre historycznie interesujące koligacje rodziny Jabłonowskich. Pokazują, jak rozgałęzione były ich stosunki niemal w całej Europie. Syn hetmana Stanisława Jana poślubił Jeanne-Marie de Bèthune, siostrzenicę żony Jana III Sobieskiego, Marii Kazimiery. Jej wnuczka, Maria Klementyna Sobieska, w roku 1719 wyszła za mąż za Stuarta, zwanego *The Old Pretender*. W roku 1748 córka Stanisława Jana i Jeanne-Marie Jabłonowskich, Marie Louise, została kochanką Bonnie Prince Charlie. W roku 1676 Anna Jabłonowska, córka hetmana, wyszła za mąż za Rafała Leszczyńskiego. Ich syn, Stanisław, został królem elekcyjnym Polski, a ich wnuczka, Maria, w 1725 roku poślubiła króla Francji Ludwika XV. Oto fragmenty kalejdoskopu jednej wielkiej polskiej rodziny.

22.01.2005

KLASA JANA NOWAKA-JEZIORAŃSKIEGO

Pamięć o nim długo trwać będzie wśród wielu pokoleń Polaków. Będą o nim pisać poeci, pisarze, historycy i zwykli żołnierze-powstańcy warszawscy oraz ich dzieci i wnuki. Idąc śladami jego życia od gimnazjalnej młodości, wyczytać w nich można niemal bezbłędnie drogę, jaka była jego udziałem. Jego postawa jako dumnego harcerza 3. Drużyny Harcerskiej im. Księcia Józefa Poniatowskiego i dobrego ucznia słynnego warszawskiego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza wskazywała na dominującą w nim obowiązkowość. Potwierdziło się to stokrotnie. Dzieliło nas, od matury do matury, sześć lat. Jako Zdzisław Jeziorański zdał maturę w roku 1932. W roku 1997 szkoła uroczyście obchodziła 100-lecie swego istnienia. Nowak-Jeziorański przysłał ze Stanów Zjednoczonych wzruszający list, który odczytał jego najbliższy rówieśnik szkolny, kolega i przyjaciel, pisarz Ryszard Matuszewski. List wzruszał swoją prostotą i przywiązaniem do tradycji szkoły, która go wychowała i która dziś, w tak zmienionych warunkach, wraca myślą do dalszej i bliższej przeszłości. W księdze pamiątkowej wydanej z tej okazji tak pisał „Kurier z Warszawy": „W piętnaście lat po wojnie jeden z moich szkolnych kolegów przysłał mi z kraju niewielką broszurkę pt. «Młody las» (tytuł wydawanego przez uczniów pisma

szkolnego niemal od początku istnienia szkoły). Zawierała ona materiał ze Zjazdu Wychowanków Gimnazjum Adama Mickiewicza w Warszawie. Po raz pierwszy od 1939 roku zjechali się przedstawiciele roczników przeważnie urodzonych i wychowanych w okresie dwudziestolecia niepodległości. Wzajemna wymiana wieści o losach kolegów zmieniła ten zjazd w jeden wielki apel poległych. Na końcu książeczki umieszczono ich długą listę. Odnajdywałem znajome nazwiska towarzyszy szczenięcych lat, którzy rozbiegli się na wszystkie strony ze starego budynku na Sewerynówku po ostatnim, pożegnalnym maturalnym przyjęciu. Teraz stawały mi przed oczyma ich młode twarze, gdy odczytywałem nazwiska, przy których jak w litanii powtarzały się te same słowa: rozstrzelany na Pawiaku, powieszony w Oświęcimiu, zginął w powstaniu na Woli, zginął w ataku na PASTĘ, zginął w bitwie pod Kutnem, zginął na morzu, zginął śmiercią lotnika, zamordowany przez gestapo, zginął w Katyniu, rozstrzelany, powieszony, ścięty, zakatowany, zmarł w obozie, zmarł z ran, zaginął... Po raz pierwszy uświadomiłem sobie w pełni, jak straszliwie wytrzebione zostały przez wojnę moje roczniki...".

Klasa maturalna Nowaka-Jeziorańskiego (humanistyczna „A") w roku 1932 liczyła trzydziestu dwóch chłopców. Wśród nich była grupka pięciu najbliższych przyjaciół — „Nasza piątka", jak ją nazwał Ryszard Matuszewski w swoich wspomnieniach *Żółte dzioby — zielona lata* (Warszawa 1990). A więc Jan Kwiatkowski, syn Eugeniusza, budowniczego Gdyni — zginął w kampanii wrześniowej w Rembertowie (smutno, bo od polskiej zabłąkanej kuli), Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Lenczowski, politolog, profesor uniwersytetu w Berkeley, Jan Kott, pisarz, krytyk literacki, światowej sławy szekspirolog, profesor uniwersytetu w Warszawie i w Stony Brook oraz Ryszard Matuszewski, pisarz, literaturoznawca. Trzech z tych chłopców zrobiło wielkie światowe kariery, niekoniecznie w dziedzinie oryginalnie planowanej. Nowak-Jeziorański wykazywał ambicje w kierunku pracy naukowej w resorcie ekonomii. Losy jego prowadziły w innym kierunku. W rezultacie swych niezwykłych działań i bohaterskich wyczynów okupacyjnych stał się politykiem obdarzonym talentem i działaczem społecznym o wielkim wyczuciu doraźnych potrzeb ojczyzny. Jerzy Lenczowski jako student prawa szykował się do kariery dyplomatycznej. Z wielkim zapałem przerzucił się na specjalizację w dziedzinie spraw Bliskiego Wschodu i jego zasobów ropy naftowej. Stał się doradcą amerykańskich koncernów naftowych.

W swoim *magnum opus Kurier z Warszawy* Nowak-Jeziorański charakterystycznie zwięźle pisze o poecie Janie Lechoniu, starszym

koledze, maturzyście z roku 1916, przytaczając z wydania „Młodego lasu" z roku 1959 opis matury Lechonia: „Już w szkole zapowiadał się Lechoń jako wybitny poeta, za to uczniem był kiepskim, a z matematyką i fizyką po prostu nie umiał sobie dać rady. Na dodatek od najmłodszych lat zdradzał skłonności neurasteniczne. W czasie pisemnej matury z matematyki wpadł w panikę — siedział nad otwartym zeszytem, nie wiedząc, od czego zacząć. Ocalił go późniejszy dyrektor szkoły, Jan Juraszyński, który nachylając się nad najlepszym uczniem matematyki w klasie (Stanisław Szteyner), szepnął mu do ucha: «daj Serafinowiczowi (rodzinne nazwisko Lechonia) ściągaczkę!». Taka to była szkoła!". W tej samej książce znaleźć można zabawną dykteryjkę o poloniście, Romualdzie Mańkowskim, który uczył przyjaciół literatury polskiej w czwartej klasie. Jeziorański pisze, jak w wypracowaniu, w którym jakiś dowcipny uczeń ściągał żywcem opis wiosny z Reymonta, Mańkowski nie rozpoznał pióra laureata Nobla, zarzucając uczniowi „sztuczny i napuszony styl".

Dzień 4 września 1989 roku był okazją dość specjalnego spotkania byłych maturzystów rocznika 1932. Dzięki szybkim zmianom politycznym w Polsce Jan Nowak-Jeziorański, opatrzony w złych czasach epitetem „wrogiego agenta", przyjechał po raz pierwszy po wojnie do kraju. Spotkanie zorganizował u siebie w domu Ryszard Matuszewski, jeden z „naszej piątki". Zaprosił na nie wszystkich, których mógł dosięgnąć. Potem w obecnym budynku szkoły odbyło się przyjęcie oficjalne. Autor *Kuriera z Warszawy* odpowiadał na liczne pytania uczniów i byłych kolegów. Obdarzył też szkołę kolekcją dziewiętnastu sztychów Brauna i Hogenberga z początków XVII wieku, przedstawiających dawne miasta Polski. Czym naprawdę obdarzył obecnych na obu spotkaniach — podobnie jak wszystkich tych, którzy znają jego dzieło — to nieugiętą postawą dla dobra swego kraju.

4.02.2005

ZBIGNIEW BOLESŁAW JASZCZOŁT (1921–2005)

W czwartek, 17 marca 2005 roku zmarł po krótkiej chorobie w szpitalu w Londynie Zbigniew Bolesław (Zbyszek) Jaszczołt, z zawodu inżynier architekt, z zamiłowania historyk, gawędziarz, kronikarz i zbieracz archiwów. Urodził się w Warszawie 17 maja 1921 roku jako syn późniejszego wojewody wileńskiego i znanego członka

obozu marszałka Józefa Piłsudskiego, Władysława Jaszczołta i Wandy z Malinowskich. Kształcił się w Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie i w Gimnazjum oo. Jezuitów w Wilnie. Był więc od wczesnych lat związany z Wilnem i z Wileńszczyzną. Maturę uzyskał w Wilnie w 1940 roku. Miał szczęśliwą młodość w rodzinnym domu. Dzielił ją z młodszą siostrą Hanką. Było to życie pełne nowych i interesujących wrażeń. Dzięki oficjalnej pozycji ojca przez dom państwa Jaszczołtów przewinęło się duże grono wybitnych osób międzywojennej Polski. Byli wśród nich politycy, wojskowi i duchowni, ale też pisarze i artyści o głośnych nazwiskach. Lubił o nich często wspominać, świetnie pamiętając ich sylwetki i nawet zasłyszane niemal ukradkiem celniejsze powiedzonka. Pomagało mu w tym przez całe życie duże poczucie humoru.

Wybuch wojny zastał go w ochotniczych szeregach kampanii wrześniowej 1939 roku. Kiedy Wilno i Wileńszczyzna przechodziły kolejne okupacje — sowiecką, litewską i znowu sowiecką, Zbyszek stał się konspiracyjnym żołnierzem Związku Walki Zbrojnej. Był to przełom lat 1940/1941. W maju 1941 roku został aresztowany przez NKWD i wywieziony na Syberię. Zwolniony na skutek umowy Sikorski–Majski, dołączył do Armii Polskiej w Związku Sowieckim pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Znalazł się w 6. Dywizji Piechoty („Dzieci Lwowskich"), której dowódcą był gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Dywizja stała w glinianych lepiankach, w znanej dobrze wszystkim żołnierzom Armii Andersa miejscowości Tockoje. Przy mrozach dochodzących do czterdziestu stopni żołnierzom przyświecała jedna tylko myśl — byli w polskim wojsku. Zbyszek z innymi dzielił losy tej armii, z którą przeszedł pierw na południe Rosji, przez Morze Kaspijskie do Persji, a potem cały szlak przez Środkowy Wschód do Włoch. Szkołę podchorążych, którą rozpoczął jeszcze w Rosji, ukończył już w Iraku. Jako podporucznik 2. Korpusu brał udział w całej kampanii włoskiej. Nie wyłączając bitwy pod Monte Cassino. Został odznaczony Krzyżem Walecznych (dwukrotnie), Złotym Krzyżem Zasługi i medalami zagranicznymi.

Po wojnie spędził rok studiując medycynę w Bejrucie. Do Wielkiej Brytanii przyjechał jako członek korpusu akademickiego w roku 1947. Wstąpił do Polish University College w Londynie jako student architektury, gdzie otrzymał dyplom inżyniera-architekta. Został też członkiem Royal Institute of British Architects. Przez wiele lat pracował w firmie Bechtel, po czym w firmie Wimpy, kończąc karierę zawodową jako konsultant. Szczęśliwe życie rodzinne dzielił przez pięćdziesiąt trzy lata z ukochaną żoną Lidką, w otoczeniu córki Barbary, syna

Jarka i pięciorga wnuków. Zbigniew Jaszczołt lubił ludzi i był lubiany przez ludzi. Miał świetną pamięć historyczną i — przy swoim ogromnym poczuciu humoru — sypał anegdotami z czasów dawniejszych, często wojennych i równie często wydarzeń politycznych. Lubił się przy tym sprzeczać o właściwe argumenty w każdej przyjacielskiej rozmowie czy dyskusji. Był człowiekiem, którego temperament pociągał do pracy społecznej, a więc do skarbu narodowego, do założenia polskiego klubu motorowego, do członkostwa parafii polskiej na Ealingu i do działalności jako powiernika Związku Kresowej Dywizji Piechoty.

Tak się złożyło, że byliśmy kolegami i przyjaciółmi od pierwszego miejsca postoju 6. Dywizji w Tockoje. Pomimo wielu zmian miejsc, reorganizacji pułków i ich numeracji, skończyliśmy razem szkołę podchorążych. Razem też słuchaliśmy słów gen. Tokarzewskiego, kiedy promował nas na podchorążych. Był to specjalnie wzruszający moment. Nie tylko dlatego że ceremonia odbywała się na obcej ziemi, ale dużo bardziej dlatego, że był to pierwszy rzeczywisty krok do spodziewanej lada dzień akcji. Pamiętam, że stało nas paru świeżo upieczonych podchorążych pod iracką palmą, kiedy Jaszczołt, zwykle tak ożywiony i pełen słownej inwencji, milczał. Zapytany, czy się dobrze czuje, przyciszonym głosem powiedział: „Czy my jeszcze na tę wojnę zdążymy?...". Rok był 1942. Cześć jego pamięci!

30.03.2005

NA ŚMIERĆ PAPIEŻA JANA PAWŁA II

Nie trzeba wielkich słów. Wystarczą te zwykłe, codzienne. Te, które są zrozumiałe dla wszystkich i takie, które każdy może sam wymówić. Wielkim darem testamentu Jana Pawła II jest prostota, bo według jego wskazań droga jest prosta jak strzała. Nie należy więc szukać zaułków, skrótów, dróg wygodniejszych, mniej nużących, zakrętów ani dróg bocznych. Droga jest jedna i jej się trzeba trzymać. Jeśli jest ciężko nią iść, prosić o pomoc, ale nigdy się z niej nie cofać. Iść po grudach, nawet w zniechęceniu, czasem w przekornym stanie ducha, niekiedy tracąc cierpliwość, szukając innego wyjścia, plącząc się we własnych intencjach, ale nie spuszczając oczu z drogi. Nie tracić jej przed sobą nawet w chwilach zupełnego zwątpienia. Droga nie zniknie. Rzecz w tym, żeby jej nie zgubić, nie zostawić na uboczu, nie zapomnieć o niej w chwilach częstego zamętu, wobec nigdy nie kończącej

się walki o życie, gdzie nie ma pomiędzy ludźmi różnic, a różnią się tylko warunki, w których żyją. Podstawy ich życia są takie same. Mają te same potrzeby i te same dążenia. Idą jednak do nich różnymi drogami, nie zawsze znajdując tę jedną właściwą.

Nie jest łatwo drogi tej trzymać się bezkrytycznie. Taka jest natura ludzka. Przewidział to testament nauki Jana Pawła, odróżniając apatię od rzeczowego zrozumienia konieczności ciągłego ludzkiego dialogu. Apatię w sprawach, gdzie czyn jest konieczny, uważał za groźny negatyw. Nakazywał nie lękać się trudności w tym dialogu, nie bać się — krótko mówiąc — walki, tam gdzie ostrze zrozumiałych przez wszystkich słów miało większą wymowę niż nakaz, jednostronny wymiar sprawiedliwości, przemoc polityczna, materialna czy moralna, nawet psychiczna, której celem było zniekształcenie istotnych wartości człowieka i jego swobody wyboru własnej drogi. Człowiek jest stworzony wolnym. Ale nie znaczy to, że nie ma obowiązków, i to wysoce wiążących, w stosunku do współmieszkańców tego globu. Jeśli wejdzie na drogę wskazaną przez Chrystusa, spotykać ich będzie w czasie całej swojej ziemskiej wędrówki. Kiedy tylko spotka pierwszego, ma przed sobą pierwszy i może decydujący egzamin życiowy. Zda go wtedy, kiedy spotkawszy następnego brata ziemskiego, powita go tak samo jak pierwszego. Z tego powstanie łańcuch do nieskończoności.

Jan Paweł II otworzył światu oczy na to, że pomimo różnic i nawet mimo szerokiej skali charakterów, ambicji, kolorów skóry, dążeń, języków, uczuć, namiętności i wyznań nasze człowiecze cechy są podobne i w istocie takie same. Wytyczył więc jasno drogę na mapie życia. Ale zrobił też więcej — otworzywszy oczy światu na tę drogę, rozjaśnił ją, pokazał wyraźną bramę do niej. Tak otwarte wrota w niej nigdy nie były. Dał przykład odwagi w walce o prawdę, tam gdzie zacierały się linie demarkacyjne w geografii różnorodnych dróg. Postawił drogowskaz, którego lekceważyć nie można. Był człowiekiem o wymiarze światowym. Świat przyjął go w tej roli. Cząstką tego świata i testamentu jest Polska, z której w świat wyszedł. Wielki to cel dla świata i dla Polski, by śladem jego drogi iść już nie w nieznane, ale do tego, co ludzkości swoim całym życiem pokazał.

8.04.2005

NOTATKI NA MARGINESIE

PROMOCJA W SŁUŻBIE DYPLOMACJI

Nasz wierny codzienny „Dziennik" ma talent wyławiania z prasy krajowej informacji, które celują często w samo sedno istoty przedmiotu. Oto w poniedziałek, 8 lipca ukazała się na pierwszej stronie notatka pt. *Dyplomacja w służbie promocji*. Na pierwszy rzut oka, czyż to nie językowe nieporozumienie? A może chochlik reportera? Czy tytuł nie odwrócony? Dyplomacja chyba nie jest od promocji. Dyplomacja reprezentuje rząd oficjalnie. Promocja pokazuje, wystawia, podaje tematy, uprzystępnia, informuje o kulturze. O teatrze, o sztuce, o muzyce, o literaturze, o przemyśle, o sporcie, o krajobrazie, o historii. Tym służy dyplomacji. Dyplomacja jest polityczna. Promocja powinna być apolityczna. Dyplomacja to polityka, handel i finanse. Promocja jest tym, co w kraju „tyka", tak jak w zegarku. Tak chyba rozumował prezydent Aleksander Kwaśniewski, kiedy wezwał polskich ambasadorów na odprawę w sprawie promowania Polski za granicą. Skarcił ich za to, że instytucje polskie powołane do promocji są — „delikatnie mówiąc" — słabe. Jak się okazuje, czasem nawet prezydenci mają rację. Choć nie wiem, skąd pochodzą jego informacje, jest jasne, że rozumie, w czym rzecz. Mówił, że „koniecznością jest powołanie jakiejś wyspecjalizowanej instytucji, która zajmowałaby się profesjonalną promocją Polski zarówno w sferze gospodarki, jak i turystyki oraz kultury". Nie ma to jak dobra pamięć! Po pierwsze, w co ważniejszych ambasadach RP byli radcy czy attaché od spraw kultury. Nie byli to zawodowi dyplomaci. Byli to często pisarze, czasem poeci (Jan Lechoń w Paryżu) albo dziennikarze (Aleksander Janta-Połczyński, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Henryk Łubieński, i inni). W latach trzydziestych istniała też niemalże wzorowa instytucja tego typu. Nazywała się Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych, w skrócie TOSSPO. Na jej czele stał prof. Mieczysław Treter (1883–1943), historyk sztuki, dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki w Warszawie, teatrolog i organizator wystaw sztuki polskiej za granicą. Jego następcą był dr Aleksander Guttry (1887–1955), pisarz, świetny znawca i tłumacz literatury niemieckiej — notabene ojciec jego, też Aleksander (1813–1891), był m.in. komisarzem rządu narodowego na Francję i Anglię w roku 1863. Na ulicy Jasnej w Warszawie było biuro, a w nim dwie wielojęzyczne, doświadczone i wykształcone sekretarki. Fundusze pochodziły z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Instytucja była całkowicie niezależna. Promocja sztuki i kultury pol-

skiej była jej głównym celem. Wciągając poważne organizacje przemysłowe i finansowe w kapitalizację zagranicznych wystaw, spektakli teatralnych i pokazów, automatycznie też je promowała. Cóż więcej trzeba? Treter i Guttry, mając za sobą wiele lat pracy i doświadczeń w kontaktach z Zachodem Europy i Stanami Zjednoczonymi, dobrze wiedzieli, że ani Fryderyk Szopen, ani Maria Skłodowska-Curie, ani Karol Szymanowski, ani Władysław Reymont, ani Józef Conrad, ani Henryk Sienkiewicz, ani Artur Rubinstein, ani Jan Kiepura nie potrzebują promocji. Oni sami są promocją. Promocji potrzebowali współcześni młodzi architekci, malarze, rzeźbiarze, muzycy, tancerze, dyrygenci. I promocji potrzebowała polska historia, specjalnie współczesna, polski krajobraz, polskie miasta, polskie góry i polskie morze. Tu nic się nie zmieniło. To samo potrzebne jest dzisiaj. Chodzi o współczesną duszę tego kraju, nie o slogany.

Nie moja rzecz, czy prezydent skarcił polskich ambasadorów słusznie czy niesłusznie. Ale dobrze, że im powiedział, że jego zdaniem promocja jest słabiutka. Nie winiłbym ambasadorów, bo nie od tego są. Oni są od tej drugiej części odprawy prezydenta — od celów polskiej polityki zagranicznej. Wracając więc do promocji kulturalnej, czy przypadkiem nie zapomniano w Warszawie, że promocja kulturalna to nie sprawa urzędnicza? Przysyłanie z kraju nawet najbardziej utalentowanych i wykształconych urzędników to niewłaściwa droga. Ile lat potrzeba na to, żeby tak dobrze poznać zagraniczny kraj, aby wiedzieć, co jego mieszkańców naprawdę zainteresuje w Polsce, co im pokazywać, czym ich zachęcić? Nie mówiąc już o języku! Czy pamiętają w Warszawie, że w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Belgii, w Holandii, we Włoszech, w Hiszpanii, w Skandynawii, chyba już wszędzie w Europie (nie mówiąc nawet o Stanach) żyją co najmniej dwa pokolenia młodych czy względnie młodych Polaków z obcymi wprawdzie paszportami, którzy swoje kraje osiedlenia znają lepiej niż wszyscy — nawet niż ci specjalnie wybrani urzędnicy od kultury i sztuki oraz każdej innej promocji?

Prezydent postawił kropkę na „i", mówiąc że „środki na promocję są rozproszone i często kończy się to wstydem i nieporozumieniami". Był więc na właściwej drodze. Środki czy ich brak to nie zawsze odpowiedź na wstyd i nieporozumienie, ale oczywiście lepiej, jeśli nie są rozproszone. Na początek niech koncentracja na jednym, tym najistotniejszym przedmiocie promocji zadziała odżywczo na koncentrację potrzebnego kapitału — w ludziach i w złocie.

17.07.2002

BRYTYJCZYK O KATYNIU

Katyń był, jest i będzie dla nas zawsze tematem bolesnym. Warto przypomnieć, że w najczarniejszych latach stalinizmu znalazł się wybitny pisarz angielski, który w poczuciu historycznej sprawiedliwości dzielił z nami katyński ból. Był nim Louis FitzGibbon, który zmarł w Brighton 31 stycznia 2003 roku. Jego kampania sprawiedliwości, by zmusić Rosjan do przyznania się do winy katyńskiej, zaowocowała książką *Katyn* (London 1971). Dzięki autorowi i jego książce słowo „Katyń" połączyło w sobie symbolicznie nie tylko cztery tysiące pięciuset Polaków zmasakrowanych w białoruskim lesie o tej nazwie, ale też dziesięć tysięcy oficerów polskich uwięzionych i zamordowanych w obozach w Starobielsku i Ostaszkowie. Kampania FitzGibbona miała podwójny cel — osiągnięcie sowieckiego potwierdzenia, że to oni, a nie Niemcy, wymordowali polskich oficerów oraz ustalenie właściwego miejsca na pomnik ofiar Katynia w Londynie. To ostatnie zostało osiągnięte w roku 1976. Cel pierwszy i najważniejszy nie został osiągnięty aż do wczesnych lat dziewięćdziesiątych, kiedy wreszcie władze rosyjskie przyznały się do winy.

Louis Theobald Dillon FitzGibbon urodził się w Londynie w 1925 roku. W jego życiorysie nie ma żadnych związków rodzinnych z Polską. Jest w nim jednak ważny kontakt innego rodzaju. Jako oficer brytyjskiej marynarki wojennej, służący w łodziach podwodnych od roku 1942 do 1954, przez dwa lata (1950–1952) przydzielony był do specjalnej szkoły obcych języków, gdzie szkolił się w języku polskim. Jak się okazuje, uzyskał wysoki stopień znajomości naszego języka. To nie tylko pomogło mu w poszukiwaniach materiałów do książki o Katyniu, ale też musiało pogłębić jego pasje odkrycia prawdy. Jego książka o Katyniu odbiła się w roku 1971 szerokim echem w publicystyce brytyjskiej i stanowiła poważnie przekonywujący materiał o sowieckiej winie. Echo jej brzmiało tym bardziej dobitnie, że w ówczesnej atmosferze było wielu autorów, publicystów i polityków bliskich teorii rozpowszechnianej przez propagandę sowiecką, że zbrodnię popełnili Niemcy, kiedy ich armie weszły w granice sowieckie na Białoruś w roku 1941.

W tym samym roku 1971 FitzGibbon był promotorem Katyń Memorial Fund (Funduszu Pamięci Katynia) z celem wykonania i postawienia pomnika pamięci ofiar Katynia. Przez sześć lat był sekretarzem generalnym Funduszu. W pracę Funduszu byli oczywiście włączeni przedstawiciele społeczności polskiej zarówno na Wyspach Brytyjskich, jak i w Stanach Zjednoczonych, m.in. Prezydent Edward Ra-

czyński. FitzGibbon uporczywie trzymał się argumentów prawdy historycznej o Katyniu. W roku 1972 wydał następną książkę pt. *The Katyn cover-up* (Zatuszowany Katyń), a w roku 1975 *Unpitied and unknown: Katyn — Bologoye — Dergachi* (Nieodżałowani i nieznani), wreszcie też w roku 1975 *Katyn: a triumph of evil* (Katyń: tryumf zła). Ostateczne przyznanie się Rosjan do popełnionej przez ich sowieckich poprzedników zbrodni nie nastąpiło aż do upadku Związku Sowieckiego. W międzyczasie kampania FitzGibbona i komitetu w sprawie pomnika katyńskiego zakończyła się odsłonięciem we wrześniu 1976 roku w londyńskim Gunnnersbury Park obelisku noszącego napis „Katyń 1940".

Louis FitzGibbon był typowym przykładem Anglika głęboko wierzącego w sprawiedliwość i w konieczność naprawiania krzywd ludzkich. Życie swoje po wojnie poświęcił dwóm kampaniom o sprawiedliwość. Pierwsza to wspomniana sprawa Katynia. Druga to kampania na rzecz uchodźców w Somalii. W jednym ze wspomnień o nim, napisanym przez jego przyjaciela i towarzysza walk z łodzi podwodnych na Atlantyku, jest zdanie: „Louis FitzGibbon uważał, że Brytyjczycy mają specjalny obowiązek opieki nad tymi, w obronie których wypowiedzieli Niemcom wojnę". Sprawa Katynia była pochodną tego, co wojna rozpętała. O tyle tragiczniejszą, że zrodzoną ze zbrodniczego fałszerstwa prawdy. Dla nas, Polaków żyjących w Wielkiej Brytanii, był niezachwianym przyjacielem i protektorem.

22.02.2003

MINIMUM REQUIREMENT

Wiele manipulacyjnych oszustw w imię *appeasementu* oraz wbrew kodeksowi honoru i uczciwości popełniono w czasie drugiej wojny światowej. Tak samo było w czasie pierwszej wojny światowej i wszystkich innych poprzednich wojen — lokalnych i światowych. I to samo będzie na pewno miało miejsce w czasie każdej następnej. Taka jest polityka wojny. Oszustwa popełniali i politycy, i ich rządy. Nie popełniali ich na ogół generałowie w polu — operujący innym kodeksem musieli wykonywać nakazy swoich politycznych przełożonych. Oszustwa popełnione w czasie wojny mogą mieć swoje uzasadnienie. Ale podtrzymywanie tajemnicy ich popełnienia przez następne sześć lat pokoju wymaga co najmniej wytrwałości, nawet wtedy, kiedy błędy rządzących poprzedników są na ogół łatwe do wytłumaczenia

i niezbyt politycznie kosztowne. Jakże łatwo jest zrzucić winę na tych, których już nie ma albo na historyczne przedawnienie. Im dłuższe jest milczenie, tym bardziej potęguje ono wątpliwość w intencje. Zarówno oryginalne, jak i historyczne. Ci, których niespodziewane milczenie i trwająca tajemnica dotyczy, mają długą i cierpliwą pamięć. Dobrze się stało, że rząd brytyjski zadość uczynił przyjaznym stosunkom polsko-brytyjskim, a przede wszystkim społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii, publikując dokument Foreign Office pt. *Katyń. British reactions to the Katyń Massacre 1943–2003*. Przyznając oficjalnie, choć niewiele było co do tego wątpliwości, że przez ponad sześćdziesiąt lat nasi alianci dobrze wiedzieli, kto wymordował polskich oficerów w Katyniu — że nie Niemcy, których o to oskarżali Rosjanie, ale sami Rosjanie dla dobra swojej własnej sprawy. Na pewno dobrze się stało, że publikacja się ukazała. Za niecały rok Polska i Wielka Brytania będą kolegować, ramie w ramię, w Unii Europejskiej. Już nie tylko jako alianci w NATO, ale jako partnerzy. Rachunek sumienia jest więc na miejscu. Potrzebny był ten gest. Należy się on pośmiertnie ofiarom Katynia i pozostałym członkom ich rodzin. Ale po to, żeby okazał się w przyszłości więcej niż tylko gestem, przyjmijmy go w tym wypadku jako *minimum requirement*.

Rosja. Katyń. Tockoje. 16. pułk. 6. Dywizja „Dzieci Lwowskich". Rok 1941. Zima. Józef Czapski — malarz, pisarz, filozof, żołnierz pierwszej i drugiej wojny, znawca Rosji, który przypadkowi przeniesienia do innego obozu zawdzięczał, że nie zginął w Katyniu — stał na mrozie przed namiotem, do którego przychodzili ludzie z posiołków, obozów, więzień i spisywał listę, skąd przyszli. To był początek śladów listy katyńskiej. Pamiętam jego czerwonosine od mrozu ręce. Pamiętam, jak ślinił rosyjski ołówek, który pisał liliowym atramentem. Cytuję z przedmowy jego wspomnień *Na nieludzkiej ziemi* (Paryż 1949): „Pisząc o moim ostatnim roku pobytu w Związku Sowieckim (1941–1942), o moich poszukiwaniach tysięcy zaginionych kolegów, powracam myślą do dawnych moich wędrówek po Rosji w początkach reżimu sowieckiego: wtedy poszukiwałem także zaginionych. To nawarstwienie przeżyć najróżniejszych i odległych od siebie lat może czytelnika nużyć, nie umiałem jednak i nie chciałem kaleczyć dla sztywnej chronologii faktów, które mi się organicznie powiązały i zrosły".

O to właśnie chodzi. Nie wolno kaleczyć dla jakichkolwiek powodów — w myśl pragmatyzmu czy słabej wygody — żadnych organicznie powiązanych ze sobą faktów historycznych. Nie należy korzystać z kurtyny upływającego czasu ani z pokrywki ginących pokoleń. Pamięć ludzka zawsze dogoni, nawet przez pokolenia. To ścisła arytme-

tyka sprawiedliwości. To już nie tylko waga pomiędzy tym, co dobre a tym, co złe, ale prosta linia, która nie może ulegać różnym interpretacjom. Prawda jest jedna.

25.04.2003

GIBRALTAR 1943–2003

Po sześćdziesięciu latach jesteśmy w stadium, w którym historia mówi do nas językiem teraźniejszości. W tym języku możemy podsumować wszystkie wzloty i upadki, które miały miejsce w ciągu tych sześćdziesięciu lat. Los nie szczędził Polski w czasie drugiej wojny światowej ani w latach późniejszych, aż do wyzwolenia w roku 1989/1990. Dla tych z nas, którzy pamiętają lipcową noc wydarzeń gibraltarskich i następny dzień po nich — w Londynie, w obozach armii polskiej w Anglii i w Szkocji, na polskich lotniskach, na statkach polskiej marynarki wojennej i w polskich biurach rządowych — wydarzenia te zwiastowały możliwość jeszcze jednej porażki, jeszcze jednego upadku. Dziś wiemy, że Polska wyszła z tej porażki zwycięsko i że nie było mowy o upadku. Ale wiemy też, że nawet po sześćdziesięciu latach żaden głos w żadnym języku nie dał nam rzetelnej odpowiedzi na pytanie o przyczyny gibraltarskiej katastrofy. Historia jest nam ciągle winna tych parę słów prawdy. Nie wystarczą spekulacje, wspomnienia „naocznych świadków", raporty wywiadów w różnych językach, wypowiedzi „czynników oficjalnych", dziennikarskie raporty, domysły czy nawet dochodzenia komisji historycznych pozbawionych właściwych dokumentów, czekających na bezsprzeczne dowody. Znany nam język teraźniejszości sugeruje, że bezsprzeczne dowody, jeśli takie kiedykolwiek były, są dziś nie do odszukania, skoro ich autorzy dawno już pewnie zniknęli z tego świata. Czy mamy więc czekać następne sześćdziesiąt lat? Czy może drugie tyle? I czy w ogóle możemy się prawdy spodziewać?

Tak zanotował wydarzenia gibraltarskie Edward Raczyński w swoich wspomnieniach (*W sojuszniczym Londynie 1939–1945*): „Ta śmierć dramatyczna w przełomowej chwili wojny, kiedy najważniejsze i najbardziej odpowiedzialne decyzje miały zapaść przy naszym współudziale i kiedy, jak się zdaje, dochodzi do skutku od dawna zapowiedziane spotkanie Stalina z Rooseveltem i Edenem (w miejsce Churchilla), jest dziwnym dopustem Opatrzności. Tak dziwnym i tak dla nas groźnym, że powszechnie pomiędzy Polakami powstało podej-

rzenie, czy Opatrzności nie wyręczyła zbrodnicza wroga ręka". Ani Raczyński, ani nikt wówczas nie mógł wiedzieć, do jakiego stopnia to spotkanie Stalina z Rooseveltem zaciąży na losach Polski. Być może jedynym wtedy człowiekiem, którego mogło gnębić głębokie podejrzenie o zły wynik tego spotkania był Generał Sikorski.

Mówią nam historycy, patrzący na świat z perspektywy mijającego czasu, że wielkie wydarzenia historyczne, czyli takie, które obfitują w poważne konsekwencje dla narodów i pojedynczych społeczeństw, mają zwykle dobre i złe skutki. Katastrofa w Gibraltarze musi być uważana za wyjątek od tej reguły. Z tego wydarzenia skutki były dla Polski — z krótkiej perspektywy — tylko złe. Z wszystkich punktów widzenia, ale specjalnie, dlatego że tylko czasowo, ale poważnie, osłabiły naszą polityczną rację stanu. Tym samym, gdyby nie duże wysiłki — mimo sporów naszego aparatu państwowego, a nade wszystko polskich sił zbrojnych — nasza racja stanu nie powróciłaby do sił tak szybko, jak się to stało. Jak pisał dalej Raczyński: „Nagły brak premiera i naczelnego wodza wywołał gwałtowny kryzys w polskim rządzie i wojsku". Był to, rzecz prosta, kryzys merytoryczny, ale także głęboki kryzys moralny. Z kryzysem fizycznym można sobie łatwiej dać radę niż z kryzysem moralnym, bo ten podważa wiarę w siebie. I dlatego tym bardziej historia jest nam winna prawdę o katastrofie w Gibraltarze w nocy z 4 na 5 lipca 1943 roku.

4.07.2003

GUŁAG: HISTORIA SOWIECKICH OBOZÓW KARNYCH

Magnus opus Anny Applebaum *Gułag. A history of the Soviet camps* (Londyn 2003) może śmiało nosić podtytuł „Przyczynek do zrozumienia człowieczeństwa". Jest to, nawet do dziś dnia, przyczynek mało znany w szerokim świecie, tak jak właściwie mało znana jest prawdziwa natura „rosyjskiego człowieka". Do czego może być zdolny człowiek, którego pcha przeciwko drugiemu człowiekowi niepowstrzymana wola przewagi? Olbrzymia to praca, do której autorka użyła maximum dostępnych źródeł historycznych, literackich, politycznych i wspomnieniowych. Wśród tych źródeł znajdują się też opracowania polskich autorów. Książka opisuje początki systemu obozów karnych od roku 1917 — kiedy były to obozy koncentracyjne dla przeciwników rewolucji bolszewickiej — aż do roku 1939 i wreszcie okres 1940–1986, kiedy powstał może największy na świecie więzien-

ny kompleks przemysłowy, w którym więźniowie stanowili darmową siłę roboczą. Dla Polaków i więźniów innych bliskich nam narodowości jest to otwarta księga ran, poświęceń, elementów indywidualnego bohaterstwa i wreszcie przedwczesnej śmierci wielu. Dla Zachodu jest to otwarta księga o tej części historii ludzkości, której nie powinno się zapomnieć. O tym, jak delikatna, subtelna i krucha jest moralność pomiędzy ludźmi. To tak jak przestroga na przyszłości i, co ważniejsze, na teraźniejszość.

Człowiek zaaresztowany w sowieckiej Rosji, który zniknął w gułagu, wkraczał w nieznany mu świat innych praw, innego języka i nie przewidzianego strasznego przeznaczenia. System sowiecki i jego kierownicy uważali tych więźniów — sądownie skazanych albo nie — za ekonomicznie przydatnych, ale właściwie poza człowieczeństwem. Za czasów Stalina w 476 gułagach (głównych administracjach obozów) pracowało osiemnaście milionów ludzi. W latach pięćdziesiątych było tam największe nasilenie ilości więźniów. Miliony wymarły z głodu. Kompleksy najlepiej znanych obozów, takich jak Kołyma czy Magadan, gdzie panowała praca niewolnicza i śmierć, były mniej więcej takiej samej wielkości jak cała Francja. Anna Applebaum posługuje się cytatami z opisów i wspomnień byłych więźniów, ich przeżyciami opowiadanymi ustnie w wywiadach i korespondencji, a także źródłami prywatnymi nie wydanymi drukiem. Wśród nich znajduje się między innymi znany nam symbol, jakim był spalony do końca knot świecy oznaczający śmierć. Aby wyżyć w tych warunkach, więźniowie chwytali się różnych sposobów. Autorka opisuje, jak późniejszy świetny pisarz Sołżenicyn przybrał postawę donosiciela. Był na pewno człowiekiem zdającym sobie dobrze sprawę z tego, jak mógł używać tego sposobu nie narażając innych. Bardzo mądrze autorka nie wydaje o tym sądów. Istniały w obozach zalążki głębokich przyjaźni, głównie wśród kobiet-więźniarek, jak też przypadki cofania chorych i głodnych wśród więźniów. Bestialstwo było sprawą kierowników i ich podwładnych. Śmierć ciągle wisiała nad głową wszystkich. Nad kierownictwem, które też składało się z więźniów i nad tymi, którzy rządzili.

Olbrzymia, rozgałęziona machina sowieckich obozów pracy i całego karnego systemu politycznego mieściła się przez te wszystkie lata (1917–1986) w kraju zamkniętym przed oczami obcych. I dlatego świat wiedział o niej mało. Do niedawna to, co się ukazywało w druku, było lekturą wybranych. Dlatego jeśli książka Anny Applebaum, którą uważać należy za poważną pracę źródłową, historyczną i polityczną, wejdzie do *curriculum* szkół i wyższych uczelni oraz znajdzie się na

półkach bibliotek i *reference libraries*, spełni swoje główne zadanie ścisłej i koniecznej informacji. Trzeba chyba przyjąć jako fakt, że Lenin na początku systemu, który stworzył, miał na myśli wybicie tych, których wsadzał do pierwszych bolszewickich obozów pracy. Chciał wyniszczyć całe jedno pokolenie swoich współobywateli i przeciwników. Co może się wydawać niezrozumiałe to fakt, że przy tak już wówczas rozwiniętej sztuce szpiegowskiej szeroki świat o tym nie wiedział. Może nie chciał wiedzieć? Co do jego następcy, Stalina, interesujące jest, że znany, nieżyjący już pisarz i dziennikarz brytyjski, Malcolm Muggeridge, zaznajomiony jako amator z wywiadem, napisał w roku 1932 książkę pt. *Winter in Moscow* (Zima w Moskwie), w której bez ogródek potępiał system sowiecki i jego zupełny brak poszanowania praw człowieka i obywatela.

Autorka w dużej mierze polegała — oprócz archiwów i dokumentów — na osobistych wspomnieniach. Myślę, że to dobrze, bo te właśnie osobiste wspomnienia nadają książce autentyczność. Cytuje ona pisarzy i nie pisarzy, co ukazuje klimat przeżyć. Ostatni to pewnie dzwonek, bo ci którzy przeżyli gułag mogą być już wkrótce nieosiągalni. Trzeba dodać, że autorka ma bliskie więzy z Polską i z Polakami — jest żoną Radosława Sikorskiego, byłego polskiego wiceministra spraw zagranicznych. Mówi biegle po polsku i dlatego jej różne rozmowy i wywiady z Polakami mają specjalny charakter. Jeśliby zadać pytanie, dlaczego Anna Applebaum zabrała się do tej trudnej i żmudnej pracy, można doszukać się odpowiedzi w jej własnym wprowadzeniu do książki. Myślę, że zafascynowało ją stale aktualne zagadnienie, jak brutalna dyktatura, terror i opresja wynaturzają normalny bieg życia ludzkiego. Ale jednocześnie, jak ten mocniejszy odłam ludzkości nabiera odporności i sił do walki. Przechodząc przez słynny Most Karola w dopiero co zdemokratyzowanej Pradze, zauważyła ulicznych sprzedawców turystycznych rupieci. Specjalnie różnorakich blaszanych i innych emblematów sowieckich wojsk. Żadnych odznak niemieckich. Wydało się jej to dziwne, bo większość kupujących to byli Amerykanie i zachodni turyści. Drobna obserwacja — jak pisze — ale znamienna. Taka drobna obserwacja może czasem wskazać na nastrój tłumu. Tu lekcja nie mogła być jaśniejsza — jeden masowy mord napawa nas przerażeniem, a drugi masowy mord pobudza do żartów. Tak doszła do wniosku, że jak dotąd nie istnieje żadna społeczna, moralna, kulturalna ani polityczna rama wiedzy o jednej z największych i najdłużej trwających zbrodni zadanych ludzkości.

W bibliografii wydanych drukiem książek na ten temat znajdują się nazwiska następujących polskich autorów: Józef Czapski, Karol

Colonna-Czosnowski, Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Kmiecik, Jerzy Krzysztoń, Wiesław Myśliwski, Zbigniew Stypułkowski, Nina Taylor-Terlecka, Aleksander Wat, Aleksander Weissberger, Kazimierz Zarod.

5.07.2003

HISTORYCZNY ZNAK ZAPYTANIA

25 lipca ukazała się w londyńskim „Timesie" znamienna notatka. Oto opublikowano (*released*) po raz pierwszy, bez podania źródła, listę osób podejrzanych o sympatie sowieckie przygotowaną przez świetnego pisarza George Orwella dla rządu brytyjskiego w 1949 roku. Poza znakomitym amerykańskim aktorem filmowym Charlie Chaplinem, którego sympatie były szeroko znane, jest na tej liście trzydzieści osiem znanych brytyjskich nazwisk. Między innymi pisarze John B. Priestley, Arthur Calder-Marshall, znany aktor Michael Redgrave i Norman MacKenzie, polityk, późniejszy członek-założyciel Social Democratic Party. A także mniej znany reporter „Daily Express" Peter Smollett, który okazał się rzeczywistym sowieckim szpiegiem. Ale to nie wszystko. Na liście figuruje polski dziennikarz sprzed wojny i w czasie wojny, Stefan Litauer, długoletni przedstawiciel Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT) w Londynie, korespondent londyńskiej „News Chronicle" w sprawach polskich, członek klubu akredytowanych w Wielkiej Brytanii dziennikarzy zagranicznych. Był on blisko związany z rządem polskim w Londynie jako łącznik rządu, a nade wszystko ambasady RP z prasą brytyjską. Jednocześnie Litauer ściśle współpracował z szarą eminencją stosunków polsko-brytyjskich owych czasów — dr. Józefem Rettingerem. Współpraca ta, choć nie sekretna, ujawniła się już po 17 września 1939 roku, czyli po przekroczeniu granicy polskiej przez wojska sowieckie (dr Rettinger był doradcą rządu polskiego w czasie wojny i brał czynny udział w pracach „Ruchu Europejskiego"). W londyńskim mieszkaniu Stefana Litauera odbywały się zebrania („awentyn" jak wtedy mówiono) osób zbliżonych do koncepcji jakiejś, nigdy bliżej nie sprecyzowanej, formy współdziałania z Sowietami przeciwko Niemcom. Koncepcja ta znana była rządowi polskiemu. Była też oczywiście dobrze znana rządowi brytyjskiemu. Atak niemiecki na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku był Brytyjczykom bardzo na rękę. Ciąg dalszy jest obszernie zapisany na kartach historii Polski.

Lista George'a Orwella nie była sprawą przypadku. Orwell (1903–1950) — autor dobrze znanej polskim czytelnikom antyutopii *Rok 1984* i dosadnej satyry *Folwarku zwierzęcego*, jak też szkiców publicystycznych *I ślepy by dostrzegł* — był na początku swojej kariery pisarskiej blisko związany z radykalnym odłamem socjalistycznej lewicy. Niewiele czasu upłynęło, nim został jej równie radykalnym wrogiem. Jego pisarska i analityczna pasja wzięła na siebie rolę demaskowania wszelkich mechanizmów zniewolenia człowieka w systemie komunistycznym. Co do Stefana Litauera, krążyło o nim wiele plotek. Jego poglądy były znane. Niemal od początku wojny dotyczyły one możliwości współpracy polsko-sowieckiej przeciwko Niemcom. Ale dlaczego były one aż tak znane, że jego nazwisko znalazło się na liście Orwella, którą przygotował on na zasadzie własnych obserwacji i informacji na żądanie rządu brytyjskiego? Nie było tajemnicą, że Litauer brał czynny udział w informowaniu brytyjskiej opinii publicznej i rządu brytyjskiego o stosunkach polsko-sowieckich z przewagą na korzyści polityczne dla Polski wynikające z tych stosunków. Orwell mógł więc uważać Litauera za wtyczkę sowiecką nie tylko w sprawach czysto polskich, ale też polsko-brytyjskich. Historia tych czasów przypomina, że dokładnie na rok przed atakiem niemieckim na Związek Sowiecki, w czerwcu 1940 roku, Litauer — upoważniony rzekomo przez gen. Sikorskiego — przygotował memoriał o możliwości współpracy polsko-sowieckiej na wypadek starcia niemiecko-sowieckiego. Był on wynikiem nie tylko poglądów Litauera, ale także rozmowy jego z londyńskim przedstawicielem sowieckiej agencji prasowej TASS, na pewno agentem sowieckiej administracji politycznej. Memoriał był przeznaczony dla Churchilla. Nigdy do niego nie doszedł, bo kiedy ambasador Edward Raczyński proszony o jego sprawdzenie dostał dokument do rąk, natychmiast wycofał go z dalszego obiegu. Memoriał postulował, że odbudowana po wojnie Polska w żadnej mierze nie będzie działała na szkodę Związku Sowieckiego, że Polska może być skłonna zgodzić się na pewne zmiany terytorialne dotyczące rejonów etnograficznych Białej Rusi i Ukrainy oraz na utworzenie armii polskiej wśród ludności polskiej do walki z Niemcami... Komentarz zbyteczny. Czy ten właśnie memoriał był znany Orwellowi i czy dlatego nazwisko Stefana Litauera znalazło się na jego liście, pozostanie pewnie na zawsze tajemnicą.

1.08.2003

RANGA

Niełatwo jest przyznać się do popełnionego błędu. Jeszcze trudniej przeprosić. W tym wypadku jest to łatwiejsze, bo przyszedł mi z pomocą mój najbliższy i nieodłączny przyjaciel, orędownik, kompan świetny odpychacz błędów — *Wielki słownik języka polskiego*, pochodzący z Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, a więc wysoko w swojej dziedzinie urodzony. Ten oto przyjaciel niejednokrotnie już wybawiał mnie z kłopotów językowych, bo nasz język polski, wbrew niektórym pogłoskom zagranicznym, jest bogaty, rzeczowy, dumny i szlachetny. A nawet, można powiedzieć, wspaniałomyślny. Wybacza błędy tym, którzy się do niego odwołują w potrzebie. Zwłaszcza kiedy błąd popełni nieświadomie ktoś, kto często ucho przykładał do zagranicznych pogłosek. Żeby nie zapomnieć, język polski odznacza się czystością myśli w każdym ujęciu właściwej treści słowa. Innymi słowy, język polski jest precyzyjny. Nie znaczy to, że inne języki są mniej precyzyjne. Nie. Ale każdy język ma swoje własne zrozumienie precyzji słów i tego, co te słowa mówią. Oddając więc cześć językowi polskiemu przez powyższą laurkę, wróćmy do błędu. Przez wiele młodych i dobrze już dorosłych lat żyłem w błogim przeświadczeniu, że słowo „promocja" jest nieodłączne od słowa „egzamin". Tak mówi *Wielki słownik*. Znaczy to, że promocja nie może istnieć bez egzaminu. Najpierw zdaje się egzamin, a potem może nastąpić — choć nie musi, nie ma w tym nic automatycznego — promocja. Tak jak pierw jest egzamin maturalny, a potem promocja, czyli matura. Tak jak w szkole podchorążych po skończonym kursie jest egzamin, a potem promocja na podporucznika. Tak samo w szkole oficerów sztabu pierw jest egzamin po skończonym kursie, a potem promocja na oficera dyplomowanego. Jest w tym jakaś, nie tylko wojskowa, logika. To samo w życiu cywilnym. Pierw jest egzamin, a potem promocja do stopnia magistra, doktora, a nawet potem profesora. I tak dalej we wszystkich dziedzinach życia.

I na tym polega mój wielki błąd. Moje długoletnie przeświadczenie co do logiki systemu, że promocja musi być wynikiem egzaminu, a nie zjawiskiem samym w sobie, zostało podważone. Podejrzewam, że stało się to dzięki zasłyszanym zagranicznym pogłoskom. Te dość niełądnie oskarżyły piękny język polski o dwulicowość. Bo mój błąd, jeśli go błędem nazwać można, przekroczył już (czy nie zawczasu?) granice zjednoczonej Europy i dostał się do polskiej prasy. Że niby promocja może znaczyć też coś innego niż to, co ustalił język polski i jego wielki słownik. Ale zobaczmy, jak się to dzieje w życiu prak-

tycznym. Oto dziś promocja — ta bez egzaminu — wtrąca się i daje świadectwo czy legitymację prawnego, albo raczej umownego, istnienia wszędzie tam, gdzie nie potrzebuje ona nie tylko egzaminu, ale nawet bliższego poznania. Można dziś promować nie przeczytane przez nikogo książki, nie usłyszane przez nikogo utwory muzyczne jak pastę do zębów, psie biszkopty, nie mówiąc o samochodach czy uzdrowiskach urlopowych. Kiedy mówi się o zjednoczonej Europie czy o innych sprawach wielkiej międzynarodowej polityki, pojęcie promocji jest już ściśle związane z każdym kryzysem ekonomicznym i — co znacznie gorzej — z każdym kryzysem dotyczącym życia i śmierci milionów ludzi. Czyli wojny i pokoju. Promujemy wszystko. Dobre czy złe, bliskie czy dalekie. Dla satysfakcji promowania. Bez egzaminu. Bez poznania. Gołosłownie. Czy popełniliśmy błąd? Czy może więcej — nie błąd, ale coś zupełnie innego? Rośnie gwałtowna potrzeba nowego wielkiego międzynarodowego słownika, który zda egzamin. Promocja jego będzie wtedy automatyczna.

15.08.2003

PANORAMA EMIGRACYJNA

Pożyczam ten tytuł zuchwale od Stefanii Kossowskiej z jej tomu *Mieszkam w Londynie* (Londyn 1994). Nie tylko tytuł, ale też dwa wstępne zdania: „Anglicy mają swego «Timesa», a my prawie też. Bo cóż to znaczy «Times»? Po prostu czas odmierzany co dzień, drukowane świadectwo każdego mijającego dnia, obraz zmieniającego się życia". Autorka zmierzała do ilustracji tego, czym był i jest dla nas „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza". Oczywiście — choć w innej proporcji — tym samym, czym był „Times" dla tubylców. Odmierzaliśmy ten czas, odmierzaliśmy siebie samych w tym czasie, który biegł nieubłaganie. Odmierzaliśmy zwycięstwa i porażki, odmierzaliśmy wojnę, gorącą i zimną, dwie okupacje, nowe granice naszego kraju, zmiany pokoleniowe w kraju i na emigracji, no i... rocznice. Lubimy, nawet kochamy rocznice. Te są jak permanentny zegar, którego nakręcać nie trzeba, bo robi to sam za siebie. Mamy zapas rocznic na wiele lat, wynikający z tych właśnie historycznych zmian, jakie od lat przeżywamy. I tych rocznic będzie coraz więcej w miarę rosnącej wagi Polski w świecie.

Ponieważ nikt chyba nie zaprzeczy, że rocznice są dla nas niemal chlebem powszednim, nie będzie od rzeczy wspomnieć, że czyha na

nas na wiosnę 2004 roku następna rocznica. Może nie ta najważniejsza, może nie ta najbardziej uroczysta, ale niemniej rocznica — zegar każdej godziny i każdego dnia, kalendarz przeszłości i teraźniejszości. „Dziennik Polski" powstał w roku 1940 w Paryżu, krótkotrwałej siedzibie rządu polskiego. Był kontynuowany bez przerwy w Londynie aż do dnia dzisiejszego. W roku 1944 połączył się w jedną całość z „Dziennikiem Żołnierza". I odtąd wydzwania nam bezceremonialnie wszystko to, co powinniśmy wiedzieć. Dobre, mniej dobre i złe. Zawsze dotyczące naszego czasu. Krajowego i emigracyjnego. Może ktoś powiedzieć, że rocznica „Dziennika" to raptem sześćdziesiąt cztery lata. Ale za to „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" — okrągłe sześćdziesiąt lat. Powie cynik: „No cóż? Pismo jak pismo, Polska w Unii, nowi Polacy w Europie, «Dziennik» do lamusa! Polacy w Europie to już nie emigracja...".

Rzecz w tym, że „Dziennik" to też już nie tylko emigracja. „Dziennik" to emigracja lat czterdziestych, ta wojenna i lat pięćdziesiątych, ta powojenna, no i ta lat sześćdziesiątych i nawet późniejszych. To pasmo zdarzeń dotyczących zmieniającej się regularnie jak w zegarku, jak w kalendarzu, jak w każdym codziennym piśmie żywej historii narodu. W latach czterdziestych był wolny rząd na alianckiej obczyźnie i byli na niej żołnierze. Gdyby nie było rządu, nie byłoby żołnierzy, gdyby nie było żołnierzy, nie byłoby „Dziennika". Historia szła dalej swoim życiem — czasem bardziej, czasem mniej pomyślnie dla nas. Kiedy skończyła się wojna, przyszły rocznice. Obok rocznic przyszły zmiany terytorialne. A w ślad za nimi przyszły zmiany miejsc zamieszkania Polaków. Przyszły też zmiany pokoleniowe i... językowe. Jeśli Polacy zdążyli przeżyć te wszystkie epokowe zmiany i nie zapomnieć ani na chwilę języka w gębie, to co by było, gdyby nie było „Dziennika"? Wracając do rocznicy w maju 2004 roku, obojętnie, czy liczymy sześćdziesiąt cztery lata samego „Dziennika Polskiego", czy sześćdziesiąt lat „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" — będzie ona znamienna, bo połączy w jedną całość rocznicową czy może raczej kulminacyjną kontynuację pod jednym i tym samym dachem polskiego słowa mówionego i pisanego w Unii Europejskiej.

Kończę tak jak Stefania Kossowska zakończyła swój felieton o polskim „Timesie": „Dziennik rano wpada przez drzwi. Nikt z nas jest sam".

25.08.2003

„DZIECINNICZEK"

Pamiętam bardzo już dawne czasy, kiedy w Ognisku Polskim na Exhibition Road w Londynie mówiono o nim zdrobniale, choć z uczuciem dumy, „Dziecinniczek". Był przecież ukochanym dzieckiem emigracji. Był chudziutki, cieniutki, czterostronicowy, przekorny, czasem zuchwały, niekiedy skarcony, niemal codziennie skrytykowany, ale zawsze rumiany, czasem nawet wesolutki, często wyśmiany, długo pod kuratelą brytyjskiej cenzury podszytej strachem, ale był codziennie koniecznie potrzebny. Bez niego nie było emigracyjnego życia. Nie było polityki, nie było polemiki, nie było krytyki, nie było plotek, nie było atrakcji towarzyskich ani nie było — krótko mówiąc — tej zwykłej komunikacji pomiędzy „górą" emigracji w stolicy i jej mniejszymi pagórkami na prowincji. Z niemal kawaleryjskim zamachem kierował jego wychowaniem i wykształceniem prof. Stanisław Stroński, a po nim wielu innych, niekoniecznie równie wybitnych, ale z coraz innym rozmachem. Rozmach zależał od potrzeby. Od bieżących potrzeb szybko zmieniającej się historii i od potrzeb czy raczej zainteresowań czytelników. Te zmieniały się równie szybko jak historia. Dziś już nie „Dziecinniczek", a cały „Dziennik" — już nie taki chudziutki, trochę mniej rumiany, rzadziej wesolutki, nigdy zuchwały, raczej ugodowy, rzadko wyśmiewany, ale często krytykowany, co przy sześćdziesiątych urodzinach jest chyba osiągnięciem pozytywnym, zważywszy na to, że pismo nie krytykowane zamiera w oczach czytelników. Ale czy tak samo potrzebny? Pytanie na czasie, bo to klucz do rozwiązania zagadki o jego przyszłości.

Czy rzeczywiście zagadka? Czy może tylko debata? Jeżeli zagadka, to trzeba zapytać, czy „Dziennik" i „Tydzień" są potrzebne? Jeśli debata, to chyba znaczy, że przyjęto, że jest teraz potrzebny. Udowodnić to można tylko regularną prenumeratą w każdym domu polskim. O tym, że jest w toku debata, słyszę z różnych stron, nie tylko w Ognisku Polskim. Chodzi podobno już nie tylko o finanse. Chodzi przede wszystkim o maj 2004. Polski Londyn i okolice spodziewają się jeszcze większego napływu rodaków z kraju niż dotąd. A więc ewentualni nowi czytelnicy od maja 2004 tylko pomnożą liczbę. Czyli debata w tej chwili nie ma właściwie ani początku, ani końca. Rzecz w tym, czy „Dziennik" i „Tydzień" będą tym nowym rodakom potrzebne? Same niewiadome. Za wiadomą uznać można konieczność gruntownej metamorfozy obu pism. Mogą być dalej rumiane, dalej żywe, dalej krytykowane, ale już nie emigracyjne. A tylko polskie na Wyspach

Brytyjskich. Podejrzewam, że dla nowych czytelników będą rumiane i wesołe jak te pisma, do których są przyzwyczajeni w kraju.

Jak emigracja długa i szeroka żył z nią „Dziennik" i „Tydzień" za pan brat przez długie lata, chude i trochę tłuściejsze. A to właśnie z tych tłuściejszych wynikła zmiana historyczna, obok której nie możemy przejść bokiem. Musimy jej spojrzeć w oczy i pogadać z nią innym językiem. Językiem mniej kontrowersyjnym. Wiemy, że kontrowersja jest pulsem każdego pisma i jego charakterem. Ale tym razem może lepiej poczekać na moment, kiedy będzie pewność, że pisma te są nowym Polakom w Wielkiej Brytanii tak samo potrzebne, jak dotąd tym tzw. „Starym".

31.10.2003

POTRZEBA

Pisząc niedawno o „Dzienniku", szukałem odpowiedzi na wstydliwe pytanie, czy „Dziennik" jest potrzebny. Odpowiedzi nie było ani w „Dzienniku", ani poza nim. Oczywiście powinienem był wiedzieć, że nikt na to pytanie nie odpowie. Pytanie to powtarzam, wiedząc dobrze, że przywita je głucha cisza. Składa się na to wiele powodów. Pytanie było nie tylko wstydliwe, ale mogło też być poczytane za nietaktowne. Nie lubimy na ogół wspominać niekorzystnej koncentracji kapitału. A wiemy, że „Dziennik" — żeby żyć — musi mieć dochody. Wiemy, że ich ma za mało. Wiemy, że tak jak dawniej — za czasów, które niektórzy z nas jeszcze pamiętają, choć są zamierzchłe — był pierw konieczny i potrzebny, potem tylko potrzebny, a teraz nie jest ani tak konieczny ani tak potrzebny. Możemy to wytłumaczyć różnie. Możemy powiedzieć, że ubywa czytelników kupujących, że — kiedy prenumerata przychodzi z pocztą — jest już przeważnie nieaktualny, że zabija go polska telewizja, że same nekrologi nie wystarczają, bo poczta pantoflowa przekazuje je bezbłędnie, nie tracąc czasu (to samo dotyczy polskich sklepów z kiełbasą i polskich biur podróży), że jest coraz mniej osób nie znających angielskiej mowy, że młodzi nie czytają po polsku, że wreszcie informacje z życia „starej" emigracji interesują zaledwie niewielką grupkę. Więc gdzie jest „kleks" na „Dzienniku"?

Dochodzą mnie słuchy ze „źródeł miarodajnych", że dziennikowy panteon przymierza się do wielkiego napływu rodaków po maju 2004. Dochodzą mnie też słuchy ze źródeł nie mniej „miarodajnych", że panteon może być w błędzie. Skąd te wieści, że zjechać może do Wiel-

kiej Brytanii parę tysięcy polskiej młodzieży za chlebem, za nauką, za karierą... Znowu pytanie — czy to optymizm, czy pesymizm, czy po prostu wielka niczym nie potwierdzona plotka? Jeśli te przepowiednie mają się sprawdzić, to rzeczywiście „Dziennik" musi się przestawić. Ale skąd pewność, że nowi przybysze będą kupować (nie mówiąc już o czytaniu) nasz „Dziennik", a nie na przykład „Gazetę Wyborczą", „Rzeczpospolitą" czy krakowski „Znak"? Pytając dalej — albo głęboka metamorfoza, albo inna strategia? Ale na tym nie koniec tej „rozmowy" o „Dzienniku".

Nie dajmy się nabrać na płytki frazes „czasy się zmieniają", bo jest to aż tak oczywiste, że nie ma na to żadnej odpowiedzi. Ani niczego nie usprawiedliwia. Często powtarzane jest wyrażeniem potocznym, nudnym i w sumie nic nie znaczącym. Załóżmy więc, że my się zmieniamy, a nie czasy. Jeśli przyjmiemy to jako punkt wyjścia i dodamy coraz mniejszy już dziś znak zapytania, powinniśmy uznać, że to samo dotyczy rodaków w kraju. *Eo ipso* to samo musi dotyczyć „Dziennika". Tu — otwieram nieodzowny nawias — dodać trzeba najbliższego brata „Dziennika", „Tydzień". Ten ma w swojej karcie jeden wielki atut. Oto, jak nam wszystkim wiadomo, „Tydzień" już dawno wyrósł poza granice nie tylko Londynu, ale też Zjednoczonego Królestwa. Jest czytany w Stanach, w Kanadzie i chyba we wszystkich krajach europejskich. Dzięki temu jest niewątpliwie potrzebny. Myślę, że „Dziennik" zmieściłby się w nim bez uszczerbku dla nikogo, a z pożytkiem dla polskiego słowa drukowanego. Ale wracajmy do zmian w nas samych. Tym razem ze źródeł rzeczywistych — nie politycznych, ale oświatowych, z wyższych i średnich zakładów naukowych — dochodzą wieści, że inna filozofia wyjazdów na zachód szybko kiełkuje wśród wykształconej młodzieży polskiej w kraju. Oto młodzi fachowcy, młodzi naukowcy, młodzi adepci wszelkich zawodów i profesji zaczynają widzieć przed sobą nie tylko nowe horyzonty w kraju od maja 2004. Ale co może ważniejsze, to fakt, że ich wyjazd za granicę może opóźnić im drogi do przyszłych kierowniczych stanowisk w nowej Polsce pod opieką Zjednoczonej Europy, do których albo już dziś mają kwalifikacje albo są ich blisko. W sumie muszą sobie zdawać sprawę z tego, że będą może mieli u siebie w domu większe albo co najmniej takie same możliwości jak na tzw. Zachodzie. Zachód przyjdzie przecież do nich. Polskie słowo drukowane na tych wyspach wymaga strategii na dziś, na jutro i na pojutrze.

3.12.2003

POJEDNANIE W RZECZYWISTOŚCI

Nieczęsto się zdarza, żeby dobry i dobrze wykonany pomysł prowadził do skojarzeń historycznych, które same w sobie tworzą nowy obraz czasu przeszłego. Przyjmując jednocześnie do serca i do rozumu nową rzeczywistość. Takim obrazem może być połączenie dawnych metod nauczania z nowymi albo nawet niespodziewane spotkanie skarbu przeszłości z żywym skarbem teraźniejszości. Tym, co te skojarzenia i spotkania umożliwia, jest książka. Każda książka to świat nauki, więc jej domem jest biblioteka uniwersytecka. Bo to właśnie dwie książnice i dwa uniwersytety są tematem świetnej wystawy w Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Uniwersytet ten czuje się spadkobiercą tradycji Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (1919–1945) oraz Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie (1947–1987). Wystawa ta jest tym dobrym pomysłem, który nieczęsto się zdarza.

Wystawa celebruje 60-lecie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i cykl wykładów rocznicowych na temat tradycji i historii Uniwersytetu. Jej autorką jest dr Anna Supruniuk. Układ to w pierwszym rzędzie powstanie uczelni wileńskiej, akademickie uroczystości, budynki i ich historia, wydziały (każdy osobno), instytucje i instytuty USB, senat, ciało profesorskie, łącznie z profesorami nadzwyczajnymi, docentami, innymi wykładowcami, adiunktami, asystentami i zespół pomocniczy, dziekanaty oraz osobno życie studenckie i korporacyjne. Wystawa poświęca też wiele miejsca Bibliotece USB, administracji, a nade wszystko ostatniemu Senatowi, zamknięciu USB i jego działalności podziemnej w latach 1939–1945. W roku 1939 — po ucieczce z Warszawy — znalazł się w Wilnie znakomity chemik, profesor Politechniki Warszawskiej, dr Wacław Iwanowski, który w podziemiu Wydziału Chemii USB pracował naukowo w swojej specjalności, chemii przetworów żywnościowych. Jego działalność czysto naukowa pozwalała na akcję marginesową. W jego pracowni drukowano pisma podziemne ZWZ, a potem AK. Przeważnie po każdym aresztowaniu szybko poruszających się po mieście kolporterów równie szybko zastępowano ich przez świetnie zorganizowaną sieć uzupełnień. Tak się złożyło, że w wyżej wymienionej Bibliotece USB, a właściwie w mieszkaniu jej dyrektora, dr. Adama Łysakowskiego (jego fotografia widnieje w jednej z gablotek wystawy) i jego żony Wandy (romantycznej pisarki), znalazł schronienie niżej podpisany po zakończeniu działań wojennych jego oddziału pod Lwowem. W 1939 roku, po wrześniu Biblioteka przyciągała pisarzy i dziennikarzy z różnych stron Polski,

specjalnie z Warszawy, których spora grupa znalazła się w Wilnie. Biblioteka stała się nie tylko oazą, gdzie można było mniej więcej swobodnie rozmawiać, ale i źródłem koniecznym do — istniejącego jeszcze dzięki „Kurierowi Wileńskiemu" — warsztatu pracy. Trwało to niestety krótko.

Wzruszającą część wystawy nazwać można „działem nieoficjalnym". Dlatego wzrusza. Są w nim dokumenty osobiste profesorów i studentów, różne dokumenty różnorakiej działalności uniwersyteckiej, zbiór autentycznych fotografii, afiszów, plakatów, zaproszeń na uroczystości, książki, czasopisma i pamiątki po członkach społeczności akademickiej USB. Wszystkie materiały są dziś własnością Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Jako archiwum tej wspaniałej instytucji tworzy on łańcuch łączności z tak niedawną, a tak dziś odległą częścią życia polskiego na Wileńszczyźnie. Część wystawy to oryginalne dzieła sztuki — malarstwo, rysunki, grafika członków Wydziału Sztuk Pięknych USB. Takich jak Tymon Niesiołowski, Jerzy Hoppen, Bronisław Jamontt, Walenty Romanowicz.

Wystawa USB w Toruniu to nie tylko dobry i dobrze wykonany pomysł. Jest w tej wystawie atmosfera bliskości do sedna rzeczy, czyli do prawdy, że choć nie mamy wielkiego wpływu na nasze dzieje, mamy czasem zrozumienie tego, co się działo. Ale tylko poprzez pielęgnowanie tego, co mamy z naszej przeszłości. Patrząc na tę wystawę nie można nie pamiętać o Wilnie. Nie można nie pamiętać o Rossie. Nie można nie pamiętać o Piłsudskim. Nie można nie pamiętać o wielu wspaniałych Polakach i Polkach stamtąd pochodzących. Dziś Wilno zmieniło szatę zewnętrzną. Ale nie może zmienić obrazu, jaki nam został. Oglądając pamiątki z USB, tak silnie związanego z Wilnem, widzę analogię z UMK — równie silnie związanego z Toruniem. Tu mała dygresja. Biblioteka UMK powstała razem z Uniwersytetem w roku 1945. Biblioteka USB, oryginalnie jako Biblioteka Kolegium Jezuickiego, powstała w roku 1570. Nie wynika z tego nic specjalnego poza tym może, że tylko biblioteki zachowują pamięć na zawsze.

20.11.2004

KRÓTKA PODRÓŻ PO POLSCE

Moja krótka podróż po kraju zbiegła się z członkostwem Polski w Unii Europejskiej. Tuż po uroczystościach w Londynie i w kraju. Prasa tu i tam rozgłosiła ten fakt szeroko i daleko. Było jednak oczy-

wiście za wcześnie, by zgadywać, czy członek członkowi równy. Można się było tylko spodziewać pierwszych wrażeń po dokonaniu aktu. Spodziewano się tego aktu od dawna, więc nie było to dla nikogo nowością. Mimo to fakt dokonany to jak drzwi otwarte. Takie, które były dość szczelnie zamknięte przez długie lata. Szukać tych pierwszych wrażeń nie jest łatwo. Żadna z przypadkiem napotkanych osób nie miała nic nowego napisanego ani na ustach, ani w oczach. Raczej przeciwnie. Jeśli co, to zwykle zblazowanie, w gruncie rzeczy nudę. Wielu zapytanych *ad hoc* prosiło o powtórzenie pytania. Raz powtórzone spotykało się przeważnie ze zdziwieniem: „Panie, no jest już. Jesteśmy w Unii, ale co z tego? Czy się poprawi u nas dziś? Nie! Pewnie przyjdzie nam czekać dobrych parę lat i czy rzeczywiście się kiedyś poprawi?". Taki bagaż zwątpienia słyszy się na każdym kroku. I to tylko jako odpowiedź na pytanie. Jeśli się kogoś nie zapyta, to panuje cisza o Unii, cisza o członkostwie. Taka jest ulica. Taki jest nastrój. Może to właściwie nie tylko zwątpienie. To raczej przygnębienie codziennością, trudnościami związania końca z końcem, bezrobociem tak głęboko uderzającym młodych i brakiem wiary w system, jakim Polska jest rządzona. Ta atmosfera nie dotyczy oczywiście wszystkich. Nie wszystkich i nie wszędzie. Są to pierwsze wrażenia.

Jednocześnie Warszawa kwitnie w wiosennym słońcu, pływa w kwiatach, rozbudowuje się na kształt Zachodu, już nie tylko Europy, też w stylu amerykańskich wieżowców. W sklepach na Nowym Świecie niemały ruch popołudniowy nawet w dzień powszedni. U Bliklego ogonek po ciastka i pączki, ale stoliki puste. Ogród Saski wspaniale zadbany, czysto, porządnie i wszystko, co świeżo zasadzone kwitnie całą tęczą kolorów. Grób Nieznanego Żołnierza w kwiatach opasany biało-amarantową wstęgą. Jego obramowanie tak boleśnie poranione pociskami drugiej wojny to wyrok, który czeka i każe pamiętać na zawsze. Fragmenty nagich cegieł obłupanych z cementu zostawiono na widok publiczny, by nikt nie ważył się zapomnieć. To te cegły właśnie nabierają w słońcu barwy krwi. Tak je należy pamiętać, gdziekolwiek żyjemy na tej planecie. Płyta tego grobu błyskawicznie koncentruje myśl: Gdzie jest Polska? Tam, gdzie zawsze była. Może zmienić się jej codzienna twarz, ale jej duch jest niezmienny.

Do Torunia jedzie się z Warszawy samochodem dwie i pół godziny. Po drodze dwa kontrasty. Dookoła Warszawy duże, chyba nowe, zabudowania, warsztaty, fabryki, wielkie „supermarkety" przeważnie zagraniczne, stragany przydrożne, duży ruch kołowy. Zatory na przecznicach. Po ominięciu tego podmiejskiego zgiełku coraz więcej pustki. Pola, laski, piękna równina, ale niewiele się na niej dzieje. Tak

jakby jeszcze się niezupełnie dobudziła. Toruń to dziś miasto uniwersyteckie, w gotyckim i barokowym splendorze, gdzie każdy kamień to historia. Tak właśnie powinno wyglądać miasto profesorów, studentów i wszystkich poszukujących wiedzy. Na zwiedzanie szczegółowe nie ma wiele czasu. Ale w tym mieście słynnych wałów obronnych i strzelistych wież kościołów i ratusza wszystko jest jak na dłoni. Jesteśmy już bliżej północy kraju. Intensywne promienie zachodzącego słońca pokrywają wieże i dachy głęboką czerwienią, której potrzebne jest mocne oko i pędzel genialnego malarza. Większość mojego czasu to Biblioteka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, a w niej — znane już dziś całej polskiej diasporze — Archiwum Emigracji. Tu wrze praca, na którą żadne inne zbiory polskie za granicą nie mogą sobie pozwolić. Tu nie tylko zbiera się materiały, tu się je kataloguje, bada, udostępnia pracownikom nauki i stają się one warsztatem dla historyków, pisarzy, poetów, publicystów oraz innych pracowników i badaczy. Tu ocenić można przeszło sześćdziesiąt lat działalności kulturalnej i artystycznej emigracji polskiej — od roku 1939 do dnia dzisiejszego. Tu wreszcie powstanie pełna bibliografia tej działalności. Archiwum jest w doświadczonych rękach dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, Mirosława Adama Supruniuka. Tu także w roku 1998 powstało Centrum Dokumentacji Europejskiej na mocy decyzji Departamentu Generalnego 10. Komisji Europejskiej. Tu nie ma zwątpienia co do Unii, jest wiara w jej potrzebę i, co może najważniejsze, źródło informacji o niej dostępne wszystkim. Obraz zupełnie inny od tego, który stwarzają przypadkowe rozmowy codzienne. Taka jest rozbieżność w tym kraju pomiędzy ośrodkami, które mają wizję przyszłości opartą na wiedzy i tymi ośrodkami, w których szara codzienność nie pozwala otworzyć oczu na szerszy widnokrąg. Uniwersytet Mikołaja Kopernika można nazwać młodym, bo powstał w roku 1945. Może stąd jego sprężystość i wiara w przyszłość swoją i kraju.

Pomiędzy Toruniem a Bydgoszczą znajdują się duże majątki rolne należące do spadkobierców ś.p. Emeryka Hutten-Czapskiego. Dziś, po wywłaszczeniu własność państwa w administracji Państwowej Agencji Rolnej. Inżynier agronom Stanisław Błażejewski i jego żona Wanda prowadzili jeden z nich, Smogulecką Wieś, przez dwadzieścia lat z ramienia Agencji. Majątek był prowadzony profesjonalnie. Agencja zdecydowała przejść na system dzierżawienia. Od tego momentu majątek jest niemal całkowicie w upadku. Prawni właściciele, spadkobiercy mogą tylko czekać na ustawy reprywatyzacyjne, o których cisza. Czy Unia Europejska będzie miała na to wpływ, czas pokaże. Ale ziemia ma ograniczoną cierpliwość. Nie zadbana, nie zagospodarowy-

wana umiera. Jeśli kiedykolwiek „oko pańskie konia tuczy" było tylko przysłowiem, to dziś nabrało ono patyny wielkiej prawdy. Parogodzinna wizyta u państwa Błażejewskich w Smoguleckiej Wsi była znamienna. Bez względu na nieprzychylne warunki dla nich ziemia i jej zagospodarowanie było pierwszym obowiązkiem. Niemal z płaczem patrzę na obecny jej stan.

W drodze powrotnej do Warszawy skręciliśmy w bok, by spędzić dzień w Łodzi. Tu czekała lekcja młodzieńczego entuzjazmu i niespodziewanego optymizmu. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych spędziłem parę godzin w Łodzi. Poznałem wtedy młodego adepta międzynarodowej reasekuracji zafascynowanego historią polskiego lotnictwa. Korespondowałem z nim przez parę lat. Tym razem udało się spotkać ponownie Piotra Matwieja — amatora, historyka, zbieracza, honorowego lotnika. Jego pasją jest zbieranie z całego świata informacji o lotnikach, tych latających i tych naziemnych, od zarania polskiego lotnictwa do dnia dzisiejszego. Informacje zebrane publikuje on w powielanych biuletynach na własny koszt, rozsyłając je po świecie w miarę skromnych możliwości. Biblioteka Polska w Londynie posiada ich duży zbiór. Jest to materiał wyjątkowej wartości, bo składa się z oryginalnych listów, wspomnień, fotografii i życiorysów. Druga wojna światowa jest w tej kolekcji bogato reprezentowana. Materiał historyczny bezcenny. Dzięki zapałowi, entuzjazmowi i oddaniu polskiemu lotnictwu. W tych tekach, fotografiach i niemal intymnych skrawkach dokumentów, legitymacji, odznak i szczegółów służby w czasie pokoju i w czasie wojny znalazłem podobizny kolegów z 300. Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej, nawet już z ostatniej jego siedziby w Faldingworth, w hrabstwie Lincoln. Piotr Matwiej ma dziś czterdzieści lat. Kiedy go poznałem przeszło dziesięć lat temu, miał już spore archiwum. Był już wtedy w pełni oddany swemu zadaniu. Nasze spotkanie w maju 2004 roku to jeden z kluczy do zrozumienia tego, jak potrzebne są zdrowe ziarna. Specjalnie w społeczeństwie tak bardzo potrzebującym wiary w siebie.

Powrót do Warszawy już o wiele radośniejszy. Dwa spotkania, w Toruniu i w Łodzi, oraz inne prywatne w Warszawie nie dały odpowiedzi na żadne pytania o widoczne zmiany po dokonaniu aktu Unii. Za wcześnie. Wszelkie powierzchowne impresje z reguły mylą. Ale trudno ich uniknąć. Z różnego ziarna składa się Polska. Dwa ziarna, o których mowa wyżej, kiełkują zdrowo. Jest na pewno więcej im podobnych.

2.07.2004

UMOWA Z HISTORIĄ

Były różne ostre fronty walki podczas drugiej wojny światowej. W Wielkiej Brytanii, w podbitych krajach Europy i na innych kontynentach. Polska walczyła na frontach alianckich i w swoim własnym kraju. Nic w tym nowego. W kotłowisku historii zapomina się czasem o specjalnym froncie walki, tu w Zjednoczonym Królestwie oraz w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, częściowo też w Portugalii i w niektórych krajach Afryki, Południowej Ameryki — o froncie słowa pisanego i mówionego, czyli o pisarzach, poetach, publicystach i dziennikarzach. To oni w pismach i w radio, piórem i głosem ten front zasilali. Tak jakby podawali pociski tym, którzy nimi strzelali, solidaryzując się z ich celem i dodając moralnego ognia do każdego wypału. Mówiąc specyficznie o Wielkiej Brytanii, tak się złożyło, że po upadku Francji większość polskich intelektualistów tu się znalazła. Wielu z nich służyło w wojsku, inni działali cywilnie. I jedni, i drudzy służyli słowu pisanemu i mówionemu. Już we wczesnych latach wojny mówiono o ich zrzeszeniu, mimo że w umysłach wielu był to okres przejściowy. Mówiono, że kiedy się wojna skończy, nasze dawne zrzeszenia — teraz w stanie spoczynku — odrodzą się normalnym trybem. Dopiero w roku 1946 zaczęło być jasne, że nie będzie to takie proste, że na powrót do „normalnego trybu" trzeba będzie jeszcze poczekać. Wtedy to, dokładnie 15 sierpnia 1946 roku, ukonstytuował się Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Pierwszym prezesem został prof. Stanisław Stroński, znakomity romanista z Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Rządu RP i minister informacji. Tego samego dnia — choć o tym wtedy nikt pewnie nie myślał — Związek ten podpisał cichą, ale brzemienną umowę z historią. Umowa ta nie była nigdy formalnie spisana, była więc tym bardziej moralnie obowiązująca. Leżała na barkach wszystkich członków Związku. Dziś nie leży już na ich barkach, bo większość z nich nie żyje, ale ciąży na barkach ich następców. Tych dzisiejszych członków Związku i tych, którzy przyjdą po nich. Ciąży dlatego, że odpowiedzialność za tę umowę muszą siłą rzeczy przyjąć, a nie bardzo wiedzą, jak się do tego zabrać. Może też nie wiedzą, na czym umowa oryginalnie polegała. Jaka była jej treść — choć nie była spisana — i jakie były jej wymogi. Jaki był jej regulamin. Umowa polegała na obowiązku zbierania i bezpiecznego przechowania archiwum Związku, czyli opieki nad wszelkimi dokumentami dotyczącymi Związku: wyborów do zarządu, wyborów członków, korespondencji, wzmianek prasowych, nagród, pochwał i nagan, pozycji społecznej, współpracy

z rządem, współpracy z pokrewnymi organizacjami, wreszcie kontaktów — legalnych lub potajemnych — z krajem oraz wydawnictw związkowych, biuletynów, wieczorów autorskich, odczytów. I, co równie ważne, sprawozdań z zebrań zarządu i plenarnych dyskusji, kłótni, argumentów, zażaleń i kronik sądu koleżeńskiego, komisji rewizyjnej i księgowości. W sumie całość dziś sześćdziesięciu lat istnienia i działalności wojennej, powojennej, od 1990 roku w ramach suwerenności kraju, a po 1 maja 2004 roku jako Związku grupującego pisarzy polskich, żyjących i pracujących za granicą.

Żeby trochę przypomnieć. Kwiat wolnej polskiej poezji, prozy i publicystyki tworzył ten literacki front. Jego punktem zbornym był Związek i „Ognisko Polskie" w Londynie. Jego placem ćwiczeń był codzienny komentarz polityczny, codzienna informacja w polskich pismach, codzienny humor, codzienna plotka, codzienna fraszka, czasem ze sceny, ale nade wszystko codzienna dawka polskości, obowiązku akcji, zapobiegliwa wszędzie tam, gdzie równie codzienna dawka przeciwności stawała kością w gardle. Wszystko to przeszło do historii. Okazało się jednak, że ta zapobiegliwość była potrzebna, bo wszystko się w końcu dobrze skończyło. Przypomnijmy sobie tych zapobiegliwych, którzy — jestem pewien — chcieli umowy z historią dotrzymać. Może nie mieli dość czasu, może paliła im się pod nogami jedyna wówczas ważna myśl o niepodległości Polski. Może myśleli, że ci, co przyjdą po nich, dopilnują archiwum, znajdą miejsce przechowania, skatalogują je i że stanie się ono dostępne historykom, badaczom, pisarzom i publicystom. Dziś widzimy, że bardzo łatwo mogli się zawieść. Oto w tej chwili archiwum Związku nie wydaje się nawet zabezpieczone. Gorzej, jest rozproszone, nieuporządkowane, właściwie pozostawione własnemu losowi.

Wróćmy do tych zapobiegliwych. Do tego bukietu piśmiennictwa polskiego owych czasów, do tych, co ten Związek założyli albo byli częścią jego intelektualnego środowiska, pracowali nad nim i doprowadzili do tego, że ich następcy mogli pracę ich kontynuować. Bardziej lub mniej skutecznie. Ale cóż to był za bukiet pięknych kwiatów! Bogumił Andrzejewski, Stanisław Baliński, Stanisław Barańczak, Irena Bączkowska, Krystyna i Czesław Bednarczykowie, Jan Bielatowicz, Andrzej Bobkowski, Józef Maria Bocheński, Zofia Bogdanowiczowa, Antoni Bogusławski, Aleksander Bregman, Władysław Broniewski, Stanisław Cat Mackiewicz, Maria i Józef Czapscy, Zdzisław Czermański, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz Zielińska, Jan Fryling, Ferdynand Goetel, Witold Gombrowicz, Wacław Grubiński, Mieczysław Grydzewski, Oskar Halecki, Marian Hemar, Gustaw Her-

ling-Grudziński, Wacław Iwaniuk, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Stefania Kossowska, Jan Kott, Janusz Kowalewski, Marian Kukiel, Jan Lechoń, Józef Łobodowski, Józef Mackiewicz, Ignacy Matuszewski, Czesław Miłosz, ks. Jerzy Mirewicz, Kajetan Morawski, Herminia Naglerowa, Jan Nowak-Jeziorański, Tadeusz Nowakowski, Zygmunt Nowakowski, Marian Pankowski, Henryk Paszkiewicz, Mieczysław Paszkiewicz, Michał Pawlikowski, Jerzy Pietrkiewicz, Adam Pragier, Ksawery Pruszyński, Bronisław Przyłuski, Edward Raczyński, Zofia Romanowiczowa, Jan Rostworowski, Juliusz Sakowski, Jerzy Stempowski, Wit Tarnawski, Tymon Terlecki, Feliks Topolski, Melchior Wańkowicz, Wiktor Weintraub, Ignacy Wieniewski, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Karol Zbyszewski, Wacław Zbyszewski, i wielu innych. Ciśnie się na usta pytanie, gdzie jest to archiwum i w jakim jest stanie?

Tak się złożyło, że dawno już temu (sprawdzić datę trudno, bo archiwum nie jest dostępne!) Józef Garliński, ówczesny prezes Związku — dożywotni prezes honorowy — „mianował" mnie jednym z wiceprezesów Związku, razem ze Zdzisławem Jagodzińskim. Mało kto wtedy interesował się przeszłością starych dokumentów, choć mówiło się o nich przy różnych okazjach z przekonaniem, że gdzieś są. Zaczęło się to zmieniać po roku 1990, kiedy ruch w obie strony pomiędzy Wielką Brytanią i Polską nabrał poważniejszych rozmiarów. Wtedy to historycy, muzealnicy, bibliotekarze, biografowie, bibliografowie i oczywiście prywatni zbieracze w kraju zaczęli okazywać apetyt na emigracyjne archiwa. Powstało Archiwum Emigracji przy Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Powstały mniejsze kolekcje w Warszawie i w Krakowie. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, który na dorocznym Walnym Zebraniu w Londynie 29 listopada 2004 roku zmienił nazwę na Związek Pisarzy Polskich Zagranicą, nie brał — o ile wiadomo — udziału w archiwalnych przeprowadzkach. Sprawa archiwum Związku została poruszona na zebraniu Zarządu 23 czerwca 2004 roku. Było to ostatnie zebranie pod przewodnictwem prezesa, ś.p. prof. Mieczysława Paszkiewicza. Była to tylko wzmianka w rozmowie o ewentualnym przygotowaniu historii Związku. Po śmierci prof. Paszkiewicza objąłem urząd prezesa Związku i coraz bardziej zaczęły mnie interesować losy archiwum. Przez trzy miesiące prezesury, do końca listopada 2004 roku, sprawa miejsca i stanu archiwum była w toku wyjaśniania. Archiwum znajduje się w różnych miejscach i w różnych, niesprecyzowanych ilościach. 29 listopada 2004 roku ukonstytuował się nowy Zarząd. Są dane na to, że sprawa posunie się naprzód.

Nie trzeba mówić o tym, jak bardzo jest ważne, aby historycy, pisarze i publicyści współcześni mieli dostęp do materiałów wskazujących na rolę piśmiennictwa polskiego w czasie wojny, na obczyźnie i na emigracji i już w Unii Europejskiej jako wolnej Polski, równej wśród równych.

12.01.2005

INDEKS NAZWISK

Anders Władysław 54, 57, 92
Andrzejewski Bogumił 120
Angelico Fra 56
Applebaum Anne 103–105
Arciszewski Tomasz 54

Badeni Stefan 71
Badior Roman 60
Baliński Stanisław 120
Barańczak Stanisław 120
Bączkowska Irena 120
Beck Józef 65
Bednarczyk Czesław 120
Bednarczykowa Krystyna 120
Beneš Edvard 67
Berezowski Zygmunt 17
Bèthune Jeanne-Marie de, *patrz* Jabłonowska Jeanne-Marie
Bielatowicz Jan 120
Big Ben (pseud.), *patrz* Kossowska Stefania
Blair Tony 32, 43
Blikle Antoni 116
Blum Léon 16, 67
Błażejewska Wanda 117
Błażejewski Stanisław 117
Bobkowski Andrzej 120
Bocheński Józef Maria 120
Bogdanowiczowa Zofia 120
Bogusławski Antoni 120
Bolesławska Beata 62–64
Boniecki Adam 58
Bonnie Prince Charlie, *patrz* Stuart Karol Edward
Brandel Konstanty 85
Braun Georg 91
Bregman Aleksander 120
Brittain Leon 20
Broniewski Władysław 120
Burckhardt Carl 57
Bush George W. 32

Calder-Marshall Arthur 106
Chaplin Charles Spencer (Charlie) 106
Chądzyńska Zofia 81, 83
Chirac Jacques 32
Chmielowiec Michał 70, 75
Chopin Fryderyk 98
Churchill Winston S. 16, 17, 67, 102, 107
Ciołkosz Adam 16, 17
Claudel Paul 85
Colonna-Czosnowski Karol 106
Conrad Joseph (właśc. Teodor Józef Konrad Korzeniowski) 98
Cybis Jan 58
Czapska Maria 120
Czapski Józef 58, 69, 101, 105, 120
Czermański Zdzisław 120
Czuchnowski Marian 120

Danilewicz Zielińska Maria 74, 78–81, 120
Dąbrowska Jadwiga 78
De Gasperi Alcide 16
Deedes William Francis 22
Demby Stefan 78
Dvořák Max 56

Eden Anthony Robert 102

FitzGibbon Louis 99, 100
Fortuyn Pim (właśc. Wilhelmus Simon Petrus Fortuijn) 11

Fryling Jan 120

Garliński Józef 121
Geremek Bronisław 9
Giedroyc Jerzy 68, 69, 74
Giscard d'Estaing Valéry 25, 26, 31
Goetel Ferdynand 120
Gombrowicz Witold 81–83, 120
Gozdawa-Mineyko Jadwiga, *patrz* Jabłonowska Jadwiga
Griffiths Richard 85
Grubiński Wacław 120
Grydzewski Mieczysław 70, 74, 80, 120
Guttry Aleksander junior 97, 98
Guttry Aleksander senior 97

Habielski Rafał 75
Haider Jörg 11
Halecki Oskar 120
Halifax Edward 66
Hancke Jerzy 59
Hemar Marian (właśc. M. Hescheles) 120
Herbert Auberon 71, 74
Herbert Zbigniew 71, 72, 75
Herling-Grudziński Gustaw 106, 121
Hertz Zofia 68, 69
Himmler Heinrich 57
Hitler Adolf 59
Hogenberg Frans 91
Hoppen Jerzy 115
Hutten-Czapski Emeryk 117

Iwaniuk Wacław 121
Iwanowski Wacław 114

Jabłonowska Anna, *patrz* Leszczyńska Anna
Jabłonowska Eleonora z domu Skarbek 87
Jabłonowska Jadwiga, z domu Mineyko 87
Jabłonowska Jadwiga, z domu Stecka 87
Jabłonowska Jeanne-Marie 89
Jabłonowska Marie Louise 89
Jabłonowski Henryk 87
Jabłonowski Jan Stanisław 87
Jabłonowski Karol 87
Jabłonowski Stanisław Jan 87, 89
Jagodziński Zdzisław 74, 121
Jamontt Bronisław 115
Jan II Kazimierz, król Polski 44
Jan III Sobieski, król Polski 87, 89
Jan Paweł II, papież 93, 94
Janta-Połczyński Aleksander 84, 97
Jaszczołt Barbara 92
Jaszczołt Hanna 92
Jaszczołt Jarosław 93
Jaszczołt Lidia 92
Jaszczołt Wanda z domu Malinowska 92
Jaszczołt Władysław 92
Jaszczołt Zbigniew Bolesław 91, 93
Juraszyński Jan 91
Jurzykowski Alfred 71

Kara Mustafa (Mustafa Paşa) 87
Karaszewicz-Tokarzewski Michał, *patrz* Tokarzewski-Karaszewicz Michał
Karol IV Luksemburski, cesarz 105

Kastner Jan 59
Kazimierz III Wielki, król Polski 44
Kądziela Paweł 75
Kępiński Andrzej 77
Kępiński Tomasz 76, 77
Kępiński Witold 77
Kiepura Jan 98
Kiersnowski Ryszard 84
Kmiecik Jerzy 106
Kopernik Mikołaj 69, 75, 85, 114, 115, 117
Kornat Marek 10
Kossowska Stefania 70–75, 109, 110, 121
Kossowski Adam 70
Kott Jan 72, 90, 121
Kowalewski Janusz 121
Koźmiński Jarosław 75
Krasińscy, rodzina 78, 79
Krzysztoń Jerzy 106
Kukiel Marian 121
Kulwieć Kazimierz 53
Kwaśniewski Aleksander 41, 45, 46, 97
Kwiatkowski Eugeniusz 90
Kwiatkowski Jan 90

Lanckorońska Adelajda 56
Lanckorońska Karolina 56–58
Lanckorońska Małgorzata, z domu Lichnowska 56
Lanckoroński Antoni 56, 57
Lanckoroński Karol 56, 57
Le Pen Jean-Marie 11
Lechoń Jan (właśc. Leszek Serafinowicz) 90, 91, 97, 121
Leitgeber Witold 84–86
Lenczowski Jerzy 90
Leszczyńska Anna 89
Leszczyński Rafał 89
Litauer Stefan 106, 107
Litwinow Maksim M. (Maks Wallach) 67
Ludwik XV, król Francji 89

Łobodowski Józef 121
Łubieński Henryk 97
Łysakowska Wanda 114
Łysakowski Adam 114

MacKenzie Norman 106
Mackiewicz Józef 121
Mackiewicz Stanisław (Cat) 120
Macmillan Harold 17
Maczek Stanisław 53
Madariaga y Rojo Salvador de 67
Majski Iwan M. (właśc. Jan Lachowiecki) 92
Malinowski Tadeusz 61
Małcużyński Witold 63, 64
Mańkowski Romuald 91
Maria Kazimiera d'Arquien (Marysieńka), królowa Polski 89
Maria Leszczyńska, królowa Francji 89
Marshall George Catlett 21
Masaryk Jan 67
Matuszewski Ignacy 121
Matuszewski Ryszard 89–91
Matwiej Piotr 86, 118
Meysztowicz Walerian 57
Michał Anioł (właśc. Michelangelo Buonarroti) 56
Mickiewicz Adam 89, 90
Mieszko I, książę Polski 44
Miłosz Czesław 5, 44, 121
Mineyko Zofia, *patrz* Papandreu Zofia

Mineyko Zygmunt 87
Mirewicz Jerzy 121
Mołotow Wiaczesław M. (właśc. W. M. Skriabin) 10
Morawski Kajetan 121
Mościcki Ignacy 78
Muggeridge Malcolm 105
Muszkowski Jan 78
Myśliwski Wiesław 106

Naglerowa Herminia 121
Napoleon I (Napoleon Bonaparte) 22
Niesiołowski Tymon 115
Nowak-Jeziorański Jan (właśc. Zdzisław Jeziorański) 74, 89–91, 121
Nowakowski Tadeusz 121
Nowakowski Zygmunt (właśc. Z. Tempka) 13, 121

O'Mahoney-Rudnicka Marie Elizabeth, *patrz* Panufnik Scarlet
Old Pretender (pseud.), *patrz* Stuart Jakub Franciszek Edward
Oppersdorf Edward (Eddie) 59– 62
Oppersdorf Jerzy III 59
Oppersdorf Mundy 59–61
Orwell George 106, 107

Paderewski Ignacy Jan 47
Pankowski Marian 121
Panufnik Andrzej 62–64
Panufnik Mirosław 63
Panufnik Scarlett 63
Papandreu Andreas (Andrzej) 87
Papandreu Jeorjos (Jerzy) 87
Papandreu Zofia 87
Paszkiewicz Henryk 121
Paszkiewicz Mieczysław 121
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria 121
Pawlikowski Michał 121
Piasecki Stanisław 70
Pietrkiewicz Jerzy 62, 121
Piłsudski Józef 77, 92
Połczyński Aleksander, *patrz* Janta-Połczyński Aleksander
Poniatowski Józef 89
Pragier Adam 121
Priestley John Boynton 106
Pruszyński Ksawery 121
Przyłuski Bronisław 121
Pusłowska Zofia (Zula) 87
Pusłowski Ksawery 87, 88

Raczkiewicz Władysław 53, 54, 87
Raczyńska Róża 65
Raczyński Edward 16, 17, 47, 54, 64–68, 74, 100, 102, 103, 107, 121
Radziwiłł Karol 61
Radziwiłłowie, ród 59
Redgrave Michael 106
Regamey Konstanty 63
Rehehorn Michał 59
Rembrandt (właśc. R. Harmenszoon van Rijn) 58
Rettinger Józef 106
Reymont Władysław 44, 91, 98
Ribbentrop Joachim von 10
Romanowicz Walenty 115
Romanowiczowa Zofia 121
Roosevelt Franklin Delano 102, 103
Rostworowski Jan 121
Rubinstein Artur 98

Rumbold Etheldred Constantia 88
Rumbold Horace 88

Sakowski Juliusz 121
Sandys Duncan Edwin 16, 17
Seyda Marian 85
Sienkiewicz Henryk 44, 98
Sierpiński Wacław 77
Sikorski Radosław 105
Sikorski Władysław 57, 67, 70, 84, 92, 103, 107
Skalski Stanisław 86
Skłodowska-Curie Maria 44, 98
Skubiszewski Krzysztof 68
Smollett Peter 106
Sobieska Maria Klementyna 89
Sołżenicyn Aleksandr I. 104
Spaak Paul Henri 16
Stalin Józef W. (właśc. Iosif Dżugaszwili) 63, 102–105
Stanisław August Poniatowski, król Polski 58
Stanisław Leszczyński, król Polski 89
Staszic Stanisław 79
Stecka Jadwiga, z domu Ilińska 87
Stefan Batory, król Polski 53, 92, 114
Stemplowski Ryszard 10
Stempowski Jerzy 121
Stroński Stanisław 74, 111, 119
Strumph-Wojtkiewicz Stanisław 84, 97
Stuart Jakub Franciszek Edward 89
Stuart Karol Edward 89
Stypułkowski Zbigniew 106
Supruniuk Anna 75, 114
Supruniuk Mirosław A. 75, 117
Szopen Fryderyk, *patrz* Chopin Fryderyk
Szteyner Stanisław 91
Szurlej Jadwiga z domu Ciepielowska 70
Szurlej Stanisław 70
Szymanowska-Chądzyńska Zofia, *patrz* Chądzyńska Zofia
Szymanowski Antoni 83
Szymanowski Karol 98

Tarnawski Wit 121
Taylor-Terlecka Nina 106
Terlecki Tymon 84, 121
Tokarzewski-Karaszewicz Michał 92, 93
Topolski Feliks 121
Treter Mieczysław 97, 98

Walentynowicz Marian 84
Wałęsa Lech 44
Wańkowicz Melchior 121
Wat Aleksander 106
Weintraub Wiktor 121
Weissberger Aleksander 106
Wellington Arthur Wellesley 22
Wendorff Bohdan 53–55
Wieniewski Ignacy 121
Wierzyński Kazimierz 121
Williams Shirley 33
Wilson Woodrow Thomas 66
Witos Wincenty 70
Wittlin Józef 121

Zaleska Ewelina 55
Zaleski August 54, 55, 78
Zamoyski Marek 77
Zarod Kazimierz 106
Zbyszewski Karol 121
Zbyszewski Wacław A. 121
Zygmunt I Stary, król Polski 58

SPIS TREŚCI

Anna Maria Mickiewicz, Parasol ... 5
Od autora ... 6

POLSKA W UNII EUROPEJSKIEJ

Bocianie gniazdo ... 9
Raz na lewo, raz na prawo ... 10
Promocja ... 12
Demografia ... 14
Kolebka ruchu europejskiego — pierwsze kroki ... 16
2002/3 ... 18
Wojna czy walka o pokój? ... 20
Edukacja ... 22
Gest ... 23
Imponderabilia ... 25
Referendum ... 26
Hejnał do przyszłości ... 28
Dwa ognie ... 29
Eurokonstytucja ... 31
Z mostka kapitańskiego ... 32
Europejskość ... 33
Ziemia rzecz święta ... 36
Paradoksy ... 38
Wzajemność ... 40
Konstytucja? ... 41
Nowość w Europie? ... 43
Truizm ... 45
Kamień węgielny ... 47
Klimat ... 48

POSTACIE EMIGRACJI

Zamkowa kwiaciarnia ... 53
Karolina Lanckorońska ... 56
Głogówek ... 58
Dyscyplina twórczości ... 62
Dziesięć lat ... 64

Oddajmy cześć redaktorom 68
Stefania Kossowska (Lwów 1909 – Londyn 2003) 70
Republika literacka 73
Tomasz Kępiński — powstaniec warszawski (1919–2003) 76
Maria Danilewicz Zielińska — bibliotekarka 78
Jeszcze o Gombrowiczu 81
Witold Leitgeber 83
Świąteczna cisza 86
Zofia Pusłowska (1908–2004) 87
Klasa Jana Nowaka-Jeziorańskiego 89
Zbigniew Bolesław Jaszczołt (1921–2005) 91
Na śmierć papieża Jana Pawła II 93

NOTATKI NA MARGINESIE

Promocja w służbie dyplomacji 97
Brytyjczyk o Katyniu 99
Minimum requirement 100
Gibraltar 1943–2003 102
Gułag: historia sowieckich obozów karnych 103
Historyczny znak zapytania 106
Ranga 108
Panorama emigracyjna 109
„Dziecinniczek" 111
Potrzeba 112
Pojednanie w rzeczywistości 114
Krótka podróż po Polsce 115
Umowa z historią 119

INDEKS NAZWISK 123

ARCHIWUM EMIGRACJI
SERIA „LITERACKA"

Krzysztof Muszkowski, *Notatki londyńskie (1993–1997)*. Toruń 1997
Stefania Kossowska, *Przyjaciele i znajomi*. Toruń 1998
Andrzej Gawroński, *Mój punkt widzenia. Felietony australijskie*. Toruń 1999
Krystyna Nasiukiewicz, *My za oceanem. Smak Ameryki*. Toruń 1999
Bronisław Przyłuski, *Strofy o malarstwie*. Toruń 2000
Maria Danilewicz Zielińska, *Fado o moim życiu. Rozmowy z Włodzimierzem Paźniewskim*. Toruń 2000
Jan Winczakiewicz, *Z szuflady emigranta*. Toruń 2001
Włodzimierz Drzewieniecki, *Angielski szlif*. Toruń 2001
Hanna Reszczyńska-Essigman, *Kaprysy losu*. Toruń 2001
Andrzej Gawroński, *Zapiski z dwóch światów*. Toruń 2001
Czesław Miłosz, *Wielkie pokuszenie*. Toruń 2002
Jerzy Pietrkiewicz, *Sami swoi. Zdarzyło się w czasie żniw*. Toruń 2003
Fryderyk Járosy, *Okoliczności łagodzące*. Toruń 2004
Stanisław Wujastyk, *Jak Hemar zniszczył Związek Sowiecki*. Toruń 2004
Krzysztof Muszkowski, *Spod angielskiego parasola*. Toruń 2006

Krzysztof Muszkowski

ISBN 83-231-1909-0